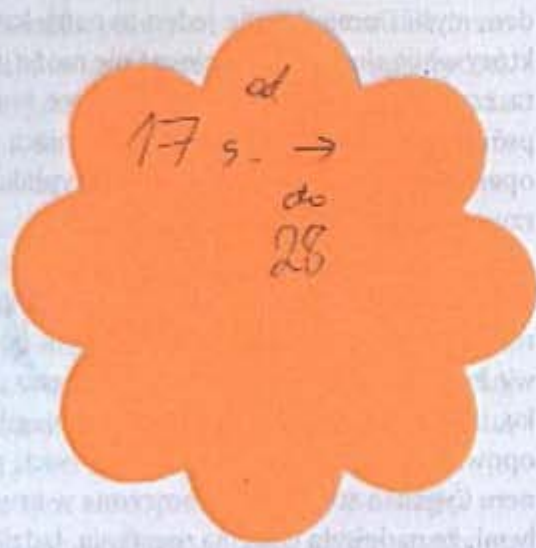


domi sobie, że spędziła prawie dwa miesiące w Enerefie, o którym kiedyś marzyła, oglądając katalogi mody „Otto”. Pobyt minął jej przy łóżku córki, pogrzebie go w pamięci i będzie się upierała, że co za życie, nigdy nie ruszyła się z Piaskowej dalej niż do Świnoujścia czy Karpacza. A jak raz się wyrwała do Warszawy Izaure i Leoncia zobaczyć, to w drodze powrotnej w Warszawie zatrula, paprzą paparuchy, a coś ją podkusiło, by flaczków sobie zjeść.

Jadzia wciąż jest przy łóżku Dominiki, gdy zaczyna się jesień i zapach dymu znad pól dobiega do szpitala. Jadzia po raz nie wiadomo który śpiewa, nie płacz, mamó, ach nie, nie pomogom twe łzy, nie uleczysz głębokiej mej rany. Wiatr zamyka okno pokoju, a wtedy Dominika Chmura otwiera oczy.



Grażynka kilka razy w miesiącu chodzi do lasu, który zaczyna się za pasmem pól; widać go z okien jej domu, ciemnogrnatowa poszarpana linia drzew na wzgórzu. W całej wiosce Mehrholtz nikt oprócz niej tego nie robi, bo nie wiadomo do końca, czyj ten las jest, i swego czasu toczył się o to nierozwiązany do tej pory spór. Z każdej strony otaczają las pola uprawne, porządne pola, które mają właścicieli, a on jest bezpański i prowadzi do niego tylko jedna ścieżka z domu Grażynki i Hansa Kalthöfferów.

W Mehrholtz jeździ się samochodem do supermarketu, jak trzeba, a na piechotę to najwyżej do kościoła albo do piekarni. Jak już spacerować, to świątecznie po parku, czy po centrum handlowym się przejść, a nie tam do lasu. Takie rzeczy są niedopuszczalne, niedopuszczalna jest sama Grażynka Kalthöffer, z domu Rozpuch, pochodzenia polskiego i mocno podejrzanego; jest w Mehrholtz wielu takich, co by jej tu nie wpuścili, gdyby mieli coś do powiedzenia. Do powiedzenia właściwie mają dużo i mówią, licząc na to, że waga nagromadzonych słów zaważy na losie obcej. Patrzy Frau Korn zza firanki i powtarza potem innym zainteresowanym życiem żony ich Hansa, a takich jest wiele, że ta Polka jak głupia po dworze lata, do lasu się zapuszcza, jak ona bezczelnie do lasu zapuszcza się, ciekawe po co tak się zapusz-



czać w las? Frau Zorn, która ma stanowisko obserwacyjne w sąsiednim domu, zna odpowiedź, bo ma gotową odpowiedź na wszystko, pewnie się puszcza! Puszcza się, a jak, zgadza się Frau Korn. Gdy ten fakt podstawowy zostaje ustalony, wyobraźnia Frau Korn i Frau Zorn może puścić się w ślad za Grażynką, która w lesie puszcza się na stojąco, drzewa się trzymając, w trawie leśnej w poziomie, dziko, zwierzęco, i kto wie, na jakie inne cudzoziemskie sposoby, wywłoka, eine Schlampe, oto kim jest. Nie popuszczają sąsiadki polskiej żonie Hansa. Bo mało ma roboty w domu? W domu jest robota, kto wie, co w lesie być może bezpiecznym. A co Grażynka wraca z lasu, to z jakimś przybłądą jak ona. Kot, pies, Murzynka. Murzynka, czarna jak diabeł, z lubością powtarza raz Frau Korn, raz Frau Zorn. Czarną kobietę z lasu przyprowadziła, z żółtymi włosami, to nie jest normalne, rzeczy normalne od nienormalnych tu, w Mehrholtz, potrafi się odróżnić na pierwszy rzut oka, i tak powinno być. Wzdycha Frau Zorn, wzdycha Frau Korn, ożeniłby się Hans z tutejszą kobietą, to posprzątane miałby dokładniej, ugotowane jak należy, pożywnie i oszczędnie, a tak, nie dość, że cudze bachory karmi i ubiera, to jeszcze ta latawica, zamiast usiąść na tyłku, po lesie lata. Ciekawie się jakby nie żona, tylko jakaś zwierzyzna rodzaju żeńskiego, czy pani, droga Frau Korn, ostatnio widziała? Widziałam, droga Frau Zorn, potwierdza Frau Korn. Kto wie, kogo znowu do domu sprowadzi? Frau Korn i Frau Zorn mają nadzieję, że one wiedzieć będą jako pierwsze, jeśli tylko pozostaną wystarczająco czujne na posterunkach za firanką. Zgadza się, że wszystkiego się można po Grażynce, żonie ich Hansa, spodziewać, oczy

ma dzikie, nietutejsze, włos długi farbowany. Frau Korn i Frau Zorn uważają, że kobieta w pewnym wieku powinna strzyć się krótko, ubierać przyzwoicie, a w obejściu psa porządnego trzymać, co na obcego szczeka, zanim jeszcze go zobaczy. A u Grażynki? Wzdycha Frau Korn, wzdycha Frau Zorn. U żony ich Hansa znajdy się płacz, skundlone pokraki łaszą się do każdego. Psa trzeba wytresować! A kotów ile, nie policzysz. Frau Korn i Frau Zorn zgadzają się, że kota wytresować się nie da, ale jak nie da mu się jeść, polować będzie, by nie zdechnąć z głodu. Sąsiadki Grażynki liczyć lubią i liczyły na to, że związek ich Hansa z Polką nie przetrwa zimy, nie dociągnie do jesieni. Nie dogadają się, droga Frau Korn. Pogoni ją, droga Frau Zorn, na wschód razem z bachorami i kusymi kieckami. Kto to widział? One dotąd nie widziały, ani Frau Korn, ani Frau Zorn nie, i przed samymi sobą udają, że wcale przyjemności im nie sprawia oglądanie czegoś, do czego nie przywykły; przyklejają się do szyb jak glonojady, gdyby mogły, przykleiłyby się tak bezpośrednio do Grażynki. O proszę! Rano na przykład Grażynka do chlewni idzie ubrana jak na festyn, falbanki, grośzki, pół tyłka na wierzchu.

Frau Korn na własne oczy widziała, przysiąc może, gdy pod fałszywym pretekstem pożyczania kosiarki odwiedziła sąsiada krótko po tym, jak przywiózł sobie z Polski tę irytującą żonę, co na żonę nie wyglądała i nie wygląda, a więc przysiąc może, że widziała. Frau Korn ma duże doświadczenie w rzucaniu szybkich spojrzeń, które niczym piłeczki do golfa wpadają w odpowiednie miejsce, precyzyjne i prawie bezgłośnie, pyk, pyk. Potem z Frau Zorn omawiają i porównują celne rzuty. Gdy nie



mają nic nowego, przypominają sobie dawniejsze trafenienia i dodają im nowych smaczków, obracają triumfy językiem i wysysają z nich słodycz. Cisnęła więc Frau Korn okiem w kierunku chlewni Hansa Kalthöffera, a takiej nowoczesnej nikt w okolicy nie miał, i zobaczyła w prostokącie światła ruch jakby taneczny, którego nie powinno tam być, bo chlewnia to nie miejsce na tańce, zum Teufel! Rzadko się Frau Korn zdarzało, żeby pierwszy rzut wymagał poprawki, a jednak dopiero za drugim razem zobaczyła, że Grażynka naprawdę tańczy. Nie do wiary! Nie słyszała muzyki, tylko chrupkanie świń, które też wydało jej się jakieś wariackie, bo w rytmie ruchów tyłka tej Polki obciągniętego czerwonym materiałem w białe groszki chrupkały na melodię *Makareny*. Grażynka przeginała biodra i okręcała wokół siebie zielony szlauch, którym myła podłogę, a może to był wąż, bo tylko siły piekielne mogły wprowadzić w ruch taneczny Frau Korn, i omal na miejscu szlag jej nie trafił, gdy zdała sobie sprawę, że zamiast się ze zgrozy wzdrygać, podryguje.

Tłumaczyła Hansowi żona roztańczona, że od muzyki świnię lepiej rosną i są szczęśliwsze, niech no tylko spojrzy na ich ryje uśmiechnięte, uszy radośnie sterczące, a ważne, by być szczęśliwym, nawet jeśli wkrótce pójdzie się pod nóż. W końcu życie świńskie nie różni się tak bardzo od ludzkiego, a każdemu życiu potrzeba tańca i muzyki, nawet kwiatom, którym Grażynka zawsze nuci przy podlewaniu. Na początku dręczyło Hansa, że przez to tańczenie i rozgardiasz wie bei Hempels unterm Sofa, co miało być zrobione na czas, odwlecze się, zaplanowane przepadnie i przetańczą tak w diabły

obowiązki i terminy. Jednak świnię, mimo braku porządku i nieregularnych pór karmienia, rosły lepiej niż u sąsiadów, a to znaczyło pieniądze, a pieniądze z kolei oznaczały rzeczy, które Hans pragnął wymieniać na szczęście Grażynki. Kupował więc jej na początku to, czego, jak sądził, potrzebują kobiety do szczęścia: apaszki, perfumy, wiśniorki, kolczyki, moherowe sweterki, szkatułki, ozdobne ramki na zdjęcia, komplety jedwabnej bielizny zapakowane w pudełka z elegancką kokardą. Kupował sprzęty domowe i ciężkie meble dębowe, im więcej mebli, tym lepiej: stoliki kawowe i szafki nocne, półki na bibeloty, drapowane zasłony i elektryczne roboty wieloczynnościowe, gipsowe kolumny złożone, jak prawdziwe, pod kwiat, pod wieżę sterczo, pod zgrabną replikę *Wenus z Milo*, która, zdaniem Hansa, urodą nie dorównywała Grażynce. I jeszcze piękne lampy migające trzema kolorami w rytm muzyki, na które Grażynka mówiła fonobłycki, bo tak się mówiło w Walbrzychu i zazdrościło tym, którzy mieli fonobłycki z Enerrefu, więc proszę bardzo, w każdym pokoju fonobłycki, bo dlaczegoż by nie, skoro w każdym był jakiś sprzęt grający. Grażynka tak lubiła muzykę, że nieraz nie mogła się zdecydować, od czego zacząć dzień, dlatego w każdym pokoju grało coś innego, a ona płaśla z kolorową miotłką do kurzu i w każdym pokoju tańczyła inaczej, wzbijając w powietrze drobinki pyłu. Grażynka nie wydawała się kochać Hansa ani bardziej, ani mniej po każdym z prezentów, i po jakimś czasie hojny mąż zaczął podejrzewać w zdumieniu, które nie opuści go aż do śmierci, że ta kobieta łakoma na jego ciało i muzykę nie potrzebowała do szczęścia rzeczy, bo jej szczęściu niczego nie brakowało.



Wypróbowywała miksery i szatkownice, by zrobić przyjemność mężowi, ale potem porzucała je w swojej wielkiej kuchni, gdzie porastały kurzem, podczas gdy ona rękoma miesiła ciasto i upłaskiwała krokiety, a gdy piekła ciasteczka ze swoimi bezojcowymi córkami i Hansowym synem, ściany, sufit i podłoga pokryte były warstwą cukru, cynamonu i kakao. Hans siedział w kącie kuchni z miską po słodkiej masie, którą pozwolono mu wylizać, patrzył na dziewczyny niepodobne ani do swojej matki, ani do siebie nawzajem, na syna, który mógłby być jego odmłodzonym lustrzanym odbiciem, i myślał, że tak wygląda szczęście: roztańczona żona, dobrze odkarmione dzieci i miska z esami-floresami słodkiej masy. Gdy kochał się potem z Grażynką i szeptał jej, Graszynka ich liebe dich, w małżeńskim łóżu pod baldachimem, które sam wybrał, bo tylko tak królewskie posłanie wydawało mu się godne ukochanej, znajdował pod językiem słodyczy ciasteczek, wiórki kokosowe, ocukrzoną skórę pomarańczową i rodzynki sultanki.

Grażynce ze wszystkich podarunków Hansa najbardziej spодobał się walkman, bo dzięki niemu mogła mieć muzykę cały czas przy sobie, gdy pracowała albo szła do piekarni. Potrafiła tańczyć do wszystkiego i gdy jechali z Hansem do marketu, kupowała kasety z piosenkami Abby i argentyńskimi tangami, niemieckimi szlagierami i amerykańskim popem, rockiem i przebojami operowymi, w których jej ciało odnajdywało rytm, jakiego nie dosłuchałby się żaden z trzech tenorów, a jednak jej ramiona ruszały, by jak huśtawka rozkołysać piersi, a potem biodra nawet przy kawałkach tak mało tanecznych, jak aria Penelopy z *Powrotu Ulisesa do ojczyzny*. Zatańcz dla

mnie, prosił Hans, i Grażynka tańczyła, i choć tańczyła tak pięknie, z zamkniętymi oczami, z różowymi ustami, w legginsach w panterkę, w sukience w groszki, jej męża ogarniała melancholia, jakby już ją utracił, bo wiedział, że tańczyłaby tak samo, tak samo piękna i szczęśliwa, gdyby go tu nie było, gdyby nie było go wcale.

Gdy córki Grażynki były małe, chodziły za nią krok w krok, zapatrzone w ciało, które wydawało im się ogromne i piękne w swej żywotności, ciało jak karuzela, która wiruje coraz szybciej i szybciej, aż brakuje tchu, a jednak nie można przestać się kręcić, zachłystywać pędem powietrza pachnącego matczynym potem. Tańczymy! wołała do nich i niezależnie od tego, czy były w domu biednym, czy bogatym, zaczynały podskakiwać, wirować i wycinać hołubce aż do zatracenia, czkawki, konwulsyjnego śmiechu na łóżku albo rzuconym na podłogę materacu, który akurat był ich posłaniem. Grażynka przypuszczała, kto jest ojcem jej najstarszej córki, wysokiej, szczupłej Róży, której twarz zawsze jej coś przypominała, jakieś wydarzenia z miasteczka o nazwie Radomsko, a może to już był Piotrków Trybunalski, bo raczej nie Częstochowa. Nawet prosiła nieraz, stań profilem albo pochyl głowę, wpatrując się w miłą, lecz pozbawioną wyrazistości buzię, aż dziecko w wieku lat siedmiu zaczęło eksperymentować z makijażem, by domalować niebieskość oka i czerwień ust, naprowadzić w końcu matkę na jakiś trop. Co do młodszej, Anieli, która była niska, pulchna i ciemna, Grażynka nie miała podejrzenia bardziej konkretnego, niż że to musiał być jeden z tych sześciu w Skierniewicach, o ile nie ten chudy z Warszawy, jak wzdychała w rzadkich chwilach, gdy sprawa



ojcostwa w ogóle przychodziła jej do głowy. Najmłodsza, Hawa, miała w dokumentach wpisane imię Monika. Monika Rozpuch, ojciec nieznany, bo Hawy nie chcieli Grażynce zarejestrować w wałbrzyskim urzędzie, tłumacząc, że imię to niepolskie i w spisie imion nie figuruje, a może po prostu otyła urzędniczka знаła złą sławę Grażynki Rozpuch i wkurzyła ją kolejna ekstrawagancja z jej strony. Jak niepolskie, skoro ona знаła je z Polski? tłumaczyła Grażynka, gdzie, jak nie w Polsce, mieszkała Hawa, żona Ludka Borowica, fotografa z Kamieńska, która łatwo się wzruszała, mówiła po polsku dzień dobry i miała piękne oczy? Zgodziła się w końcu na Monikę, bo i tak mało obchodziły ją przepisy i prawne regulacje, co za głupoty, wzruszała ramionami, a Hawa i tak została Hawą. W tym przypadku Grażynka nie zastanawiała się nad kwestią ojcostwa bardziej niż przy starszych córkach, może Januszek z Wałbrzycha, bidota, co miał żonę w wariatkowie, może prawa ręka zastępcy ministra z Warszawy, może kulawy Mirek od pieczarek, co grał na akordeonie, i za każdym razem, gdy patrzyła na najmłodszą córkę, mówiła, hej, Hawa, Hawa, tu mama, by jakoś rozkojarzoną dziewczynkę zakotwiczyć w zmieniających się okolicznościach dzieciństwa. W domu Hansa Hawa zaczęła zyskiwać na obecności, i dopiero teraz było widać, jaka jest wysoka, potężnie zbudowana i silna; już w piątej klasie zaczęła trenować podnoszenie ciężarów i zapamiętała siłowała się z ojczymem na rękę. Grażynka dawała dzieciom z siebie tyle, by cieszyły się na jej widok, ale nie tyle, by każdy dar musiały odwijać z ozdoby bibułki matczynego poświęcenia. Co to znaczy, że ty się poświęcasz, Jadzia? dziwiła się. Nie możesz po prostu

Dominiki kochać? Nie tresowała psów przybłądów i nie karała półdzikich kotów, które laziły jej po stołach i kanapach, zalegały w atlasach łóżka z baldachimem, a dzieci nie chciała urabiać na niczyj obraz i podobieństwo, bo od początku wydawały jej się osobnymi istotami, które zostały tylko na krótko oddane pod jej opiekę. Mijały lata i córki coraz częściej odrywały się od Grażynki, nie zostawiając ran, znosiło je w miejsca lepsze i gorsze, ale w żadnym z nich nie mogły powiedzieć, to twoja wina, mamó, ani, to wszystko dzięki tobie; i cudem, którego zazdrościła Grażynce niejedna matka, wyrosły na kobiety przekonane, że są tam, gdzie powinny, że ich ciała i myśli należą do nich. Ona sama chwilami zapominała, że przez tyle lat była matką trzech dziewczynek niepodobnych ani do niej, ani do siebie nawzajem, bo macierzyństwo zajmowało tylko jeden z zakamarków jej serca. Nie krytykowała ich wyborów, a to, co trafiło się jej dzieciom, przyjmowała bez zdumienia, jakby zawsze wiedziała, że będzie właśnie tak, a nie inaczej. Najstarsza, Róża, od dziecka zainteresowana cieniami do powiek i szminkami, którymi z upodobaniem podkreślała rysy swojej twarzy, została kosmetyczką w Monachium. Aniela, kolekcjonerka przepisów na słodycze, otworzyła cukiernię w Gelnhausen, starym miasteczku w Hesji, jej przyjęcia ogrodowe zasłynęły w całej okolicy z najlepszego Apfelkuchen i tłustej bitej śmietany, a Hawa poszła do liceum sportowego i odnosiła pierwsze sukcesy w podnoszeniu ciężarów na zawodach międzynarodowych. Raz nawet pokazano ją w telewizji i cała wioska Mehrholtz o tym mówiła, patrzcie, patrzcie, córka tej polskiej przybłądy karierę sportową robi, ciekawe, ile ma z tych występów



na rękę. Najmłodsze dziecko Grażynki, Daniel, syn Hansa, co do czego wątpliwości nikt mieć nie mógł z powodu niezaprzecznego podobieństwa, był chłopcem spokojnym, poważnym i cichym; w wieku, gdy jego rówieśnicy chcieli zostać policjantami, bandytami, strażakami, on mówił, że zostanie hodowcą jak ojciec. Z powagą powtarzał, że będzie mieszkać w Mehrholtz i hodować zwierzęta, i co dziwniejsze, słowa dotrzymał.

Gdy córki wyprowadziły się, Grażynka nie zaniechała swoich wieczornych spacerów do lasu, a Hans dawno przestał już pytać, po co tam chodzi, bo najważniejsze, że Grażynka wraca taka sama, a może nawet jeszcze wspólniejsza, z włosami lśniącymi od rosy i oczami tak czarnymi, jakby wsączyła się w nie ciemność. Czasem towarzyszy jej nowy kot lub pies przybłąda, czasem ma w ręce kiść jarzębiny albo bukiet ziół, w który raz po raz zanurza twarz. Każdy, kto ją wtedy widzi, nawet Frau Korn i Frau Zorn ukryte za firankami, nagle przypomina sobie nieużywane na co dzień słowa, takie jak morskie fale, przepaści, syreny, odmęty; albo obrazy z jakiejś książki, a może ze szkolnej wycieczki do muzeum, gdzie na ścianach wisiały wizerunki kobiet o perłowych ciałach, które, bezwstydnice jedne, kąpały się w leśnych jeziorach albo jadły nago śniadanie na trawie. Gdy przychodzi czas spaceru Grażynki, Hansa ogarnia niepokój, bo choć jego żona zawsze wraca do domowych pieleszy, czuje on, że jej wyprawy są czymś zupełnie odrębnym od niego, ich domu pełnego rzeczy, ich wspólnego życia. W takie wieczory powietrze gęstnieje, jakby ich dom wypełniała mgła, która zaciera kontury sprzętów i gromadzi się w kątach; Hans Kalthöffer patrzy więc, jak Grażynka zakłada gumki, oplątuje

szyję szale, odwraca się do niego w drzwiach. Macha jej wtedy ręką i robi zabawną minę, że to nic takiego, przecież tylko spacer, a ona odpowiada uśmiechem, który ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza. Hans Kalthöffer, hodowca świń spod Monachium, czuje, że w tym momencie kobieta, w której zakochał się w sali dansingowej sanatorium w Szczawnie Zdroju, matka jego syna, należy do niego jeszcze mniej niż na co dzień. Co moje, to twoje, powtarzał Grażynce, od kiedy się poznali, choć na początku, zanim nauczyła się niemieckiego, po prostu przykladał jej dłoń do kolejnych rzeczy, domu, powietrza nad polem, linii horyzontu, swojej różowej klatki piersiowej porośniętej jasnymi włoskami. Ona nigdy nie powtórzyła gestu swojego niemieckiego męża, ale nigdy go też nie okłamała. Hans obserwuje Grażynkę przez okno do momentu, gdy wchłania ją ciemność lasu, a potem stoi i czeka; dopiero gdy zobaczy powracającą, odetchnie, usiądzie na kanapie i włączy telewizor, udając, że spokojnie ogląda mecz albo program rolniczy.

Grażynka idzie najpierw koło chlewni, które należą do niej, potem przez swoje pole wspina się na wzgórze, gdzie wchodzi w las, który nie należy do nikogo; niezależnie od pory dnia panuje tu mrok, ani światła, ani głosy wsi nie docierają między drzewa rosnące tak gęsto, jakby strzegły jakiejś tajemnicy. Grażynka posuwa się do przodu, dotykając pni, mimo doskonałego zdrowia, zawsze miała słaby wzrok, co zresztą jej specjalnie nie przeszkadza. Jej szal w groszki powiewa na wietrze i czasem Hans z okna dostrzega błysk czerwieni między drzewami, który znika zaraz jak zduszony płomień. Na szczycie wzgórza, pośrodku bezpiecznego lasu, Grażyn-



ka siada na kamieniu tak gładkim, jakby wyrzuciło go morze, i patrzy na dom, który z tej odległości przypomina domek dla lalek, kwadrat ciemności z wykrojonymi okienkami światła. Las wokół niej szumi jak fale, powietrze jest ożywcze i czyste; Grażynka widzi stąd swoje życie i jest to jedyne miejsce, gdzie przeszłość ma dla niej znaczenie, ale nawet teraz nie jest ona ciągiem wynikających z siebie wydarzeń, ale kalejdoskopem, w którym za każdym razem pojawia się inny wzór. Są tu rzeczy, które zdarzyły się, a których nie ma, oraz takie, które nie zdarzyły się, ale są, jest wiele rzeczy, które dopiero się przydarzą; są Róża i Aniela, jest Hawa, trzy kobiety, po których jej córki dostały imiona, są one same, raz małe, raz dorosłe, uśmiechnięte, z buziami umazanymi czekoladą. Grażynka na co dzień nie myśli o wcześniej i później, bo musiałaby przypomnieć sobie, ile ma lat, co uczyniłoby ją jedną z najstarszych matek odnotowanych przez światową medycynę. Jej życie to ciągle teraz, którego centrum jest ten brzydki i bogaty dom na niemieckiej wsi, jej mąż, który zna się na hodowli świń i nieraz płacze nocami, oglądając rodzinne fotografie, jej syn Daniel, który wygląda jak ojciec, bo to on naprawdę go pragnął. Grażynka sama nie pragnęła żadnego ze swoich dzieci, bo niczego jej nie brakowało nawet wtedy, gdy nie miała nic własnego prócz odkopanego gramofonu, a Halina Chmura szyła jej spódnice z farbowanych na czerwono pieluszek w zapyziałej wałbrzyskiej kamienicy. Z tego miejsca w bezpiecznym lesie Grażynka widzi przeszłość i przyszłość, które jak mgliste planety krążą wokół jej niemieckiego domu, ale to centrum wszechświata jest przypadkowe i nietrwałe.

Kamieńsk, między ... na mapie centralnej ... na nią uwagę może tylko ktoś, kto ... zzyjej uwagi nie odciągną dwa pob ... esztą niewielkie i niepiękne, Radomsko i Piotrków Trybunalski. Kamieńsk leży na glebie piaszczystej i lichej, a dzieci przychodzą tu na świat z umiejętnością zbierania kamieni z pól, które co roku rodzą ich więcej, jakby ziemia wiosną wypychała twarde plody ze swoich trzewi. Dobrze tu rosną sosny, brzozy i wrzosi, a ludzie są niewielcy, susi i ziemni, ich ciała mają kolor ziemniaczanej skórki. Gdy wojna czy inny kaprys losu rzuci ich gdzieś daleko, rozglądają się dookoła, ale tak, by ogarnąć wzrokiem tylko to, co w zasięgu rąk; zaczynają przykrawać, latać, sklejać, mościć, wędzić i kisić, by po krótkim czasie czuć się u siebie na jakiejś Piaskowej Górze, Greenpoincie czy Hammersmiesie. Przesadzeni w inne miejsce nie zmieniają się wiele, a gdy zmienić się muszą, wyrodniejają i wymierają; się porobiło, mówią, wyrolowali nas, narzekają, odkujemy się, grożą, gdy ich tak los przycisnie, że ledwo mogą złapać oddech. Niepodobnych do siebie trą tak długo, aż się dotrą i upodobnią, a wtedy nazywają ich jakoś po swojemu, mówią na przykład, te dwie to Cioce Herbatki, i zaraz czują się pewniej, bo najgorsze dla nich jest nienazwane. Gdy wojna zmiecie żydowskich krawców, cieśli, nośwodów, sklepikarzy, handlarki i fotografów, kowali i piekarzy, bez sentymentu zajmą ich miejsce w domach wzdłuż brukowanych uliczek Kamieńska. Czasem tylko Marianna Gwóźdź westchnie, ach, jak te Żydówki umiały takie coś słodkie ugotować z rodzynkami, z marchewką,



wej roboty i tak im się d... rozmawiało, że opróżnili  
trzy butelki. Nazajutrz... skacowany,  
z językiem jak... miejsce po  
tablicy obfot... o, który za-  
chęcać go be... ościo-  
łowi albo ob... szenie  
namalował... jęcia,  
proszę, ja... naturze.  
Niechże zro... pokaże  
komuś zdjęcie s... kamień-  
skim kościele p... nec wizy-  
ty w Kamieńsku s... ruiny dworu oraz  
Napoleonówkę opuszczoną i... wy ścian zarośniętą  
łopianami; przez płot przelazł i pewnie w gówno jakieś  
wdepnął, bo potem go Marianna Gwóźdź widziała, jak  
buty o trawę czyścił.

Napoleonówka, obszerna chata kryta strzechą, któ-  
ra opadała na niewielkie okna jak futrzana czapka, stała  
w wilgotnym ogrodzie, zbiegającym aż do rzeki Kamion-  
ki. Grażynka potrafi odtworzyć w pamięci każdy szczegół  
tego domu z czasów, gdy toczyło się w nim życie; okien-  
nice malowane na zielono, fakturę szorstkich ścian, które  
nagrzane słońcem wydawały się żywe jak skóra bardzo  
starego zwierzęcia, zapach zsiadłego mleka, suszonych  
grzybów i lawendy, który był pierwszym, jaki czuli w sie-  
ni goście zaproszeni na herbatkę. Grażynka nie musi za-  
mykać oczu jak dziadek Mopsiński, wystarczy, że wyjdzie  
z domu i zanurzy się w las, by znów widzieć, jak przy cięż-  
kim drewnianym stole siedzą w Napoleonówce dwie ko-  
biety i dziewczynka w blasku naftowej lampki; ta dziew-  
czynka to ona, kobiety to Cioce Herbatki.

Ostatnimi lokatorkami Napoleonówki były pod-  
opieczne dziedzica hazardzisty, które zgodnie z umo-  
wą przygarnął Antoni Mopsiński, Róża i Aniela Rozpu-  
chówny. Najpierw mieszkaly razem z rodziną Antoniego  
Mopsińskiego, grzecznie witały się z Fabrykantem, który  
za każdym razem sprawiał wrażenie, jakby musiał sobie  
przypomnieć, kim one, do diabła, są; cieszyły się, wyda-  
jąc ciche okrzyki och i ach, ze swetrów, szali i lizesek,  
jakie wysztrykowała dla nich Józefina Mopsińska, zaj-  
mowały się małym Napciem. Były łagodne w obejściu,  
niewymagające i ciche, obie miały ciemnoblonde warko-  
cze, szare oczy i przerwę między górnymi jedynkami,  
ale podczas gdy Aniela, szybka i zamaszysta, trąkotała,  
łącząc ze sobą słowa, szafując przymiotnikami i łykając  
w pośpiechu samogłoski, Róża przed każdym słowem  
zastanawiała się i wzdychała, jakby użycie go wiązało się  
z wydatkiem. Owo niepodobieństwo w podobieństwie  
wydawało się wręcz niewłaściwe i niektórzy mieszkań-  
cy Kamieńska podejrzewali, że wcale nie są siostrami,  
nawet nie kuzynkami. Mimo zwykłości wyglądu Róży  
i Anieli, który ani nie raził, ani nie zachwycił, jakiś drob-  
ny, trudny do zdefiniowania szczegół sprawiał, że nigdy  
do końca nie wydawały się swoje. W hierarchii domowej  
siostry lub nie siostry zajmowały pozycję niedookreślo-  
ną, trochę niżej niż znająca podstawy francuskiego gu-  
wernantka z Piotrkowa Trybunalskiego, zatrudniona dla  
Napcia, wyżej jednak bez wątpienia niż Marianna Gwóźdź  
i dwie służące z Kleszczowej, dlatego mniej uprzywile-  
jowani konkurenci sądzili, że za wysokie progi, a wyżej  
postawieni uważali, że nie wypada. Miały niewiele po-  
nad trzydzieści lat, gdy spisano je na straty, uznając za



zbyt stare na zamążpójście, a nigdy właściwie nie stały się przedmiotem plotek i romansowych spekulacji. Róża i Aniela przedkładały własne towarzystwo nad spotkania z mężczyznami i nawet wówczas, gdy bracia Sopli-cowie z Gorzkowic zaprosili je do Radomska do kina, o czym niejedna panna na wydaniu marzyła, wydawały się zainteresowane przede wszystkim sobą nawzajem. W pełnym przeciągów i nieużywanych pokoi kamieńskim dworze siostry nie siostry zajmowały się malowaniem akwarelek, suszeniem ziół i kwiatów na potpourri, z talentem przyrządzały lecznicze nalewki i mikstury; wszędzie zostawał po nich ziołowo-apteczny zapach czegoś, co zbyt długo leżało w szafie i nie zepsuło się wprawdzie, ale straciło świeżość. Ich blade i niewyraźne obrazki nieodmienne przedstawiały zaaranżowane na stole martwe natury albo morze, obie marzyły, by pojechać kiedyś nad Bałtyk, jak wspominały przy łada okazji. Róża i Aniela Rozpuchówny herbatę nalewały z wdziękiem, ubierały się ponad wiek poważnie, na stole stawiały świeże ciasteczka i owoce ułożone na liściach winorośli w sposób, który wydawał się elegancki. Na koniec wizyty obdarowywały wszystkich gośćmińcami w postaci słoika kiszzonej kapusty, ogórków w miodzie lub konfitury i namawiały, by ponownie, może w następny czwartek, przyszli na herbatkę. Potrafiły prowadzić lekkie, niezobowiązujące rozmowy, ograniczając się do zadawania dokładnie takich pytań, na jakie rozmówca pragnął odpowiedzieć, bo dotyczyły jego ogrodu, ołtarza, dziecka, sukni albo wrzodów na żołądku; stłumione okrzyki zachwyty lub zdziwienia, jakie wydawały z siebie Róża i Aniela, były pełne zrozumienia i doskonale wyważone. Podejmowały

herbatą księdza, lekarza, właścicieli sklepu z towarami kolonialnymi, dyrektora poczty i aptekarzową, a robiły to z łagodną przyjemnością, odciążając roztargnioną i wiecznie sztrykującą panią domu. Gdy Antoni Mopsiński uznał wydanie Róży i Anieli za sprawę beznadziejną, bez szemrania przeniosły się do Napoleonówki i tam kontynuowały herbaciane ceremonie przy domowych konfiturach i ciasteczkach, jakby nie zauważyły, że standard ich życia obniżył się z dworu pod strzechę. Zaczęły robić przetwory i w ich spiżarni zawsze stały trzy beczki kiszzonek, do kapusty dodawały z fantazją raz całe jabłka, raz paprykę i kminek, a ci, którzy spróbowali, mówili, że inne te ich kiszkonki niż normalnie, ale, o dziwo, smaczne. Wierzone, że likiery, mikstury i nalewki ich produkcji pomagają na wiele schorzeń i często, zanim wybrano się do lekarza, radzono się mieszańek Napoleonówki, co najlepsze na pieczenie w żołądku, uporczywe skrofule czy dzwonienie w uchu.

Róża i Aniela Rozpuchówny miały zdolność niezwracania na siebie zbytnej uwagi; ich istnienie tak naprawdę dostrzeżono dopiero wówczas, gdy oddzieliły się od rodziny Fabrykanta Mopsińskiego i zamieszkały w Napoleonówce. Wystawione na zewnątrz rodzinnego układu wydały się jakoś drażniące i niedopasowane, no coś takiego, mówili mieszkańcy Kamieńska. Znano tu stare panny rezydentki, w każdym okolicznym dworze była taka ciotka-pociotka, kuzynka bez posagu, lekko uszkodzona stryjenka czy wujenka w drucianych okularach, ale dwie niezamężne kobiety zamieszkujące osobny dom? Może gdzieś w mieście, w Piotrkowie czy Radomsku, ale nie w Kamieńsku, chyba żeby współlokatorki były sta-



re i wyraźniej spokrewnione. To wówczas nazwano je Ciociami Herbatkami i to wspólne imię wszystkim zainteresowanym odpowiadało, a niewypowiedziane podejrzenia pozostały nienazwane, tym bardziej że nazw brakowało na takie rzeczy w Kamińsku. Ciocie Herbatki wydawały się zadowolone z nowego przydomku i zdecydowanie były zadowolone z własnego domu, powiesiły w oknach Napoleonówki świeże firanki i zasłony, pobielili ściany i wyplewiły ogród, a wszystko to robiły na cztery ręce. W ciepłe dni siadały na ławeczce i łuskały groch albo obierały jabłka; niektórzy trochę się irytowali na ten widok, bo nie dość, że takie podwójne i niezamężne, to jeszcze nie wiadomo, pańskie czy chłopskie, bo jak popatrzysz, to na dwoje babka wróżyła, raz wystrojone jak ze dworu, a raz rozmamlane jak byle baba groch sobie łuskają w chustkach na głowie. Czasem Ciocie Herbatki po prostu siedziały beczynn timer, patrząc na drogę, jakby na coś czekały, jedna obok drugiej, takie do siebie podobne w gęstniejącym zmierzchu, nieruchome. I doczekały się.

W Napoleonówce przyszła na świat Grażynka, a właściwie została nań przyniesiona marcowym przedświtem, gdy pierwsza fala szarego światła dobiegała do rogatek Kamińskiej od strony Kleszczowej. Co najmniej trzy osoby ją na świat przyniosły, nie licząc nieznaney matki, która ją nosiła, i trudno dociec, dlaczego światem w tym wypadku był akurat Kamiński, spośród sąsiednich wiosek wyróżniający się jedynie Górą Kamińską, dziwnym wzniesieniem, które na płaskim krajobrazie centralnej Polski wygląda jak grudka pod wyprasowanym obrusem. To mikroskopijne miasteczko, łatwe do pomylenia

z wsią, leżało jak kurza kupka na skrzyżowaniu dróg wiodących do miejsc o wiele ważniejszych; przez Kamiński prowadziła droga z Katowic do Gdańska i z Warszawy aż do Wiednia, który z perspektywy Kamińskiej wydawał się tak daleki, że aż nieprawdziwy, choć tutejsza nauczycielka muzyki, Aurelia Borowiecka, katowała swoich uczniów wiedeńskimi walczykami, na raz, dwa, trzy. Twarzy pierwszej osoby, która przyniosła na świat Grażynkę, nikt nie widział; cierpiący na bezsenność fotograf Łudek Borowic i Marianna Gwóźdź, która ze służącej Fabrykanta awansowała wówczas na gospodynię proboszcza Wenancjusza Pielasy, dostrzegli co prawda obcą postać w Kamińsku, ale mieli sprzeczne zdania na temat jej płci, wieku i ubioru. Łudek pewny był, że kobieta, wysoka, rudowłosa, biegła drogą w stronę rzeki, jakby ją gonili, a gospodyni zapierała się, że gówno tam widział, patrzcie go, fotograf, a ślepy jak kret, przecież to chłop był, mały, lecz w sobie, przy kości, w kapeluszu jak Cygan, i nie pędził, lecz jakby lisio się przemykał, a takie lisie przemykanie w kapeluszu cygańskim jest oczywistą oznaką nieczystego sumienia. Stan sumienia mężczyzny przy kości i w kapeluszu, o ile nie był wysoką rudowłosą kobietą, pozostał tajemnicą, bo Łudek Borowic, fotograf z Kamińskiej, nie przyznał się, że tak naprawdę widział kobietę średniego wzrostu, i to całkiem z bliska, podeszła bowiem do jego drzwi, by na progu zostawić zapakowane w kokon szmat niemowlę. Gdyby to żona Łudka, piękna Hawa, otworzyła drzwi, dziewczynka prawdopodobnie zostałaby pod numerem siódmym na ulicy Prostej, między piątką, gdzie mieściła się cukiernia Mateusza Suligi, a dziewiątką, gdzie zakład



fryzjerski prowadził Tadeusz Kruk. Jednak fotograf nie chciał mieć dzieci i z pewnością uznano by go w Kamieńsku za odmieńca, gdyby się do tego przyznał, dawał więc do zrozumienia, że w kwestii rozmnażania to z żoną coś jest nie tak. Użył tchórzliwego wybiegu, choć nie był tchórzem i gdy wzdychał, wymieniając imię żony, Hawa, w oczach zbierały mu się łzy. Mówiono w miasteczku, że bardzo ją musi kochać, skoro nie rozwiódł się, mimo iż bezpłodna. Ludek nie miał nic przeciw dzieciom jako takim i fascynowały go miniaturowe ludeczki, którym robił zdjęcia z okazji chrztu, bar micwy czy komunii, a jego niechęć do posiadania dzieci związana była ze straszną tajemnicą, z którą musiał żyć i z którą umrze, nie pisząc nikomu słowa.

Biedny Ludek Borowic, na którego próg przyniesiono Grażynkę, miał dar przepowiadania nagłej śmierci, widział ją nie na twarzach fotografowanych, ale na ich podobiznach. Wizerunek człowieka mającego umrzeć nagle i nie z choroby, na zdjęciu zrobionym przez Ludka był zamazany, jakby drżący, a twarz niewyraźna i zatarta. Krzyczał na niego ojciec, u którego w tym samym zakładzie uczył się fotografii, że rękę ma do łopaty, a nie sztuki tak wysublimowanej jak zdejmowanie wizerunków. Ja się pytam, grzmiał na syna, czy tak wygląda Marek Słowik? Ja się pytam, czy Marek Słowik ma gębę bladą i oczy trupie? To dybuk jakiś, nie Słowik! Stary Borowic umarł, zanim związek między prześwieconym zdjęciem a nieszczęśliwym wypadkiem modelu stał się oczywisty. Szedł właśnie ojciec Ludka na pocztę z listem do kuzyna z Grodna za pazuchą, gdy na ławce pod kamieńskim kościołem zobaczył śmierć: siedziała tam i skubała sł-

necznik wielki jak młyńskie koło. Nie miał wątpliwości, że to ona, więc pokazał tylko na list, że chciałby go jeszcze wysłać, jeśli można, a ona lekko wzruszyła ramionami: proszę bardzo, niech wysyła, ona może poczekać, aż tak jej się nie spieszy. Umarł ojciec Ludka, zanim zdążył spełnić swoje marzenie o podróży do Grodna, gdzie żyło wielu jego kuzynów i kuzynek, a jeden krewny do tego miał na imię Ludek, jak on i jego syn, i też był fotografem, co za zbieg okoliczności. A ciekaw jestem, wzdychał Ludek, ojciec Ludka, czy tamten Ludek z Grodna taki sam jak ja, czy inny? ale nie miał swej ciekawości zaspokoić, bo śmierć splunęła ostatnią łupiną słonecznika, pasiastą jak skrzydełka stonki, podeszła do niego i wzięła go pod ramię.

Pierwsza śmierć przepowiedziana przez Ludka Borowica, wówczas dwunastoletniego, dotknęła Marka Słowika, hodowcę z Kleszczowej, którego pod okiem ojca sfotografował z okazji sukcesu w dorocznej wystawie bydła. Krowa mleczna Marka Słowika zajęła pierwsze miejsce i na fotografii wyszła jak trzeba, wyraźna, potyskliwa, aż chciało się dotknąć, podczas gdy właściciel stojący przy niej w pozie dumnej i sztywnej wyglądał jak wymoczony w wybielaczu. Dostał Ludek przez łeb i aż się popłakał, a jego ojciec pomstował, retuszując fotografię, że tylko taka niezguła jak jego syn może spaprać pół zdjęcia, bo jeszcze jakby całe, toby jakoś człowiek zrozumiał, a tu pół jak się patrzy, a drugie pół spaprane. Po tygodniu Marek Słowik zginął pod kołami pociągu do Wiednia, gdy po pijanemu przechodził przez tory, podczas gdy krowa pozostała w dobrym zdrowiu i rok później znowu zdobyła medal na wystawie. Mógł Ludek



wybrać inny zawód, tak czasem podpowiadał mu głos rozsądku, ale wewnętrzne przekonanie, silniejsze niż rozsądek, mówiło z kolei, że to los wybiera nas i nie ma co się silić, by zrozumieć, dlaczego jest tak, a nie inaczej, weźmy na przykład jego naród wybrany przez Boga, który niekiedy wyraźnie nie wie, po co to zrobił, ale jest już za późno, by wszystko odwołać. Boże, wzdychał więc Ludek, a każde wywoływane zdjęcie sprawiało, że jego serce waliło jak pociąg, który przejechał po Marku Słowiku, hodowcy krów mlecznych z Kleszczowej, bo jeśli śmierć pojawiła się na odbitce, nie było odwrotu. Śmierć na fotografiach Ludka Borowica mogła być młoda, ledwie opierzona, a wtedy potrzebowała trzech do czterech lat, by dojrzeć, albo już wyrosnięta, gotowa i lśniąca jak lukier na wielkanocnym mazurku z cukierni Mateusza Suligi, a wówczas zabierała się do roboty w ciągu miesiąca. Władysława Przetak, zdjęta z powodu ślubu z Wojciechem Przetakiem, spadła z drabiny tak nieszczęśliwie, że już nie wstała, Ludwika Poznańskiego, weterynarza, sfotografowanego z okazji narodzin syna, koń kopnął w czoło, a mała Ada Witz wpadła do starej studni, zwabiona swoim dalekim zielonkawym odbiciem, wyłowiono ją dopiero po dwóch tygodniach poszukiwań, i to tylko dlatego, że nocą cembrowina studni zaczęła świecić na seledynowo, bo obsiadały ją całe chimery robaczków świętojańskich. Ludek opanował do perfekcji sztukę retuszu i ci, których śmierć dopadła na jego fotografiach, niczego się nie domyślali, zabierając do domu zdjęcie przy greckiej kolumnie albo na tle morza, a Ludek pozwolił godzić się z tym, że jego ostrzeżenia rzucane jakby nigdy nic – a na wodę uważajcie, Macieju – na nic też się

nie zdają, bo śmierć znajduje tych, których naznaczyła. Najgorsze miało jednak dopiero przyjść i wtedy Ludek, tuż po ślubie z piękną Hawą, zdecydował, że nie będzie miał dzieci.

Na początku Ludek Borowicz, fotograf z Kamieńska, nie wierzył w to, co widzi, bo na ślubnej fotografii starszej siostry Ady Witz, Aliny, wszystkich trzydziścioro dwoje gości, włączając państwa młodych, nosiło białe cięć śmierci. Śmiercią jak szronem pokryci byli od stóp do głów Ida i Mosze Lipszycowie, szronem – ich nowo narodzona córka Ida, młodzi Dalia i Eli z córeczkami bliźniaczkami, Gołda i Herszel Kac, właściciele sklepu żelaznego, oraz ich dzieci, oprócz jednego, nieobecnego na zdjęciu Icka, a także syn zegarmistrza Feliksa, Janek, który przyszedł sfotografować się w czapce studenckiej, by dumny ojciec mógł chwalić się klientom, to mój syn student z Łodzi; śmierć jak celofan owijała się wokół Mordki, rzezaka, i jego żony, rudej Salomei, dotknięty był śmiercią wuj Ludka, też Ludek, i rzeźnik Kowalski o ogromnym brzuchu, a także siostra rzeźnika, stara panna Wala, przyjaciółki Ajla i Bajla, oraz ośmioro z dwunastu uczniów polskich i żydowskich na szkolnej wycieczce nad rzeczką Fryszerką; śmierć otulała Adi, szwaczkę, która pozowała przy kolumnie z tajemniczym uśmiechem, bo fotografia miała zostać wysłana do Ameryki, gdzie w ślad za nią planowała udać się i Adi, by dołączyć do narzeczonego. Retuszował Ludek i płakał nad uroźzonymi ustami Adi, które były już martwe i nie otworzą się w zachwycie na widok Statui Wolności, płakał nad martwym brzuchem rzeźnika i piersiami Salomei, płakał nad Aurelią Borowiecką i jej kasztanowym kokiem. Płakał też



tego dnia, gdy Hawa poprosiła, Ludku, zrób mi zdjęcie w tej pięknej nowej sukience, bo wokół jej postaci polyskiwał nieomylny znak śmierci, dopiero dojrzewającej, ale pewnej jak w przypadku wielu innych mieszkańców Kamieńska, Kleszczowej i Gorzkowic, których fotografował. Nie musiał Ludek już żałować, że sam sobie nie może zrobić zdjęcia, by dowiedzieć się, co go czeka, bo wiedział, że bez żony nie może być mowy o żadnym życiu. Dlatego właśnie Ludek Borowic, fotograf z Kamieńska, nie mógł zatrzymać tego dziecka, które podrzucono pod jego drzwi.

Pochylił się i zobaczył oczy, spojrzały na niego dziwnie dorośle i z powagą o wiele większą niż to ciałko, które niezdarnie wziął w ramiona; nie miał najmniejszych wątpliwości, że to dziewczynka. Rozejrzał się Ludek, ulica Prosta była pusta i szara, na jej końcu majaczyła sylwetka kościoła. Nie miał wiele czasu na myślenie i pognął tam z duszą na ramieniu, by zostawić pakunek na schodach plebanii. Księdza Wenancjusza Pielasę akurat ostatnio zdejmował, wyszedł mu cały i zdrowy, wyraźny; wiedział poza tym, że to ktoś, komu może zaufać, bo niejedną nalewkę Cioć Herbatek razem wypili, dyskutując na temat Boga. Ukryty za węglem najbliższego domu, gryząc paznokcie zniszczone przez chemikalia, Ludek Borowic czekał, aż pojawi się nowa księża gospodyni. W Kamieńsku ludzie znali nawzajem swoje zwyczaje, a Marianna Gwóźdź znana była z tego, że przychodzi na plebanię jeszcze przed świtem. Żartowano, że na księżą gospodynię za młoda, ale brak urody ratował ją przed podejrzeniami, musiała żyć z piętnem najbrzydszej dziewczyny w okolicy, ale do gorszych rzeczy

się człowiek przyzwyczaja. Pięciominutowe spóźnienie Marianny Gwóźdź omal nie przyprawiło Ludka o zawał, spociał się cały, główkując, czy zabrać małą i gdzie indziej podrzucić, czy może jeszcze poczekać, i już, już trzecia możliwość zaczynała kielkować w jego głowie, niezwykła i sprzeczna z pierwotnym postanowieniem, gdy gospodyni wytoczyła się z bocznej uliczki. Ludek widział, jak Marianna Gwóźdź podniosła kokon i zajrzała do wnętrza, tak jakby podnosiła pokrywkę żeliwnej brytfanny, sprawdzając, czy dobrze upiekł jej się kurczak nadziewany wątróbką i kaszą; widział, jak rozejrzała się wokół i z szybkością, której nie spodziewał się po jej obfitym ciele, ruszyła ulicą Prostą z dzieckiem w ramionach. Ludek odczekał chwilę i wynurzył się z cienia, by podążyć za Marianną Gwóźdź, gospodynią księdza Wenancjusza Pielasy. Biegli tak przez uśpione miasteczko ulicą Prostą, a potem Poprzeczną i Krótką, biegli pod oknami, za którymi ludzie kończyli śnić ostatnie sny, aż oczom Ludka Borowca ukazała się rzeka Kamionka z pierwszym promieniem słońca, który przeciął ją jak nożem, i w głowie fotografa zakiełkowało straszne podejrzenie. Gospodyni zatrzymała się porażona nagłą jasnością, wstającą z nadrzecznych zarośli młodego łopianu, i skręciła na ścieżkę do jedyne go domu, który stał w tej okolicy. Zaczajony w wiosennej zieleni Ludek widział, jak kobieta kładzie zawiniątko na progu Napoleonówki i rzuca się do ucieczki na przelaj, omal nie nokautując go biodrem. Zanim ścieżkami nad Kamionką znanymi tylko wędkarzom i pływakom sam przemknął do domu, od strony ogrodu białego od przebiśniegów widział jeszcze otwierające się drzwi Napoleonówki i jedną z Cioć Herbatek, która



zawołała, o Matko Boska! Ludek Borowic miał nadzieję, że jeśli nie dobre serce, to świt odwiedzie mieszkanki domu od podrzucenia dziecka w inne miejsce, i odetchnąłby z ulgą, gdyby zobaczył, jak jedna Ciozia Herbatka delikatnie kładzie zawiniątko na kanapie, na której oparciach akurat suszą się cienkie makaronowe placki na niedzielny rosół, a druga wznosi ręce do twarzy w geście łączącym przerażenie i zachwyt.

Od tej chwili fotograf Ludek Borowic czekał, aż Ciocie Herbatki przyjdą do niego z dzieckiem, by zrobić sobie zdjęcie, a on będzie mógł przekonać się, co znajduje przeznaczone. Myślano w Kamieńsku, że skończą się zaproszenia na herbatkę, gdy ku zgrozie Fabrykanta i wbrew jego radom, żeby oddać bachora do przytulku, Ciocie Herbatki przygarnęły podrzuconą dziewczynkę. Ale nie, nadal zapraszały a to księdza Wenancjusza Pielasę, a to aptekarza i aptekarzową, a to fotografa Ludka Borowica z jego piękną smutną żoną, dziecko zaś pokazywały wszystkim z matczyną dumą, jakby było oczywiste, że dwie stare panny, przy tym nie wiadomo, siostry czy kuzynki, mogą stać się matkami. Fabrykant Antoni Mopsiński nie był z tego zadowolony, coś takiego, fukał po domu, coś takiego, a jego żona, Józefina, zupełnie nie wiedziała, jak wobec mężowskiej dezaprobaty poradzić sobie z własną ciekawością i zadowoleniem, więc zabrała się do sztrykowania niebieskich ubranek, uważanych w owym czasie za właściwe dla dziewczynki. Wysyłała do Napoleonówki swojego syna Napcia i chciwie wysłuchiwała relacji kilkulatka, który wkrótce sam zaczął wymykać się do Cioć Herbatek kierowany jakąś dziwną tęsknotą; mógł ją zaspokoić tylko widok malutkiej

dziewczynki o włosach w kolorze karmelu i błyszczących oczach. Grażynka powiedział matce Napcio, chciałbym mieć taką siostrę albo żonę, bo jest najpiękniejsza na świecie! I wkrótce potem Józefina przemknęła do Napoleonówki z naręczem wysztrykowanych ubrań. To nasza Grażynka! obwieściły Ciocie Herbatki Józefinie, tak jak obwieszczają wszystkim.

Rozpieszczały swoją znajdę, jakby w tym jednym przypadku ich zdolność do mimikry i odgadywania cudzych życzeń przerodziła się w coś o wiele większego i lepszego niż uprzejmość. Zachwycone, z rumieńcem na policzkach stały nad kołyską i patrzyły na małą buzię, doskonałość muszelek uszu, miękkość loków. Dziecko uspokajała muzyka, więc mu Ciocie Herbatki śpiewały wszystkie znane sobie piosenki, chociaż uważały, że żadna nie ma ani dobrego głosu, ani słuchu; Grażynka jednak uwielbiała, jak fałszowały na dwa głosy miłość ci wszystko wybaczy, przybieżeli do Betlejem i pije Kuba. Ludzie stawali pod płotem Napoleonówki i zdumieni słuchali kolęd w maju, a było w tym śpiewaniu tyle radości, że sami zaczynali nucić, a potem długo jeszcze słyszeli głos Cioć Herbatek w głowie. Gdy Ciocie Herbatki usłyszały kataryniarza, chudego Moszkę Witza, wołały go do ogrodu, gdzie stawał pod starym orzechem i grał, a one pytały gulgoczące ze szczęścia dziecko, a to ci się podobą? a to? Kataryniarz grał tanga milongi i mazurki, melodie hiszpańskie i żydowskie, włoskie i polskie, raz panna Mania gra na mandolinie, potem marsza, walczyka, o sole mio jakieś na gondoli, a Grażynka klaskała tak długo, aż słońce zachodziło za Kamionką, grajek żegnał się, uchylając kapelusza, i odchodził z ręką zdrętwiałą



od kręcenia. Mówiły Ciocie Herbatki, nasza Grażynka, i większość mieszkańców Kamieńska powtarzała, ta ich Grażynka, nie mogąc się zdecydować, czy silniej odczuwają podziw dla aktu miłosierdzia, czy niechęć wobec nowego dziwactwa mieszkanki Napoleonówki. Nieraz widziano Różę i Anielę w Kamieńsku, jak prowadziły między sobą za ręce pulchną dziewczynkę, która czasem biegła przed siebie na coraz szybszych nóżkach i wołała do nich, zawsze w liczbie mnogiej: Ciocie Hierbatki!

Ludek Borowic obserwował dziewczynkę z daleka i czekał, wiedział, że nastąpi nieuniknione, każdy prędzej czy później do niego trafia. Gdy po kilku tygodniach sporów i awantur dziecku wypisano papiery na nazwisko Rozpuch, jak nazywały się siostry, o ile były siostrami, i ochrzczono je, Ciocie Herbatki zjawily się w jego zakładzie odstrojone, z małą Grażynką całą na biało, w towarzystwie rodziców chrzestnych, na których poprosiły Aurelię Borowiecką, nauczycielkę muzyki, i Mateusza Suligę, cukiernika. Chwilę zajęło Ludkowi ustawienie do zdjęcia tej nietypowej rodziny, drżały mu ręce, a siostry, zwykle tak zgodne, nie mogły dojść do porozumienia, która ma trzymać dziecko, aż w końcu nieco nadąsane ustaliły, że weźmie je matka chrzestna, usiądzie obok ojca chrzestnego, a one staną sobie skromnie z tyłu i będzie sprawiedliwie. Ciocie Herbatki zamarty bez kokieterii, bo nigdy jej w sobie nie miały, patrząc w obiektyw tak, jak patrzyły w lustro, by zetrzeć sadzę z policzka albo wyjąć rzęsę z oka. Aurelia przechyliła lekko głowę w lewo, bo kiedyś, jeszcze w konserwatorium, ktoś jej powiedział, że tak wygląda po prostu prześlicznie, Mateusz Suliga w ogóle się nie poruszył, żona tak mu wykrochmalila na

tę okazję koszulę, że brzeg sztywnego kołnierzyka omal nie poderżnął mu gardła, a Grażynka spojrzała na Ludka Borowica ze spokojem i powagą. Błysnęła magnezja i chrzestna, Aurelia Borowiecka, przyzwyczajona przecież do corocznych fotografii z uczniami, przestraszyła się i zamknęła powieki, pod którymi, ku swojemu zdumieniu, zobaczyła nagle długą kolejkę ludzi z walizkami na kolejowym nasypie, pod niebem czerwonym i pulsującym jak membrana. Gdy tego wieczoru Ludek robił odbitki, po jednej dla każdej Cioci Herbatki, dwie dla chrzestnych i jedną zapasową, czuł taką potrzebę chronienia tego dziecka, które kiedyś musiał odrzucić, że gotów był w razie czego wyretuszować jego wizerunek tak, że najbardziej przebiegła śmierć dałaby się nabrać na zdrowy rumieniec i błękit oczu. W gniewie mamrotał Ludek, że niech się nawet śmierć nie waży, i obiecywał wszystko, co niezamierzony fotograf z Kamieńska może dać w zamian, ale nie było takiej potrzeby, bo na wywołanym zdjęciu twarz dziewczynki była samym życiem. Jej usta wyszły różowe, a oczy niebieskie, prawdziwy cud na czarno-białej fotografii, a uroda dziecka była tym wyraźniejsza, że trzymającą je w ramionach Aurelię Borowiecką spowijał srebrny obłok śmierci, jakby dmuchnął jej ktoś w twarz papierosowym dymem, i rozlewał się, obejmując ojca chrzestnego, Mateusza Suligę, w koszuli wykrochmalonej na sztywno, aż w końcu dosięgał Cioć Herbatek, na których wizerunku wprawne oko fotografa dostrzegło złowieszczy cień nieopierzanej jeszcze śmierci. Odtąd Ludek Borowic fotografował Grażynkę, kiedy tylko była ku temu okazja, a potrafił tak zagadnąć Ciocie Herbatki, tak pochwalić wygląd dziewczynki,



że splendor spływał na siostry po równo i kraśniały jak po likierze morelowym z goździkami, który wydzielają sobie po naparstku codziennie wieczorem. Zrobił więc Ludek Borowic Grażynce, gdy miała rok, zdjęcie z piłką plażową w kolory domalowane przez niego precyzyjnie i z miłością, na tle morza z falą zatrzymaną tuż przy jej bosych stopach o doskonałych paznokciach jak bałtyckie muszelki, a potem w futerku baraním i czapce pilotce przy sankach, na letnio w sukience w kwiatki, i na jesienię z tornistrem skórzanym, z którym poszła do szkoły w Kamieńsku. Za każdym razem podziwiał Ludek doskonałość jej podobizny, a ona wyostrzała się i piękniała pod jego wzrokiem, jakby Grażynka miała umiejętność wchłaniania marzeń fotografa. Na ostatnim wizerunku zdjętym przez Ludka Borowica, żydowskiego fotografa z Kamieńska, Grażynka ma około dziesięciu lat i nadal nie trzeba nic retuszować, bo wychodzi wyraźna, niemal trójwymiarowa i z oczami dla odmiany piwnymi, lśniącymi jak świeże kasztany. Gdy wychodziła z zakładu Ludka Borowica, czekało na nią kilku chłopców przyklejonych do szyby, był tam jak zawsze melancholijny Icek Kac i Napcio Mopsiński w eleganckim ubranku, i był ktoś jeszcze, obecny, choć niewidoczny mężczyzna, którego spojrzenie zza firanki zakładu fryzjerskiego Ludek poczuł wraz z falą chłodu, uświadomił sobie wtedy, że Tadeusz Kruk nigdy jeszcze nie przyszedł, by zrobić sobie zdjęcie.

Sytuacja Cioć Herbatek i ich córki uległa kolejnej zmianie, gdy parę lat przed wojną Fabrykant wyemigrował z Polski z żoną i synem Napciem. Cioć Herbatek zostawił w Napoleonówce z Grażynką, bo nie zamie-

rzał zabierać ani dalekich krewnych, ani tym bardziej podrzutka, choć trzeba mu oddać, że słowa dotrzymał i zostawił im środki na skromne utrzymanie. Studiowanie historycznych książek z epoki napoleońskiej oraz doświadczenie wyniesione z fabryki guzików sprawiły, iż Antoni Mopsiński miał rzadką umiejętność przewidywania wydarzeń politycznych w skali lokalnej i międzynarodowej. Podczas gdy inni mieszkańcy Kamieńska na groźbę wojny mówili, iiiitam, bokiem przejdzie, panie, on patrzył w niebo i wzdychał, niedobrze, aj niedobrze się dzieje, aż w końcu zarządził: pakujemy się, Józefino. I zaczęło się we dworze wielkie pakowanie, ale Antoniego Mopsińskiego interesowało jedynie, by w całości za morze dotarł nocnik Napoleona, osobiście nadzorował owijanie go pakułami, trzema metrami jedwabiu w kolorze purpurowym, który Józefina zamówiła nie wiadomo po co i trzymała w kufrze, aż nadżarły go mole. Prawie dobrze, uznał, ale dla pewności kazał jeszcze pakunek z nocnikiem, który zamierzał w drodze trzymać przy sobie, owinąć dwoma swetrami wysztrykowanymi przez niestrudzoną małżonkę.

W bagażu podręcznym Józefiny Mopsińskiej były druty różnej grubości, motki wełny i zapas guzików, reszta jej nie obchodziła i Józefina nie zauważyła nawet, że Napcio, który z pędraka szybko stał się podrostkiem, snuje się markotny i nieswój. Powodowana wdzięcznością za dotrzymywanie jej towarzystwa, bo jak w skrytości ducha podejrzewała, dla nikogo nie była zbyt interesująca, chciała zostawić coś Cioćiom Herbatkom i Grażynce, jedynym osobom, które z własnej woli nosiły jej swetry, lizeski i szale. Może do wdzięczności domieszane było



parę kropel pocucia winy, Józefina Mopsińska wiedziała przecie, że jej wola jest zbyt słaba, głos zbyt cichy, by mąż wysłuchał prośby i pozwolił Ciociom Herbatkom i Grażynce zabrać się z nimi do Ameryki. Co by im tu, myślała, podarować na pożegnanie? Gdyby chociaż sztrykowały, ale do sztrykowania Ciocie Herbatki drygu nie miały, a do czego mieć będzie Grażynka, trudno było jeszcze przewidzieć. Za to pitrasieć lubiły, gości podejmować, tak, wzrok Józefiny Mopsińskiej padł na kryształową ponczówkę, którą opakowała porządnie i położyła na stole obok innych przygotowanych do drogi rzeczy. Elegancko w niej poncz gościom podadzą i może wspomną wtedy ją, Józefinę Mopsińską z Kamieńską. Gdy Ciocie Herbatki przyszły z Grażynką, by się pożegnać, pani Mopsińska dała im w prezencie ponczówkę, dwie ciepłe kamizelki i sukienkę dla małej, które mimo ogólnego rozgardiaszu udało jej się wysztrykować. Gdy Józefina Mopsińska zobaczyła, jak jej syn czerwieni się na widok kilkuletniej Grażynki, przyjrzała się dziecku o pięknych oczach i zdziwiła ją własna myśl, że oto od tego momentu będzie tęsknić za Kamieńskiem i wszystkim, co mogłoby się jej tu przydarzyć, ale się już nie przydarzy. Ciocie Herbatki odeszły z prezentami i Grażynką, a Józefina Mopsińska patrzyła za nimi w gęstniejącą ciszę ostatniego wieczoru i nie myliła się, sądząc, że ta chwila przesyciona smutkiem zapowiada w końcu coś więcej, coś lepszego w jej życiu kobiety, która zawsze wszystkich zawodziła.

Dopiero na miejscu, w ponurym nowojorskim hotelu, Antoni Mopsiński zorientował się, że zaszła straszna pomyłka. Przydzwigał w bagażu podręcznym i strzegł

przez całą podróż jak oka w głowie nie nocnik Napoleona, lecz zwykłą kryształową ponczówkę; jego roztagoniona żona Józefina pomyliła paczki. Antoni Mopsiński padł na miejscu rażony wylewem, który na długo pozabawił go mowy, czucia w lewej stronie ciała i połowy świadomości; ponczówkę też szlag trafił, bo wyrzuciła o podłogę i rozprysła się na tysiąc kawałków. Cały bałagan musiała posprzątać Józefina, a gdy Antoni Mopsiński doszedł do siebie, a miał do przejścia kawałek i to nie prostą drogą, okazało się, że nic już nie jest takie, jak było. Mieszkali nie w domu, jaki sobie wymarzył, lecz w dwupokojowym mieszkaniu na Lower East Side, bo pieniądze rozplynęły się niezwykle łatwo w tym mieście otoczonym przez dwie rzeki i ocean. Józefina już nie sztrykowała, tylko zarabiała na chleb w wytwórni parasoli należącej do sąsiadki, Polki Władzi, i jej męża Węgra o tak trudnym do wymówienia imieniu, że wszyscy, łącznie z małżonką, wołali nań Wacek. No, dzięki Bogu, jak nie umrze, to żyć będzie! powiedziała Władzia i razem z Józefiną postawiły uszkodzonego, lecz zdrowiejącego Antoniego Mopsińskiego do pionu. Fabrykant, który nie był już fabrykantem, lecz inwalidą, patrzył w zdumieniu na przysadzistą kobietę o agrestowych oczach, która nie była jego żoną, i na żonę Józefinę, która też wydawała mu się kimś obcym. Po raz pierwszy w życiu to, co robiła Józefina, inni uznawali za udane i pożyteczne, jej aktywność przynosiła rezultaty i pani Mopsińska, urobiona po pachy składaniem parasoli, wychowywaniem na ludzi syna Napcia oraz myciem, karmieniem i przewijaniem męża, czuła nagle przyływy satysfakcji, ale myliła je z uderzeniami gorąca. Gdy po kilku ładnych la-



tach żona Mopsińska wyprowadziła kulejącego i nie do końca jeszcze przytomnego małżonka Mopsińskiego na pierwszy spacer, akurat zaczęło padać. Józefina otworzyła parasol, jeden z tych, które produkowano w zakładzie Władzi i Wacka. Złota czasza, która nagle rozpięła się nad głową Antoniego Mopsińskiego, przypomniła mu utracony nocnik Napoleona i zrozumiał wtedy, że jest to strata bezpowrotna i że zdarzyła się z jakiegoś powodu, na którego zgłębienie będzie miał wszystkie bezsenne noce, jakie mu w życiu zostały. Płakał tak, jak nie płakał od czasu, gdy jako mały chłopiec przeczytał o ostatnich chwilach Napoleona, podtruwanego systematycznie na Świętej Helenie, tamte dziecinne łzy wróciły falą słonej powodzi i zalały małżonków Mopsińskich na rogu Czwartej Ulicy i Pierwszej Alei. Po powrocie do domu i zdjęciu przemoczonych ubrań były fabrykant napisał długi list do Cioć Herbatki, w którym tłumaczył im szczegółowo zasady przechowywania nocnika i wyluszczał jego wartość, ale list przepadł w powojennej zawierusze i nigdy nie dotarł do Kamieńska. Nawet jeśliby trafił w ręce Cioć Herbatki, byłoby za późno.

Cioć Herbatki przypuszczały, że niespodziewany prezent musiał być wynikiem jakiegoś nieporozumienia, więc po długiej dyskusji spakowały go ponownie i ukryły w beczce z podwójnym dnem; na wierzchu była kapusta, w drugiej komorze bezpieczny przed złym okiem nocnik cesarza. Cioć Herbatki nie tylko złego oka się obawiały, lecz także niefrasobliwości Grażynki, która od najmłodszych lat wykazywała kompletny brak zainteresowania dobrami materialnymi i trzeba było pilnować, by nie rozdała wszystkiego wykorzystującym jej słabość

dzieciakom z Kamieńska. Gdyby ktoś zobaczył nocnik i poprosił o niego, dałaby go tak samo bez wahania, jak wstążki, które z uśmiechem darowywała innym dziewczynkom, prawie nowe buciki, które odjechały któreś wiosny z cygańskim taborem, bo spodobały się starej Cygance, co to, trzeba jej przyznać, odwzajemniła się dziecku porządną patelnią. Ale zanim Grażynka doniosła ją do domu, trafiła na Mariannę Gwóźdź; co za zbieg okoliczności, że ta akurat takiej patelni potrzebowała. Cioć Herbatki łapały się za głowę i nieraz musiały lecieć za Grażynką, by powstrzymać jej hojność, uratować wyniesiony przez nią domowy sprzęt, niedzielną halkę albo złoty zegarek; utrapienie z tym dzieckiem, wzdychały i ze szczęścia jaśniały im twarze. Ukryły więc nocnik i czekały na list z Ameryki, minął jednak kolejny rok, a instrukcje w sprawie nocnika nie nadeszły; wtedy Cioć Herbatki podobnie jak Antoni Mopsiński zaczęły podejrzewać, że rzecz dostała się w ich posiadanie nie przypadkiem. Ano zobaczymy, wzdychały podczas corocznych oględzin nocnika, do których dochodziło zwykle na przednówku, gdy zjadały resztę kapusty z beczki a podwójnym dnie. Ani bombardowanie Kamieńska, w wyniku którego zginęło sto pięćdziesiąt osób i w perzynę obróciło się kilkanaście domów przy ulicy Prostej, a także zamknięty na glucho dwór Fabrykanta, ani wojenna bieda nie wytrąciły Cioć Herbatki z rutyny życia towarzyskiego, nadal napelniały gościom filiżanki i zadawały pytania dokładnie takie, jakich oczekiwano, z tym że zamiast herbaty indyjskiej czy chińskiej serwowały ziołowe napary, a ciasteczka, jak zawsze podane na patkach ozdobionych a to kwiatem, a to paroma świeży-



mi liśćmi, słodzone były melasą. Mieszkańcy Kamieńska mówili, że gdy skończą się herbatki u Cioć Herbatki, nastąpi koniec świata, i mieszkanki Napoleonówki czuły na swych barkach ciężar odpowiedzialności. Od czasu do czasu jechały na targ do Radomska albo do Gorzkowic, ale przyszła chwila, że wszystko, co miało jakąś wartość, zostało sprzedane, a zapasy wyczerpane do ostatniej grudki kaszy. Tylko beczenny nocnik tkwił w beczce i poprzez warstwy materiału, pakul i drewna świecił blaskiem, który sprawiał, że nawet w najciemniejszej nocy nie trzeba było zapalać świeczki w spiżarni. Ostatnio jakby wzmógł się jego blask; dziwne, kręciły głowami Cioć Herbatki i cicho zamykały za sobą drzwi na klucz. Zresztą na ogół nie bardzo było po co wchodzić do spiżarni, bo Ciociom Herbatkom i Grażynce naprawdę głód zajrzał w oczy i trochę się przestraszyły jego spojrzenia, które było białawe jak oszukane wodą mleko. Wkrótce liczba gości zapraszanych do Napoleonówki na skromną herbatkę mocno się zmniejszyła, bo na początku wojny założono w Radomsku getto, do którego trafili kamieńscy Żydzi, i nie było już ani aptekarza, ani państwa Kac, ani Ludka Borowica i jego pięknej żony Hawy; część z nich wywieziono do Trebłinki, inni znaleźli się pośród tysiąca pięciuset zastrzelonych na radomszczańskim cmentarzu. W trzecim roku wojny Grażynka zachorowała, co Cioć Herbatki przeraziło nie na żarty; dziewczynka nigdy przedtem nie miała nawet kataru, chociaż już od marca brodziła w Kamionce i całą zimę latała bez czapki. Mówiła zawsze, jak mi gorąco, wcale nie czuję zimna, a teraz straciła zdrowe rumieńce i cała energia jakby z niej wyparowała, jej stopy i dłonie były wciąż zimne

i nie pomagały butelki z wrzątkiem, którymi Cioć Herbatki okładały ją na noc. Z promiennego dziecka, które nieustannie śmiało się, tańczyło lub śpiewało, o ile nie robiło tych trzech rzeczy naraz, został błydy pokrowiec w kształcie dziewczynki o brązowych oczach i kręconych włosach w kolorze łaskowego orzecha. Mówiła, że śnią jej się zabici sąsiedzi z Kamieńska i całe noce mówią do niej w języku, którego nie rozumie, że proszą ją o coś, ale nie wie, o co. Nie przynosiły pożądanego rezultatu ani nalewki, ani ziołowe mikstury na wzmocnienie, z których wyrobu słyszeły Cioć Herbatki w Kamieńsku i okolicach. Grażynka nagle wpadała w taki stupor, jakby wewnątrz zatrzaśkiwała jej się jakaś brama odcinająca ją od światła i powietrza. Trwała nieruchoma, z otwartymi oczami, które poruszały się tak, jakby śledziła coś widocznego tylko dla niej. Temperatura spadała jej do trzydziestu pięciu stopni, włosy strzelały iskrami, dłonie bieleły, a pod paznokciami widać było świecące błękitne punkciki.

Którejś nocy Cioć Herbatki obudziły się jednocześnie tak gwałtownie, jakby ktoś wrzasnął im do ucha; od razu wiedziały, że Grażynki nie ma w domu. Wybiegły do ogrodu i wydało im się, że całą zieleni i życie przykrywa szary całun śmierci, nie zaszczekał żaden pies, nie krzyknął ptak, ciche były wiejskie koty. Rozejrzały się w tej szarości i ciszy, zobaczyły uchyloną drewnianą furtkę na końcu ścieżki prowadzącej ku rzece Kamionce. Tylko nie do wody! Pobiegły przez zeschle łopiany i dziki koper, z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Stały na skarpie, rzeka u ich stóp płynęła szara jak rtęć, księżyc rozlewał się po niej. Grażynka była tam.



Stała tyłem do Cioć Herbatek na zanurzonem w wodzie pniu drzewa, naga i jasna; śpiewała. Co to był za śpiew! Słowa piosenek, które wszyscy znali, pod mym oknem Cyganka stała, żydowskie śpiewy z synagogi, panna Mania i wierzby płaczące, ale tak śpiewała, że wydawały się czymś innym, nie z tego świata. Grażynka śpiewała i wykonywała takie ruchy ramionami, jakby płynęła albo unosiła się w powietrzu; na wschodzie niebo zaczynało się różowić. Matko Boska, przestraszyły się Cioć Herbatek, jeszcze kto zobaczy, że ich znajda goła tu po nocy wyśpiewuje, i będzie klops. Zsunęły się ze skarpy, zamoczyły po kolana nogi, wzięły Grażynkę pod ręce z dwóch stron i zaprowadziły do domu. Gdy staremu Słowikowi dwa razy z rzędu urodziło się dwugłowe cięle, ktoś mu podpalił stodołę; lepiej się z dziwactwem takim w wojnę ludziom nie narażać, bo są już wystarczająco zdenerwowani. Coś trzeba było zrobić.

W Radomsku był aptekarz, Maurycy Mak, biegły w sztuce lekarskiej bardziej od lekarzy, których recepty poprawiał po swojemu ku pożytkowi pacjentów, a w wolnej chwili sporządzał napoje miłosne, maści na trądzik, porost włosów i biustów, a także odtrutki. Konkurować z nim mógł tylko Berek Mintz, ale Berka Mintza wywieźli razem z rodziną do Treblinki, a wtedy Maurycy Mak stał się monopolistą w branży aptecznej i znacznie podwyższył ceny swoich usług. Tak, nie jest tani Maurycy Mak, westchnęły na myśl o aptekarzu z Radomska Cioć Herbatek. A i choroba Grażynki z pewnością nie należy do przypadłości, na które wystarczy parę zwykłych ziółek czy taniec tabletki na przeczyszczenie; liczyły więc, co mogą sprzedać, i za ile, na targu w Radomsku. Wszystko

na nic, za mało. Popatrzyły na siebie, westchnęły, pokłonyły zgodnie głowami, bo nie potrzebowały wielu słów, by się porozumieć. Nocnik Napoleona, trudna sprawa, ale trzeba będzie go zaproponować aptekarzowi jako zapłatę za wyleczenie Grażynki; może, jak poproszą, w zastaw weźmie, a będą pieniądze miały, wykupią? Tak czy inaczej, sprawa jest poważna i trzeba jechać. Gdy zapadła decyzja o wymianie nocnika Napoleona na miksturę leczącą Grażynkę z nocnych śpiewów nad rzeką, Cioć Herbatek, kobiety praktyczne i zaradne, postanowiły przy okazji sprzedać parę rzeczy na targu w Radomsku. Dwa pęta kielbasy zrobionej z podejrzanego mięsa przez melancholijnego nauczyciela, cztery kilo nielegalnej wieprzowiny oraz parę słoików kapusty rozmieściły zmyślnie pod płaszcami, upchały po kieszeniach, a na szyjach zawiesiły naszyjniki z suszonych grzybów. Naszyły też majtek miesięczkowych ze starego prześcieradła; wojna nie wojna, kobiety i tak krwawią. Podobno we Francji wymyślono jednorazowe majtki miesięczkowe, ale czy to prawda? zastanawiały się Cioć Herbatek, które były kobietami ciekawymi świata, choć nie dane im było go wiele zobaczyć. Po ile je liczyć, żeby nie zdziwić, ale i wyjść na swoje, kalkulowały i na koniec spakowały do plecaka nocnik Napoleona, założyły go Grażynce na plecy; były gotowe do drogi. Na dworcu w Radomsku wpadły w tłum, podobno z drugiego peronu miał odjechać pociąg do Piotrkowa, i Grażynka nagle znikła im z oczu. Przez straszną chwilę Cioć Herbatek stały, krzycząc imię swojego dziecka, i zdumiał je strach ich tak wielki, że utonęłyby w nim, gdyby nie trzymały się za ręce. Gdy pojawiła się w końcu, oddzielona od swoich



opiekunek parą otyłych, dziwnie podobnych do siebie mężczyzn, nie mogły już wyjść z dworca ani do miasta, ani na perony, bo oba wejścia zastawili Niemcy. Jakaś starsza zakonnica koło nich potknęła się i przewróciła; Grażynka pomogła jej wstać. Łapanka! krzyknął ktoś, ale było za późno na ostrzeżenie. Zepchnięto ich kolbami w jeden kąt, a młody mężczyzna, który rzucił się do ucieczki, poległ pod kasą biletową i jedna z Cioć Herbatki, chyba Aniela, pomyślała, że to dziwne, ale inaczej wyobrażała sobie odgłos strzału. Gdy Niemiec podniósł broń i strzelił, oczekiwała nieświadomie, że usłyszy pif-paf, którym Fabrykant Antoni Mopsiński straszył przysięgnięte pod swój dach krewne dziedzica, wyśmiewając ich niechęć do polowań na zające. Przychodził z kiścią martwych ciałek, a gdy Róża i Aniela uciekały, zastaniając oczy, wołał za nimi, pif-paf, pif-paf. Ta śmierć była tak samo prawdziwa jak śmierć zające i Cioć Herbatki pomyślały, że ludzki język nadal nie umie oddać dźwięku zabijania, choć z samym zabijaniem ludzie radzą sobie przecież bardzo dobrze. Stały obok siebie, trzymając Grażynkę pośrodku, i można było już tylko czekać. Nie mają szans, dwie kobiety z nielegalnym mięsem na handel, przepadły. Cioć Herbatki popatrzyły na siebie z rozpaczą, bo ogarnęło je jedno z tych przeczuć, które zawsze się sprawdzają. Obok stała zakonnica i modliła się szeptem. Może to Róża, a może Aniela pierwsza wdarła się szeptem w jej szept, niech siostra ją weźmie. Z siostrą dziewczynka ma szansę. Niech ją siostra weźmie, zaszeptały Cioć Herbatki unisono, a Grażynka mocniej ścisnęła je za ręce w proteście. Niech ją siostra weźmie, nazywa się Grażynka Rozpuch, nasza Grażynka,

lat jedenaście, katoliczka, dobre papiery. Siostra, zawałała się i zrobiła pół kroku w tył, wezmę, powiedziała. Wracę do Częstochowy, pracuję w sierocińcu, zna niemiecki, wystarczy, że mała też zrobi pół kroku do tyłu. Jak ją znajdą? Ma na imię Bernadeta, siostra Bernadeta ze Zgromadzenia Sióstr Adoraterek Krwi Chrystusa, tak się nazywa, znajdą ją, jak wrócą; jak wrócą, to ją znajdą. Cioć Herbatki, religijne umiarkowanie i żyjące bez porywów mistycznych, przeraziła nagle ta krew Chrystusa i perspektywa jej grupowej adoracji, ale z zakonnicą Grażynka miała szansę większą niż z dwiema kobietami trzymającymi pod pazuchą nielegalne mięso. Powoli, ale zdecydowanie uwolniły więc ze swoich dłoni dlonie Grażynki, odklejając jej oporne palce, i zrobiły pół kroku do przodu; bez Grażynki między sobą chwyciły się za ręce. Ukryta za nimi dziewczynka podniosła oczy na twarz obramowaną kornetem tak ciasno, że ślad na policzku był głęboki jak szrama, a sucha i gorąca dłoń chwyciła ją mocno za rękę. Po selekcji z dwudziestu osób przypartych do muru na stacji Radomsko wypuszczono tylko zakonnicę z Grażynką i chudą zabiedzoną kobietę, której prawdopodobnie nie spotkało dotąd nic dobrego, bo szła, oglądając się za siebie, jakby nie wierzyła, że to jej darowano życie. Cioć Herbatki widziały, jak Grażynka znika w drzwiach dworca ciągnięta przez siostrę Bernadetę, i powtarzały w myśli, siostra Bernadeta, adoratorka, krew Chrystusa, Częstochowa. Te słowa stały się zaklęciem, które szeptały w obozie, gdy traciły nadzieję: Róża cichutko zaczynała, siostra Bernadeta, adoratorka; krew Chrystusa, Częstochowa, kończyła Aniela, i wracała im chęć, by przeżyć.



włosy, peruki zamówione przez więźnika z Kleszczowej, trzymał w wywinął. Przez areszt w Radomsku został szony, pobity i wygłodzony trafił do baraku, bo mimo twarzy zupełnie niesemickiej wzbudził tyle podejrzeń z powodu peruk i pomady, że na wszelki wypadek uznano go za Żyda i homoseksualistę.

Już po dwóch tygodniach, które spędził w baraku z pięćdziesięcioma obcymi mężczyznami, Tadeusz Kruk zauważył, że jest coś, co go od nich różni. W przeciwieństwie na przykład do Wojciecha Popioła z pryczy górnej, który bał się tak, że przez sen wołał mamomamo, czy Janusza Kukulki śpiącego po lewej, który przestał wołać i mówić w ogóle, a potem umarł skurczony do wielkości noworodka, on czuł tylko cudzy strach, a najbardziej ten dolatujący ze strony kobiecych baraków. Omijały go najgorsze szykany i rzadko trafiał w niego wzrok kapo o pocziwej twarzy i rumianej skórze, Martin Kalthöffer sam dziwił się swojej łagodności wobec tego więźnia, który w jego oczach nigdy nie zasługiwał na żadną specjalną karę, i nie miał nawet ochoty jego kosztem zabać się w lizanie podłogi albo zjadanie gówna. Być może czuł jakąś część swojej istoty, że fryzjer, wykonujący wszystkie polecenia z automatyczną skrupulatnością i spuszczonej oczami, znajdował się po tej samej stronie strachu, co oprawcy, nie było w nim miejsca na banie się. Strach się nie boi! Strach o wiele większy niż ten, który można wyśnić na materacu z kobiecych włosów, przerażenie, które sprawia, że ptaki umierają w locie, a krew ścina się jak mleko, fryzjer z Kamieńska czuł to

swoim małym, zaokrąglonym na końcu nosem i doszedł do wniosku, że nie zginie w miejscu, gdzie strach panuje. Zjadał wodę z nadgniłymi liśćmi kapusty, żuł swoimi małymi zębami chleb twardy jak kora, a gdy szukano fryzjerów do pracy przy transportach więźniów, zgłosił się bez zastanowienia, bo wiedział, na czym będzie polegać jego zajęcie.

Było ich dwunastu, ale tylko Tadeusz Kruk szedł do pracy z radością w sercu; było ich dwunastu i dwanaście stołków, na których stawały nagie kobiety tak, by fryzjerzy nie musieli schylać się przy goleniu ich włosów łonowych. Wybrane do przeżycia po wstępnej selekcji, miały wkrótce stracić miesiączkę, zęby i często życie, ale przedtem musiały stracić włosy. Najpierw opadały z głowy, jasne, ciemne, rude, siwe, krótkie i zaplecione w wiejskie warkocze, które nigdy fryzjera nie widziały. Kręcone i podkręcane, falowane i kędzierzawe, gładkie i splątane, dla niepoznaki utlenione na żółto i niepasujące do czarnych oczu i brwi, płukane w korze dębu i w rumianku, z już niepotrzebnymi wstążkami, spinkami, pachnące ziołami, z krwią zaschniętą i resztkami różanej pomady, pachnące strachem, pachnące śmiercią. Liczyła się szybkość, najszybszy z dwunastki fryzjerów był Tadeusz Kruk, przy czym jeden z nich udawał tylko, że zna się na tym zawodzie, zwabiony większymi racjami żywności i pracą pod dachem, bo naprawdę był hodowcą owiec i tylko owce golił do tej pory. Liczyła się szybkość, ale to nie sztuka ciąć szybko i byle jak – Tadeusz Kruk ciął, nie raniąc skóry, i golił bez zacinania, jednak kobiety stojące na jego stołku drżały najbardziej, bo o ile pozostałych jedenastu cięło, by przeżyć, fryzjer z Kamieńska



żył, by ciąć. Po włosach z głowy była kolej na włosy łonowe i gdy kobieta z ogoloną głową wchodziła na stół, jej strach przybierał formę czystego destylatu, bo przekraczała granicę wstydu i upokorzenia, a fryzjer z wyraźną przyjemnością delikatnie rozsuwał jej uda i zbliżał dłoń uzbrojoną w brzytwę. Stawały przed nim dorosłe kobiety o miękkich brzuchach, które nosiły dzieci, zadbane i zaniedbane, z delikatnym jasnym puchem i bujnym gąszczem, który rozrastał się na wewnętrzną stronę ud i wędrował w stronę pępka, stare, ale nie na tyle, by je posłano prosto do gazu, młode, ale nie na tyle, by uznać je za dzieci. Tadeusz Kruk ciął i golił, a kupka włosów koło jego stolka rosła najszybciej i pod koniec dnia stał po kolana w kobiecych włosach, upojony zapachem strachu. Podczas gdy pozostałych jedenastu czekało końca dnia z nadzieją na dodatkową rację chleba czy strzęp mięsa, a każdy starał się w myśli znaleźć jak najdalej od miejsca pracy, fryzjer z Kamieńska kończył jedną kobietę i już marzył o następnej, zastanawiając się, jaki aromat wyczuje w jej przerażeniu. Im bardziej się bały, tym lepiej pracował, a tu nie było małego strachu, tylko subtelne odcienie największego z wielkich. Świeży strach tych, które dopiero przywieziono, podzielony na strach matek o dzieci i dzieci o matki, krzyczący strach rozdzielonych kochanków i strach przed głodem, strach przed gwałtem i ogólniejszy strach przed bólem, strach przed niewytrzymaniem i strach, że się wytrzyma, podszyty na czerwono strach tych, którym już kogoś najdroższego odebrano, i strach kobiet, którym udało się ukryć ciążę. Był też strach stary i zużyty, stwardniały i niemy, mieszkający we włosach kobiet, które przysłano na golenie po kilku mie-

siącach w baraku specjalnym. Tym najładniejszym, o pełnych piersiach i krągłych biodrach, pozwalano zachować włosy, dostawały lepsze jedzenie, nawet jakieś witaminy, wodę do mycia, co za hojność w zamian za obowiązek obsługiwanie kilkunastu, a czasem kilkadziesiątu mężczyzn dziennie w małych jak szafy celach kopulacyjnych. Dla pewności wybrane kobiety wypróbowywali najpierw esesmani, choć to było verboten, a potem po dwadzieścia minut na mężczyznę, który przychodził do baraku specjalnego z talonem, bo tak zarządził Heinrich Himmler, a porządek musi być, grunt to porządek, dzień po dniu, przez całe miesiące, zawsze na leżąco, pod czujnym okiem strażnika, który obserwował, czy ludzkie uczucia nie poczynają się przy kopulacji, bo z poczętymi dziećmi łatwiej sobie poradzić. Gdy kobieta z baraku specjalnego zużyła się, włosy przestawały jej być potrzebne i trafiała do baraków normalnych, gdzie, jeśli miała szczęście, ale to może nie najwłaściwsze słowo, udawało jej się przeżyć, ale nigdy nie udawało się zapomnieć. Tylko Tadeusz Kruk czuł, jak różne zapachy strachu mieszają się na podłodze, na której rosła góra włosów. Włosy zbierano potem do worków, to był przydatny materiał, bo nie tylko fryzjer z Kamieńska wpadł na pomysł wypychania nimi materacy, i zmiatał teraz skrupulatnie puch, loki, pukle i warkocze, przejęty faktem, że można to robić na skalę przemysłową. Były hodowca owiec myślał, owce, goląc owce, z owiec jest wełna, swetry, ciepło, z owiec jest mleko, ser, dom; on nie posiadał mistrzowskiej wprawy Tadeusza Kruka, ale za każdym razem, gdy zaczynał golić kobietę, szeptał, przepraszam, i chociaż robił to po rumuńsku, sam ton jego głosu sprawiał, że



na chwilę łagodniał strach i to przepraszam dla wielu kobiet było jak talizman, niespodziewany prezent, którego nikt nie był w stanie im odebrać. Gdy rumuński hodowca owiec dowiedział się, że jego ciężarna żona i dwoje dzieci nie żyją, a raczej gdy pozwolił tej wiedzy przebić się przez obronną warstwę myśli o owcach welnie mleku serze, ostatni raz powiedział przepraszam i poderżnął sobie gardło brzytwą świeżo naostrzoną, przygotowaną do golenia więźniarek. Zostało ich więc tylko jedenastu, ale Tadeusz Kruk z Kamieńska pracował za dwóch i wkrótce esesmani docenili jego mistrzostwo przewyższające umiejętności wszystkich obozowych fryzjerów, z których usług korzystali dotychczas. Oprócz włosów więźniarek miał odtąd do czynienia również z włosami oprawców i ich jasnowłosych żon, którym własnoręcznie utleniał odrosty. Dostawał więcej jedzenia, dano mu czyste ubranie, a nawet muszkę w czerwone grochy, i cóż to był za zabawny widok, uwijający się fryzjer w muszce i nagie, łyse kobiety. Między gorliwym fryzjerem i kapo, Martinem Kalthöfferem, rolnikiem spod Monachium, wywiązał się rodzaj komitywy, jaka może połączyć tylko osoby głęboko do siebie podobne. Wprawna ręka fryzjera golila więc połowę głowy kobiety o włosach tak długich i gęstych, że słychać było, jak spadają niczym zsuwająca się suknia, i przez chwilę pozostawiano ją właśnie tak, między pięknem i brzydotą, straszną i śmieszną. Ale ogolić pół głowy to nie sztuka, byle pomoc fryzjerska z Radomska to potrafi, natomiast kilkoma ruchami brzytwy wygolić swastykę w trójkącie między kobiecymi udami to już prawdziwy majstersztyk i sposób, by wywołać naprawdę dobry humor Martina Kalthöffera, das ist ja wirklich

ein Prachtstück! Tadeusz Kruk nabral ciała i wypełniły mu się zapadnięte policzki, zarumienił się jak przypieczony, właściwie nigdy nie wyglądał tak dobrze.

Takiego zobaczyły go Ciocie Herbatki, które po selekcji i przeszukaniu zaklasyfikowano jako zdolne do pracy i warte tymczasem zachowania przy życiu. Gdy tylko weszły, fryzjer poczuł ich strach, wielki spasiony strach o siebie nawzajem, i jeszcze większy o kogoś, kogo nie było przy nich, domyślił się więc, z żalem, że Grażynka nie trafiła do obozu. Nagość Cioć Herbatek odkryła coś, co tylko nieliczni w Kamieńsku podejrzewali, siostry nie siostry z Napoleonówki wcale nie były do siebie podobne, gdzie tam! Pod pozorem podobieństwa, pod długimi ciemnoblond włosami jak pod zasłoną kryła się różnica ciała miękkiego, jasnego jak nadzienie w kremówkach oraz chudego, żylastego. Jedne biodra były szerokie i krągłe, drugie zrównane z talią, z kośćmi wystającymi jak ostrza łopatek. Nagle fakt, że pod wspólnym imieniem kryły się imiona własne, stał się oczywisty. Róża miała piersi gruszkowate, ciężkie, żyłkowane na niebiesko, jakby półprzejryste, u Anieli dwie ciemne brodawki zwieńczały niewielkie wzniesienia, rozsmieszając Martina Kalthöffera, sie ist ja flach wie ein Brett! W świetle, które w pokoju golenia było ostre jak na sali operacyjnej, włosy Cioć Herbatek też nie były już identyczne, a warokcz Anieli okazał się do tego sztuczny, przyczepiony do krótkiej fryzury za pomocą wsuwek. Tylko przez mgnienie oka Tadeusz Kruk był dla nich kimś znajomym, zaraz potem dostrzegły w jego twarzy to, czego przecież się spodziewały w głębi serca, omijając jego zakład w Kamieńsku – rozkosz tego, kto żywi się strachem i kto te-



raz ku ucieście strażnika Kathöffera między nogami Anieli wyciął z włosów napis Fuse.

Ciocie Herbatki wkrótce spotkało to, czego bały się bardziej niż zimna, głodu i nawet śmierci, rozdzielono je. Różę odesłano do baraku specjalnego. Więźniarki, którym włosy odrastały siwe w miejsce zgolonych czarnych, rudych, brązowych czy złotych, smarowały głowy węglem zmieszonym ze śliną, i tak samo zrobiła Róża. Sposób, który kobiety stosowały, by wydawać się młodsze w codziennej selekcji na nadające się i nienadające do życia, w jej przypadku przyniósł skutek daleki od zamierzonego, zaliczono ją do nadających się do użycia. Gdy Różę uznano za zużytą, wróciła do normalnego baraku i razem z Anielą zachorowała na tyfus, a z tyfusu w obozowym szpitalu wychodziło się tylko do pieca – tak sądził Tadeusz Kruk. Gdy po wyzwoleniu obozu wracał do Kamieńska, czuł ulgę, że Cioć Herbatek już tam nie zastanie. Tadeusz Kruk powtarzał sobie, że nie ma czego się wstydzić, była wojna, nie miał wyjścia, inni nie takie rzeczy robili, a w końcu on nikogo nie zabił, przeciwnie, jabłka, cebule rozdawał kobietom, dzieciom. Ucieszył się, gdy zgodnie z jego przewidywaniami zastał Napoleonówkę pustą, i zaczął robić to, co potrafił: marzyć nocami, a za dnia golić, strzyc, kręcić i podcinać w swoim zakładzie przy ulicy Prostej, który cudem ocalał, bo cuda na ogół nie trafiają się tym, którzy na nie zasługują.

A jednak Ciocie Herbatki wróciły, a z nimi Grażynka, która przeżyła całą wojnę w sierocińcu w Częstochowie. Po dwóch czy trzech tygodniach odosobnienia w Napoleonówce, gdzie odwiedzała je tylko Franciszka Pyłek, Ciocie Herbatki zaczęły wychodzić do miasteczka, trzy-

mając się pod ramię. Znikły ich skromne, ale eleganckie suknie i długie włosy; teraz obie nosiły spodnie, wojskowe buty, a ich jakby zmniejszone głowy pokrywał nie dbale odrastający jeź: u Róży siwy jak szron na Kamionce, u Anieli zielonkawy jak zgniłe siano. Straciły zęby, a ich policzki zapadły się; Ciocie Herbatki przypominały teraz dwa dziwne wyleniałe ptaki. Grażynka, która przez te lata zmieniła się w piękną kobietę wyglądającą na więcej niż szesnaście lat, nie odstępowała ich na krok, jakby chciała chronić je swoją młodością i zdrowiem; ale ta mała wyrosła, wyładniała, szeptali mieszkańcy Kamieńska. We trzy uprzątnęły ogród i naprawiły dach, a jesienią zabrały się do robienia zapasów z energią tych, którzy znają głód, i takim rozmachem, jakby zima miała trwać dłużej niż ostatnia wojna. Cały Kamieńsk widział dwie wielkie beczki do kiszenia, które jak wyrzuty sumienia wiozły aż z Kleszczowej, bo stare im z komórki ukradziono. Doktor Jedwabny, dentysta z Kamieńska, jeden z kilku tutejszych Żydów, którzy przeżyli Zagładę, zrobił Róży i Anieli nowe sztuczne szczęki i gdy miały ochotę, co nie zdarzało się często, mogły znów śmiać się, nie zastanawiając ust. Gdy trochę podrosły im włosy, pojechały do Radomska i wróciły ze sztywnymi trwałymi ondulacjami ufarbowanymi na kasztanowo, a mieszkańcy Kamieńska odetchnęli z ulgą, bo znów były do siebie podobne, podwójne jak syjamskie siostry, które pamiętali z dawnych lat. Gdy szły z dworca przez miasteczko, każdy przechodzień pozdrawiał je, jakby właśnie wróciły z dalekiej, pięknej podróży, dzień dobry. Panno Różo, panno Aniello, ładna dziś pogoda, jak się pani ma, panno Różo, panno Aniello, co u was słychać,



wszystkiego dobrego, panno Różo, panno Aniello. Jako pierwszych zaprosiły na herbatkę doktora Jedwabnego i milczącą pracownicę poczty Franciszkę Pylek, która jakimś cudem przeżyła obóz w Treblince; przez otwarte okna Napoleonówki znów płynął zapach świeżej esencji i ciasta.

Świat Kamieńska wrócił do równowagi i nikt chyba nie zauważył, że Cioce Herbatki od powrotu ani razu nie przeszły ulicą Proszą, główną ulicą Kamieńska, przy której znajdował się zakład fryzjerski Tadeusza Kruka i gdzie powoli odbudowywano zburzone podczas bombardowania domy. Wstydzą się, wydedukował fryzjer, który w miarę upływu czasu nabierał coraz większej pewności siebie, wstydzą się, bo widziałem je nago. Nie brakowało mu roboty. Kobiety teraz nie chciały mieć długich włosów i przychodziły do niego po trzy, cztery, po sześć, ścinały warkocze, chwytaly tekturowe walizeczki i wyjeżdżały do miasta, już nie tylko do Łodzi czy Piotrkowa, ale dalej, na Ziemię Odzyskaną. Fryzjer nigdy nie widywał Cioć Herbatek, ale przyglądał się przez szybę Grażynce, i nie był w tym odosobniony, bo gdy szła przez Kamieńsk, dorośli mężczyźni podnosili twarze znad roboty, dziadkowie przecierali oczy, a подростки gwizdały, pochrząkiwały i poświstywały niezdarnie, wprawiając się dopiero w męskich sposobach zwrócenia na siebie uwagi. Piękna! Co za dupa! Dobrze jej z oczu patrzy! Jakie cyce! Sposoby wyrażenia podziwu każdy miał swoje, a gdyby próbowali użyć do tego większej liczby słów, relacje mężczyzn z Kamieńską różniłyby się od siebie tak bardzo, jakby za każdym razem dotyczyły zupełnie innych osób. Tych, dla których Grażynka była objawieniem, łą-

czyła zawsze jakaś wada fizyczna lub psychiczna, mniej lub bardziej zawiniona: garb, niemożność utrzymania pięty w kieszeni, chorobliwe poczucie krzywdy, krótsza noga, zupełny brak orientacji w przestrzeni, daltonizm, alkoholizm, melancholia i alergia na słońce, dysleksja, na którą jedynym wówczas sposobem było zostawianie delikwenta rok po roku w tej samej klasie, aż wyrósł z ławki, zrezygnował z marzeń o wyrwaniu się choćby do Radomska i poszedł pracować do tartaku. Piękno Grażynki rosło na niedostatkach mężczyzn z Kamieńska, którzy jakimś półzwierzęcym instynktem wyczuwali jej hojność w dawaniu nie tego, na czym jej zbywa, lecz dokładnie tego, czego pragnie proszący, nawet jeśli sam o tym nie wie. Tadeusz Kruk przysysał się wzrokiem do Grażynki i pil jej widok, aż mu się ruszało jabłko Adama: czerwony beret z antenką, sztukowany powojenny płaszcz, grube rajstopy, zniszczone buciki, czuł nieznaną słodycz i pragnął pochłonąć ją do ostatniej kropli, tak że ciągle miał minę, jakby trzymał w ustach słomkę i wysysał resztki oranżady z dna szklanki. Podobnie jak szewc, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawy kierownik poczty, który obraził się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniający kolorów stolarz, który uważał, że daleko by zaszedł, gdyby rozróżniał, melancholijny nauczyciel, który czuł się niedoceniony, poeta cierpiący na brak talentu i uporczywe alergie oraz wiecznie pijany zawiadowca stacji Kamieńsk, który pił, irytując się, że pije, chociaż nie ma żadnego powodu – tak jak oni wszyscy fryzjer marzył, że pewnego dnia piękna córka Cioć Herbatek stanie przed nim i zaspokoi jego pragnienie do końca, a brak, który czuł, zasklepi się jak rana.



Gdy któregoś ranka Grażynka po prostu weszła do zakładu fryzjerskiego przy ulicy Prostej, Tadeusz Kruk omal nie stracił głowy, a ona usiadła na fotelu, zanim zdążył poprosić, okręciła się kilka razy, chwyciła warokocz, uniosła go i powiedziała, niech pan tnie na krótko, panie Tadziu. Ciął więc powolutku i drżał na samą myśl, że obcięte włosy będą należały do niego, a ona nie przedstawiała zadawać pytań, a do czego to? po co te gumki recepturki? czy to ciężko trwałą nakręcić? a co to tak pachnie różami prześlicznie, panie Tadziu? aż w końcu olśniony własną genialnością Tadeusz Kruk zaproponował, by przyszła i mu pomogła, nie spodoba jej się, trudno, spodoba, nauczy się fachu pod jego okiem, a nawet dwoma, które przylegały do jej twarzy, szyi, piersi jak pijawki. Grażynka nie miała wielkiego powołania do fryzjerstwa, tak jak nie pociągał jej żaden inny zawód, ale czuła wobec fryzjera wielką litość, podobnie jak litość budził w niej szewc, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawy kierownik poczty, który obraził się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniający kolorów stolarz, który sądził, że zaszedłby daleko, gdyby rozróżniał, melancholijny nauczyciel, który czuł się niedoceniony, poeta cierpiący na brak talentu i uporczywe alergie oraz wiecznie pijany zawiadowca stacji Kamieński, który pił bez powodu i irytował się, że pije. Jej współczucie dla mężczyzn było najgłębszym uczuciem do niedoskonałości istnienia i gdyby nie fakt, że każda skaza budziła w niej nieprzepartą chęć, by naznaczonego skazą rozebrać do naga i przytulić do piersi, Grażynka Rozpuch z Kamieńska miałaby szansę zostać świętą. Współczuła i wzdychała, a każdy, kto wiedział bądź czuł,

że mu czegoś brakuje, miał szansę doczekać się westchnienia skierowanego właśnie do niego; ach, co za bidulek, niezgula, mizerota! A bardziej od szewca, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawego kierownika poczty, który obraził się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniającego kolorów stolarza, który pewnoś miał, że daleko by zaszedł, gdyby rozróżniał, melancholijnego nauczyciela, który czuł się niedoceniony, pozbawionego talentu i cierpiącego na alergie poety i wiecznie pijanego zawiadowcy stacji Kamieński, który nie miał powodu do picia – budził w niej litość ten fryzjer, bo uważała, że trudno o większe kalectwo niż brak sumienia. Grażynka nie знаła w szczegółach wojennej historii Cioć Herbatki, bo zatajenie jej było jedną z tych dobrych intencji matczynych, które obracają się w swoje przeciwieństwo, przynosząc skutki tak niespodziewane jak każda katastrofa.

To prawdziwy cud, że się odnalazłyśmy, wzdychały Cioć Herbatki, gdy znów we trzy z Grażynką siedziały przy stole w Napoleonówce; to prawdziwy cud, szeptały przed zaśnięciem, pokazując sobie nawzajem złotą smugę światła wypływającą spod drzwi pokoju ich przybranej córki, to prawdziwy cud, powtarzały, gdy budziły się w nocy i przerażone snem pełnym wzburzonej wody, jednocześnie śnionym przez obie, skradały się na palcach i uchylały drzwi, by przekonać się, że Grażynka śpi spokojnie, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Uspokajały jedna drugą: nie, nie, na pewno nie, mówiła do Anieli Róża, i ależ skąd, w żadnym razie, do Róży Aniela; ale wydawało im się, że w ciepłym zapachu sypialni czują coś obcego niczym złowieszcze cienie, jakie po wojnie



snuły się nocą po ulicach Kamieńska. Miały wrażenie, że Grażynka im się wymyka, i bały się obcości, która pokrywała ich córkę przezroczystą skorupką jak warstwa lodu, bo nie wiedziały, skąd się wzięła i co podczas tych lat w sierocińcu tak ją od nich oddaliło. Nie zapytały nawet o nocnik Napoleona, który przepadł; co tam nocnik! Na pewno komuś dała, chyba że jej zakonnice świsnęły. Nie chciały jej śledzić, bo wiedziały, że nie ma wielu rzeczy gorszych dla miłości niż brak zaufania, i czekały, czekały, aż wróci z zabawy w remizie, od koleżanki z Gorzkowic, spotkania z tym czy owym w Kleszczowej, aż drugiej po wojnie Jesieni, w listopadowy wtorek po południu. Grażynka wróciła bez warkocza, z włosami obciętymi niemal przy skórze i oświadczyła, że od jutra uczy się na fryzjerkę w zakładzie Tadeusza Kruka. Mizerota, biedny, sam zupełnie sobie nie radził. Strasznie jej tego fryzjera szkoda.

Ciocie Herbatki tej nocy nie spały i gdyby ktoś znów zajrzał do Napoleonówki przez szparę między zasłonami w kolorze nasturcji, zobaczyłby płonącą świecę i pochylone ku sobie szepczące głowy w kordonkowych siatkach chroniących fryzurę. Rano Ciocie Herbatki były spokojne i blade, nastawiły wodę, zalały wrzątkiem liście gruzińskiej, westchnęły, że przed wojną to była herbata, a teraz same farfocle i zmiotki sprzedają, wypily po trzy filiżanki i poszły na ulicę Proszą, by zaprosić fryzjera Tadeusza Kruka na poważną rozmowę. Gdy szły przez Kamieńsk, lód chrupał pod ich butami jak ptasie kostki, bo kałuże po listopadowych deszczach ściał pierwszy mróz.

...warze pochylają się nad Dominiką i obie wydają się znajome, tak jak czasem znajome wydają się widoki, które śnimy po raz kolejny. Wciąga powietrze i czuje zapach, który pamięta i o którym wie, że nie znała go, zanim zasnęła, słodko-gorzki, drzewny, trochę podobny do woni potraw, jakich próbowała kiedyś w Domu Spółdzielcy na Piaskowej Górze, gdy gościła tam grupa harekrisznowców. Jeden, dwa, między twarzami biały prostokąt okna, wiatr unosi białą zasłonkę; muślin, muślinowa sukienka, myśli Dominika i wyciąga rękę w kierunku światła. Szaroniebieskie niebo, chmury, topolowe liście, wiatr, ptaki, raz, dwa, trzy, cały klucz ptaków, już je gdzieś kiedyś widziała. Jedna pochylona nad Dominiką twarz jest pociągła i ciemna, ma żółtawe oczy i wysokie kości policzkowe, uśmiecha się i odsłania bardzo białe zęby; druga jest jasna jak ciasto, płacze czarnymi łzami, jej usta noszą ślady pomadki i ruszają się jak u karpia. Dominika przenosi wzrok z twarzy na twarz i widzi, że obie mają obramowanie żółtych włosów, uśmiecha się, jakby знаła sens odkrytego właśnie podobieństwa i mówi: mamó? Córeczko! Jesteś! Nareszcie! Jadzia Chmura czuje, jakby rodziła to duże kanciaste dziecko jeszcze raz; najpierw widzi główkę pokrytą gąszczem włosów buszmeńskich, potem twarz z policzkiem przeciętym czerwoną blizną, oczy otwierające się coraz szerzej, usta, które łapią pierwszy ziemski oddech, powtarzają, mamó. W momencie, gdy do pokoju szpitalnego wbiegają dwaj zaalarmowani lekarze, usta powtórnie



sza ramionami. Chyba go znalazła, nie pamięta. Po twarzy Dominiki przebiega cień, który może, lecz nie musi, być błyskiem rozpoznania; pstryka pierścioneł na swoim palcu i ku uldze Jadzi, chowa w końcu ten diabelny aparat.

Dzień wyjazdu z Mehrholtz jest mglisty i chłodny, niebo opuchłe od śniegu, który zaczyna padać, gdy wsiadają do samochodu. Grażynka odwozi je do Monachium, a Sara im towarzyszy, chociaż Jadzia wolalaby, żeby już nic nie zakłócało ich matczyno-córczanej diady. Pragnie już Dominikę oderwać od innych i mieć tylko dla siebie, no, córcia, jedziemy do domku, bo wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, ale w domu najlepiej! Na dworcu autobusowym Jadzia po raz pierwszy od dawna widzi innych Polaków; ładują do luków wypchane torby w kratę, ich twarze wydają jej się jednocześnie swojskie i odpychające. Sama nie wie, czy stać tak, żeby wyglądało, że jest po ich stronie, czy się dystansem odgradzić, łowi uchem polskie słowa i krzywi się dramatycznie na każde kurwa i pierdołę. Patrz, córcia, ile to wiozą, szepcze Jadzia, nachapali się, dorobili na cudzej ziemi, to wiozą: ci nasi, wszędzie ich pełno, na dupie nie usiedzą. Przyciska do brzucha torebkę gestem kobiet, które zawsze się boją, że tracą, i denerwuje się, czy będą mogły zająć dobre miejsca, bo niby mają numerki na biletach, ale nigdy nic nie wiadomo. A nuż ktoś się wepcha? Ten, co tak przeklina, dupę bez kolejki wciśnie! Świat pełen jest cwaniaków, którzy tylko patrzą, jak kogoś takiego jak Jadzia Chmura naciąg, jak wyrolować; biednemu zawsze wiatr w oczy. Długa podróż przed nimi, czy Dominika nie będzie głodna, może by jeszcze coś przekąsiła, proponuje

Jadzia Chmura, który wma-  
wia cię, żebyś zryciaga bud-  
ka z kel... mięsiem prawie  
po nas... uje, to dzicz ja-  
kaś, cza... się bać. Ustawia  
się Jadzia Chmura... węższy; to chyba nie  
wieprzowe? Może k... zek? Nie przekąsiłabyś? pyta  
córkę, która patrzy na nią tak, jakby dopiero teraz za-  
uważyła, że jest na dworcu autobusowym w Monachium.  
Oczy Dominiki są ogromne, dwa jeziora pajęczycy-to-  
pielicy, w których odbija się ogień, pobielale kostki pal-  
ców zaciskają się na uchwycie torby z prowiantem na  
drogę. Jadzia wie, że dzieje się coś złego, zanim jeszcze  
padną słowa. Jej córka robi krok w tył, tam gdzie stoi  
Sara, i mówi: Ja nie wracam do Polski, mamo.

### III

Pojadę z tobą, jeśli chcesz, Sara obejmuje dłońmi  
butelkę piwa; żółte włosy prześwieczone od tyłu słońcem  
okalają jak aureola jej trójkątną twarz, pojadę z tobą, na-  
wet jeśli nie masz pojęcia, dokąd się wybierasz. Domini-  
ka już wie, że zapach, który wyprowadził ją ze snu i któ-  
ry zawsze towarzyszy Sarze, to paczuli; w słońcu rozpala  
się tak, że otacza Sarę niczym ciepła pulsująca chmurka.  
Dominika opiera się na łokciu i robi zdjęcie, na którym  
jest oko Sary, kawalek szklanki z piwem, słońce i pełne  
słońca żółte włosy; gdyby sfotografować paczuli, mówi,  
byłoby jak słońce, kora i złoto. Po wypadku zapachy są



wyraźniejsze, inne zmysły nie nadążają jeszcze za powonieniem, ale Dominika próbuje do każdego zapachowego wrażenia dobrać obraz. Ma nadzieję, że w ten sposób na nowo pozahacza rozsypane elementy świata, zapach, obraz, znaczenie. Inaczej teraz widzi kolory; jakby każdy ukazywał jej się na tle bieli ze snu, wydestylowany i wyraźny, podszyty zapachem. Dominika ubiera się na czarno, szaro i biało, gdy widzi większą plamę czerwieni albo błękitu, bołą ją oczy.

Tak widzisz świat? pyta Sara, gdy ogląda zdjęcia, które Dominika robiła od rana; są na nich oczy, palce, włosy, uszy, ale żadna żywa istota, łącznie z nią, nie jest przedstawiona w całości. Tak, śmieje się Dominika, zobacz, przecież świat tak wygląda: okulary w złotych oprawkach, sari w kolorze fuksji, czerni burki odbita w szybie baru McDonald's. Tak wygląda Europa, odpowiada Sara i zatacza ręką krąg, w którym mieści się cała łąka w monachijskim parku; jesteśmy w Europie, Dominiko Chmuro, tu jest bardzo ciasno. To jeden wielki pieprznik, kocioł pełen nóg, oczu, paznokci i łokci, butów i toreb w kratę, drogich walizek, kościołów, twierdz i dworców, z nieba zamiast śniegu padają tu bilety kolejowe, autobusowe i samolotowe. Powiedz mi, jak ona pachnie, jak zdaniem Dominiki Chmury, polskiej imigrantki pochodzenia bardzo mieszanego, pachnie Europa? Dominika unosi głowę i węszy; trawa wokół Chińskiej Wieży pełna jest piknikujących ludzi, którzy piją piwo, jedzą kielbaski, grillują, pocą się. Mięsem, które się przypaliło, tak pachnie Europa, Sara Jackson, mówi Dominika, ten zapach śnił mi się, gdy byłam w śpiączce, zapach spalonego mięsa, ciągle go czuję. Nim przesiąknięte jest wszystko,

nie pomogą żadne diory i odświeżacze powietrza o zapachu morskiej bryzy, może Europa przestanie śmierdzieć gównem, ale nie spalonym mięsem. To nieładnie, marszczy nos Sara. Nieładnie, zgadza się Dominika, bardzo nieładnie; zamyka oczy, kładzie głowę na kolanach Sary i węszy, zapach spalonego mięsa jest podszewką wszystkich innych, najpiękniejszych nawet zapachów, czasem odpływa, zawsze wraca. Dym z grillowania płóży się, ciężki, wsiąka we włosy; to, co już gotowe do zjedzenia, miażdżone jest zębami tubylców, aż pryska sok. Jedzenie, na które ma się apetyt, a nie głód, o nie, głodu nie dopuszcza się do głosu na łące Europa; tu jedzenie służy przyjemności albo zastępuje to, czego mieć nie można. Meat, mówi Dominika po angielsku, i po polsku, mięso, Fleisch, dodaje po niemiecku. Najbardziej mięsne jest mięso po polsku, decyduje; powiedz mięso, powiedz po polsku, prosi Sarę. Żle! Mię-so, a nie minso. Zapach mięsa płynie z miejsc, gdzie piknikują starzy Europejczycy z dziada pradziada, rozpierają się na kocach; niektórym może się wydawać, że ta łąka powinna należeć tylko do nich, a także wszystkie inne łąki, i dlatego gdy jadą na wczasy do Egiptu czy Tunezji, raniutko zajmują sobie ręcznikami najlepsze leżaki przy morzu lub basenie, bo one im się należą. Inni muszą się dopiero nauczyć triku z ręcznikiem, wszyscy aspirujący do bycia Europejczykami muszą się jeszcze dużo nauczyć, nie ma lekko. Na łące pod Chińską Wieżą są wyspy zamieszkałe przez smagłe rodziny, grupy albo pary, dla których ten kraj nie jest ojczyzną; Dominika wwąchuje się w obce zapachy płynące z ich strony. Kobiety w sari, kobiety w burkach, kobiety już przebrane po tutejszemu, tyle że w wersji uboż-



szej, otwierają plastikowe pudełka z lunchem, pachnie z pudełek plastikowych ojczyzną kardamonu, cynamonu i chili, do której nie wrócą. Gdyby tak całą ojczyznę dało się zapakować do pudełka, przyprawić curry, sosem sojowym albo zataarem i nosić przy sobie! Matki w sari, matki w burkach, matki przebrane po tutejszemu wkładają kęsy do dziecięcych ust; te usteczka już wkrótce odwrócą się od smaków nieznanej ojczyzny, które kojarzyć im się będą głównie z odstawianiem od reszty. Jeśli uda im się nie odstawiać za bardzo i nie będą zmuszeni do prowadzenia rodzinnego sklepiu albo poślubienia kuzyna, może kiedyś znajdą się na jednej z wysp studenckich, wielokolorowych, wielokulturowych. Jak tu miło! Tuż obok Dominiki i Sary tutejsi młodzi mężczyźni obejmują ramieniem ciemnowłose i ciemnookie dziewczyny, a tubylki o różowych policzkach rumienia się pod spojrzeniem smagłych kolegów o dziwnych imionach, które skraca się dla wygody. Te wyspy, węszy Dominika, pachną chipsami ziemniaczanymi i colą, tym dziwnym napojem o chemicznym posmaku, którego nie lubiła nawet wówczas, gdy cola była rarytasem przywożonym do Wałbrzycha przez górników pracujących na niemieckich kontraktach.

Pojadę z tobą, jeśli chcesz, powtarza Sara, albo ty pojedź ze mną, to wszystko jedno, skoro obie nie znamy celu. Na razie nie chce mi się pracować w szpitalach, wystarczy, że ciębie pomogłam poskładać do kupy, czas w drogę. Jest kilka osób, z którymi chcę się spotkać w Niemczech, a potem pojedziemy gdziekolwiek, w świat. Nie jesteś dla mnie ciężarem, tylko towarzyszką podróży. Naprawdę? Naprawdę! Ile razy mam ci powta-

rzać. O taką właśnie towarzyszkę podróży mi chodziło, o Polkę chudą jak bocian, lekko kulawą, nielegalną imigrankę, małomówną i z paszportem, na który nikt nie chce dawać wizy. Żadna z nas nie zna kierunku, i tyle tylko wiem, Dominiko Chmuro, że obie oddaliśmy się od domu. Dominika patrzy na przyjaciółkę i myśli o podróży, której pragnienia w sobie szuka, ale to tak, jakby szukać jakiegoś drobiazgu w domu pełnym popakowanych pudeł, gotowych do przeprowadzki. Pamięta, że kiedyś chciała właśnie tego, bycia w drodze, zmieniających się pejzaży, ruchu obrazów za oknami pociągów, samolotów, zwłaszcza samolotów odrywających się od ziemi, od Piaskowej Góry, od Jadzi, samolotów mknących nad chmurami coraz dalej i dalej; czuje, że powinna iść tropem tego uczucia, po którym w ogóle został jakikolwiek ślad. Poszukamy pracy, ciągnie Sara, możemy jechać do córki Grażynki, Anieli, która ma cukiernię gdzieś koło Frankfurtu nad Menem; Grażynka mówiła, jedźcie koniecznie, Aniela się ucieszy, gdy byłam u was ostatnio. Cukiernia, czy to nie brzmi kusząco? Nie możesz do końca życia karmić świń na niemieckiej wsi. To jak? Sara leży na trawie i wygląda, jakby mówiła przez sen, w pełnym słońcu widać, że wcale nie jest taka czarna, jak ją widziała Jadzia; jej skóra ma ciepły odcień oliwnego drewna. Dominiko Chmuro, mówi, nie otwierając oczu, czuję, że na mnie patrzysz, wsłuchaj się w siebie, Dominiko Chmuro, czas odlecieć. Wiem, odpowiada Dominika, wiem, a teraz nie ruszaj się, zrobię zdjęcie motyla na twoim palcu u stopy.

Dominika nadal mieszka u Grażynki i pomaga jej w pracy; razem przygotowują jedzenie w rozgardiaszu



i bałaganie, od którego Jadzię trafiał szlag. Dominika jest coraz silniejsza, wstaje o świcie i zasypia niedługo po zmroku wśród przygarniętych kotów i psów, w ciemności słyszy ich cichutkie sapanie i wie, że odtąd źle będzie się czuła w domach bez zwierząt. Lubi dotyk i zapach kociej sierści, miękkie brzuchy ufnie nadstawiane do głaskania i łapki ugniatające jej uda, gdy któryś szykuje się do snu. Do zwierząt żyjących w domu Grażynki ostatnio dołączyła papuga Franca; nie wiadomo, jaką drogę przebyła, zanim kierowana nieomylnym instynktem innych stworzeń, trafiła do państwa Kalthöfferów. Pewnego dnia po prostu wleciała przez okno, wylądowała na stole i powiedziała, *vie de merde*; wszyscy spojrzeli w kierunku otwartego okna i nikt się specjalnie nie zdziwił, tylko Hans przysunął bliżej siebie talerz z ulubioną golonką w kapuście, bo już nieraz się zdarzyło, że na chwilę odwrócił wzrok, a mięso znikało ściągnięte przez jakieś zwierzę. Papuga, czerwona i wielka jak kura, wyglądała na głodną, powtórzyła przekleństwo, podreptała od talerza do talerza, jakby zastanawiając się, co jest najsmaczniejsze, i wybrała sałatkę ziemniaczaną, w której zanurzyła dziób. Gdy pojadła, wrzasnęła, *va te faire plumer!* i pofrunęła na żyrandol, piękny, pełen kryształowych wisiorów jak krople wody, który Hans osobiście nabył w Monachium w czasach, gdy myślał, że miłość Grażynki trzeba karmić prezentami jak ogień w kominku drewnem. *Vie de merde*, powtórzyła papuga sennym głosem i natychmiast zasnęła spokojnie, a koty wpatrywały się w żyrandol i śledziły jego kołysanie się z ogromnialymi oczami drapieżników. Grażynka i Dominika rozkleiły ogłoszenia pod kościołem i na tablicy w piekarni, *achtung*,

*achtung*, papuga barwy czerwonej, rozmiarów słusznych, przeklinająca w języku francuskim, przybłąkała się 25 maja 1990 roku do państwa Kalthöfferów, zamieszkałych w Mehrholtz przy ulicy takiej i takiej, czeka na właściciela, ale nikt się nie zgłosił. Grażynka ochrzciła więc papugę Francą, bo tak nazywano ją, franca, cholerna franca, franca puszczańska, stara franca i jeszcze gorzej, gdy mieszkała w Wałbrzychu; niech ktoś spróbuje wymówić to niezbyt ładne słowo z taką słodyczą, jak ona wymawia je teraz: Franca, chodź, malutka, na śniadanko! Franca upodobała sobie pokój Dominiki i spędza nocę na różowym tremo, w którym można obejrzeć się ze wszystkich stron jednocześnie, odpowiednio ustawiając boczne lustro; w przeciwieństwie do Dominiki, która po wypadku unikała luster i ograniczała zabiegi kosmetyczne do wsmarowania w bliznę maści ze ślimaka, Franca wydawała się zainteresowana cudem lustrzanego wizerunku, być może brała go za swoją zaginioną siostrę.

Gdy Dominika budzi się, widzi Francę, która wita ją trzepotem skrzydeł i wrzeszczy, *putin de viel* tak głośno, że urażone koty przeciągają się i wychodzą na poranny spacer; pokój tonie w różowawym świetle, wpadającym przez połyskliwe zasłony w kolorze wnętrza muszli. To najprawdziwszy sztuczny jedwab, mówiła z podziwem Jadzia, lejący, u nas się teraz takiego nie dostanie, za Gierka bywał, ale wystać się trzeba było pod sklepem Merino, aż nogi w dupę wchodziły. Dominika wstaje i podchodzi do okna, a Grażynka w legginsach w panterkę i turkusowym moherowym swetrze macha do niej z podwórka; niesie pełne wiadro do chlewni tak lekko, jakby była to wieczorowa torebka, na uszach ma



sluchawki. Dni są spokojne i wypełnione krzątaniem, nie rozmawia się wiele, a jeśli już, mówi głównie Grażynka; to nie są opowieści, tylko kojący potok słów jak muzyka, ale nie można powiedzieć, że mówi o niczym, bo jest tak, jakby umiała dobrać słowa wyrażające samo życie. Dominika patrzy na twarz Grażynki ani młodą, ani starą, na ciało, które nawet melodia deszczu wprawia w taniec, a co dopiero ulubiona Abba czy Gloria Gaynor, i wie, że ta kobieta pozostanie w jej życiu nawet wtedy, gdy już trzeba będzie opuścić jej gościnny dom. Daleka droga przed tobą, wzdycha czasem Grażynka i głaszcze Dominikę po głowie. Zabiera ją niekiedy na swój wieczorny spacer do lasu, to dowód dużego zaufania, i wtedy milczą, bo jest to pora, do której pasuje milczenie; siedząc na kamieniu, patrzą na dryfujący w mroku dom i oddychają zapachem żywicy, czują, jak przepływa wokół nich czas. Podczas któregoś z tych spacerów Dominika ma wrażenie, jakby w jej wnętrzu coś zaskoczyło, jakby ruszył jeden z zatrzymanych mechanizmów i pragnienie podróży, o którym mówi Sara, stało się jej własnym.

Sara zna ten las. Trzy lata wcześniej znalazła ją tu Grażynka, która myślała, że na ścieżce duch stoi, bo skąd nagle czarna dziewczyna z żółtymi włosami, i nawet zaczęła przypominać sobie, co Ciocie Herbatki z Kamieńska, a co Halina Chmura z Wałbrzycha radziły robić w takiej sytuacji, bo w przeciwieństwie do nich przez całe życie miała kłopoty tylko z żywymi, i to zwykle mężczyznami. A tu nagle w ciemności stoi coś o drzewo oparte, dyszy, oczami świeci, na kobietę wygląda, a na duchy żeńskie Ciocie Herbatki mówiły duszne, to Grażynka dobrze pamięta. Wracały z wyprawy na bagna po borówki

i jedna do drugiej mówiła, a ta duszna, co ją pod dębem widziałyśmy, to nasza z Kamieńska czy jakaś zamieszko-  
wa? Grażynka nie wiedziała więc, duszna czy żywa, i nie znając lepszego sposobu na to, by zagadać do obcej, zapytała cudaka, czy może potrzebuje pomocy. Mam na imię Sara, Sara Jackson, odpowiedziała duszna lub żywa w obco brzmiącym, choć płynnym niemieckim; to sprawy nie rozwiązało, bo wiadomo, że duchy mogą przedstawiać się imionami ziemskimi, gdy jeszcze nie nadano im pozaziemskich, i mówić w dowolnym języku, nawet po łacinie czy japońsku. Czarna postać wytłumaczyła, że zobaczyła ścieżkę i chciała na przelaj dostać się na dworzec kolejowy w Mehrholtz, bo wybiera się do Monachium, ale chyba zablądziła; Grażynka dostrzegła w półmroku zarys plecaka i wydało się już niemal pewne, że obca jest kobietą z krwi i kości, bo na cholerę duchowi osobowy do Monachium, który wlecze się jak żółw. A co się stało? Sara przyjechała do Mehrholtz tego samego dnia po południu i miała pracować u państwa Korn, gdzie głowa rodziny, Adolf Korn, z dnia na dzień tracił głowę z powodu alzheimera, ale odesłali ją natychmiast. Dlaczego? Wynikło nieporozumienie, bowiem państwo Korn w osobie starej pani Korn, jej syna i synowej, oraz starego pana Korna, za którego oni w pełni ręką, iż podzieli ich zdanie, spodziewali się czegoś innego, niż dostali w osobie Sary. Nie, referencje miała bardzo dobre, jest dyplomowaną pielęgniarką i rehabilitantką. To znaczy co? Białej się spodziewali! Myśleli, że będzie biała. Biała być miała! Biała? Biała. Nie chcieli, by mieszkała z nimi czarna. Gdyby dochodząca, to jeszcze, ale mieszkać? Powiedzieli, że nieporozumienie, straszne nieporozumienie,



że oni wyraźnie mówili w agencji, czego im potrzeba, a nie dodali, że biała, bo to się samo przez się rozumie. Osobiście nie mają nic przeciw, ale swoje wiedzą i widzą, wystarczy, że telewizję się poogląda i wiadomo, co widać i co wiedzieć, ile wszędzie się Czarnych, Turków, Polaków namnożyło. Obecność Sary miałaby wpływ wprost fatalny na alzheimera, przez którego głowę traci głowa rodziny Korn w takim tempie, że niedługo zostanie na jego szyi pusta kulka obciążnięta szarą skórą, jak makówka, z której wysypał się mak. Gdyby taka czarna opiekunka co rano pana Korna budziła, myła, karmiła, wszystko by mu się na amen pomieszało, bo to byłby dla staruszka straszny szok. Mogłoby go to wpędzić do grobu, zanim sobie przypomni, gdzie ukrył te dwie stare ikony, co to jeszcze z wojny je miał i o których mówił, że cenne, a z latami cena ich wzrasta, więc niech trzymają ręce przy sobie, on w swoim czasie sam da wnukowi, będzie miał pamiątkę po dziadku. Wnuk już się na świat pcha i kopie od środka brzuch młodej Frau Korn; co jakiś czas prowadzą więc młodą panią Korn do łóżka starego Korna, by mu zademonstrowała brzuch z wnukiem, może sobie co przypomni w obliczu przyszłych pokoleń. Jednak stary ślini się i nic sobie nie przypomina; posiał gdzieś te ikony, cały dom przekopali, ogród zryli i nie znaleźli. Nie mają już do niego siły, do tego alzheimera, pieluch zmieniania, więc zgłosili do agencji, że pomocy potrzebują w osobie wykwalifikowanej pielęgniarce. No ale białej! Żadnych czarnych, żółtych czy Turczynek. Frau Korn widziała w telewizji, jak jedna turecka sprzątaczką niemieckiego staruszka na swoją wiarę przekabaciła, tak że rodziny się wyrzekł, powiedział im, raus, ja

się będę z Turczynką moją heiraten. One tylko patrzą, te Turczynki! Gorsze niż Polki, bo przyjechały z daleka, nie takie robotne, i wieprzowiny podobno nie jedzą. Frau Korn rozmawiała potem z Frau Zorn, co też oglądała, że jak to tak, trzeba naprawdę sumienia nie mieć, żeby do cudzego chorego staruszka się zabierać. I on się potem z nią nawet ożenił, widziały w telewizji, z tą Turczynką czy Hinduską, ten staruszek podobny do starego Korna, a na ślubie mu jakiś naszyjnik z kwiatów założyli na szyję jak głupiemu, bo tak robią w Turcji czy u Hindusów. Przeżyli więc szok państwo Korn z Mehrholtz, gdy na progu zobaczyli Sarę Jackson. Frau Korn nie chciała ryzykować i chwyciła za telefon, krzyku było co niemiara, bo agencja kazała jej zapłacić Sarze za dojazd plus odszkodowanie, a nawet poprosili Sarę do telefonu, nie zważając na to, że to rodzina Kornów obciążona zostanie kosztami połączenia. Wszystko, co Frau Korn mówiła do Sary, miało formę prostych zdań w czasie teraźniejszym wypowiedzianych głośno i wyraźnie, jakby nie docierał do niej fakt, że dziewczyna odpowiada jej w płynnym niemieckim, i potem będzie opowiadać Frau Zorn, nie dość, że czarna, moja droga Frau Zorn, to jeszcze ani be, ani me, ani kukuryku. Sarze nie podobało się u państwa Korn, ale zostałaby, gdyby chcieli, bo nie miała dokąd wrócić i potrzebowała pracy. To był komunikat, na który Grażynka nastawiła swój wewnętrzny radar; znaleziona w lesie dziewczyna potrzebuje pomocy, a więc to jasne, że los zetknął je ze sobą nieprzypadkowo. Chodź ze mną, odpoczniesz, zjesz ciepłej zupy, a jutro się pomyśli, co dalej. Jutro przyszło i odeszło, a Sara została przez miesiąc, uczyła syna Grażynki, Daniela, jazdy na desko-



rolce, a ją przyrządzania aromatycznych potraw, które Hans zjadał z przyjemnością jak wszystko, co mu żona podawała.

Grażynka i Sara poczuły zew siostrzeństwa, mimo że urodziły się na dwóch różnych kontynentach i wbrew różnicy wieku; Sara miała dwadzieścia siedem lat, Grażynka lat swoich od dawna nie liczyła i dwa razy zmieniała datę urodzenia w dokumentach, ale z pewnością dźwigała na barkach więcej niż dwa razy tyle. Gdy Sara znalazła pracę w szpitalu w Monachium, nadal odwiedzała Grażynkę prawie co niedzielę, a pobyt Dominiki zbliżył je jeszcze bardziej; dopiero potem okazało się, że Sarze, podobnie jak Dominice, Grażynka tak naprawdę nie powiedziała o sobie nic i żadna z nich nie potrafiła odtworzyć historii jej życia ze sprzecznych i poplątanych fragmentów opowieści. Sara pamiętała, że Grażynka chyba pochodziła z Radomska, Dominika mogłaby prawie przysiąc, że nie z Radomska, tylko z Częstochowy; na resztę składały się niepołączone ze sobą wydarzenia, mężczyźni, którym czegoś brakowało, miasta, miasteczka i wioski, z których pewne wydawały się tylko Wałbrzych i Mehrholtz. Grażynka wiedziała, że z nich trzech tylko ona jest w miejscu, w którym powinna pozostać, przynajmniej przez jakiś czas, i liczyła się z tym, że czeka ją pożegnanie. Nie zdziwiła się, gdy w lipcu, podczas jednej z wielu burz, jakie tamtego roku nawiedziły Mehrholtz, Dominika powiedziała jej, że wyjeżdża z Sarą, odwiedzą po drodze jej córkę Anielę. Przyzwyczajona do tego, że odchodzili mężczyźni i dzieci, psie znajdy trafiały do domów, w których dostawały miskę na wyłączność, świnię zabierano do rzeźni, a koty znikaly,

by pojawić się znów bądź nie, Grażynka uważała utratę za tak samo konieczną część życia jak przyjemne niespodzianki. Właściwie to, że szczęście mija, a nie trwa, że ludzie raczej odchodzą, niż zostają, że na przykład wraca się do Napoleonówki z tańców w Gorzkowickiej remizie, a po Ciociach Herbatkach nie ma śladu, tylko zapach lawendy i parę błękitnych kropli likieru w kieliszku, i że życie po tym toczy się dalej, że dalej chce się tańczyć, kochać i oblizywać palce poklejone słodkim sokiem, było dla niej oczywiste. To o nich myślała, o Ciociach Herbatkach, gdy opuszczali ją mężczyźni lub sama wymykała się o świcie, by nigdy nie wrócić, gdy rozstawiała się z przyjaciółkami, a tych nie było wiele. Ona potrzebuje miłości, a nie opieki, powiedziała Grażynka do Sary, gdy się żegnały na tym samym dworcu autobusowym, z którego parę miesięcy wcześniej odjechała do Polski zrozpaczona Jadzia Chmura. Wiedziała jednak, że Sarze nic nie musi tłumaczyć i słowa służyły tylko temu, by powstrzymać łzy, bo Grażynka nie lubiła łez i rozmazanego tuszu. Szepnęła więc, w ucho pachnące paczuli, ona potrzebuje miłości, matkuj jej w drodze, bo rozumiała, że Dominika jest nadal krucha i podatna na zniszczenie, mimo iż doszła do zdrowia szybciej, niż zapowiadali lekarze. Gdyby czas rzeczywisty płynął tak jak czas życia Grażynki, bez jutra i wczoraj, zabrałaby tę smutną, cichą dziewczynę do domu w miasteczku Kamieńsk, do Napoleonówki, gdzie przy starym stole siedziały Ciocie Herbatki i napełniały słoiki różaną konfiturą. Dominika mogłaby się tam schronić, tańczyć do melodii katarynki, łowić raki w Kamionce i chodzić z Grażynką do budki dróżnika Barnaby Midziaka, by słuchać jego bajania,



ale niestety. No trudno, niestety, powiedziała Grażynka i gdy machała im, stojąc na peronie dworca, jej twarz była znów pogodna i spokojna. Sarze Grażynka mogła ufać, bo ktoś, kto nosi w sobie taką historię i żyje, ma moc ocalania innych. To właśnie opowieść Sary Jackson, w której przemocy jest tyle samo, co miłości, sprawiła, że Grażynka zobaczyła w niej siostrę.

Sara spędziła dzieciństwo na Brooklynie, w dzielnicy Bedford Stuyvesant, Bed-Stuy w skrócie, w domu z brązowej cegły, który stał w szeregu innych domów z brązowej cegły zamieszkanymi przez czarnoskórych Amerykanów. Wychowywała ją kobieta marudna, silna i odważna, La-Teesha Jackson; połączenie zręczenia, odwagi i siły nadawało jej mowie rytm, przy którym wrażliwa na muzykę Sara od razu zaczynała się kiwać. Uwielbiała kąpać się z La-Teeshą i w oparach pieniacego płynu o zapachu pomarańczowym słuchała jej ponurych wywodów na temat życia w ogóle, a w szczególności na Bed-Stuy, gdzie La-Teesha spędziła całe życie. Wilgoć zamazywała kontury sprzętów, osiadała na sinawych ścianach łazienki, które przybierały szlachetny kolor morskiej zieleni. Baby, mówiła do niej babka zanurzona po piersi w pianie i punktowała każdą frazę, celując we wnuczkę mokrym palcem. Baby, nie mów mi, że Bed-Stuy się zmieni. Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy. Jesteśmy tu na życie całe udupieni. Się mądrzysz, ale nie zgadniesz, jakie są wyroki boskie. Baby, gdzie ci tam do boskich, jesteś czarnym podrostkiem. Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy, wzdychała i dolewała gorącej wody. Baby, jest tak, jak jest, to chyba tak być musi, a jak nie wierzysz, los cię do tego zmusi. Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy. Sara odziedziczyła po bab-

ce mocne duże dłonie i piękne pośladki, hipnotyzujące mężczyzn, bo gdy szła, w zgranym ruchu dwóch półkul było coś jednocześnie czulego i dzikiego, a przynajmniej tak myśleli ci, którzy umieli powiedzieć więcej niż ale dupa. Sara najmocniej zakręcone słoiki otwierała bez wysiłku, gdy miała dziesięć lat, a jako piętnastolatka wyrosła tak bujnie i hojnie, że każdy dzieciak i mężczyzna z Bedford Stuyvesant pragnął przytulić się do niej. Jej tulów pozostał szczupły, talia wąska, ale biodra Sary otwierały się poniżej jak kielich kwiatu, gigantyczny czarny tulipan pokryty delikatnym meshkiem. Bujne ciało Sary stawało się problemem tylko wtedy, gdy większość kobiet wokół była biała, co na początku zdarzało się nader rzadko, bo podobnie jak inne czarne dziewczynki nie miała wielu okazji do opuszczania swojej dzielnicy. Bed-Stuy było czarne, a jego mieszkańcy uważali, że w porównaniu z Harlemem są o wiele prawdziwsi i czarniejsi; Harlem, ich zdaniem, powoli schodził na psy, tu, na Bed-Stuy, toczyło się życie nieporównywalnie bardziej skomplikowane i trudne, godne uwiecznienia w słowach śpiewanych wokół ognisk rozpalanych w ciepłe noce na zapuszczonych podwórkach. Na początku XX wieku prababka Sary, Destinee, przybyła tu z Południa, by osiedlić się na Brooklynie, gdzie przez kolejne pięćdziesiąt pięć lat prowadziła sklepik ze starzyzną wciśnięty między pralnię i lombard; już wówczas los dzielnicy wydawał się przypieczętowany.

Sara zdążyła poznać swoją prababkę, półślepą i pokręconą artretyzmem jak charka z żydowskiej piekarni; staruszka budziła w niej fascynację i czułość, bo u schyłku życia była tak mała i lekka, że bez trudu dawała się



włożyć do wózka dla lalek i wozić po ulicy. Na starość miała jedną ekstrawagancję, upierała się, by niezależnie od pory roku nosić rękawiczki; bez rękawiczek nie pozwoliła ruszyć się z domu, w wózku czy bez wózka, i zaczynała tak przeklinać, że wędły uszy. Prababka Sary miała dłonie, które zdążyły swoje przeżyć, zanim Destinee skończyła dwadzieścia lat, najpierw ich wnętrze stwardniało od pracy na plantacji trzciny cukrowej w Luizjanie, potem brzegi poznały różowe sznyty oparzeń, gdy z pola przeniesiono ją do domu, gdzie zajmowała się gotowaniem i prasowaniem, na koniec straciła końce dwóch palców lewej dłoni, gdy dla zabawy poszczuto ją psem. Sara od małego miała zamiłowanie do opiekowania się stworzeniami potrzebującymi opieki, a więc nakładała babce rękawiczki i wozila ją w wózku przykrytą kolderką w kwiatki; w porze lunchu karmiła ją małutkimi kęsami tostu z masłem orzechowym, przeżuując go najpierw tak, jak to robiły matki podpatrzane w parku na Bed-Stuy. Prababka Destinee mieszkała z jedną ze swoich córek, głuchą ciotką o wiecznie zdziwionym wyrazie twarzy, i być może brak kontaktu ze współlokatorką, która, co by do niej powiedzieć, zawsze miała tę samą minę królika zaskoczonego w świetle samochodowych reflektorów, wynagradzała sobie niepowstrzymanym gadulstwem, gdy prawnuczka zabierała ją na przejażdżkę. Prababka Destinee miała żółte oczy i historię, którą opowiadała przez całe życie, najpierw dzieciom podczas niedzielnych podwieczorków, gdy piekła im słodkie ziemniaki z wanilią i cynamonem albo, gdy miała szczególnie dobry humor, odgrzewała ozór wołowy z obiadu, potem wnukom i prawnukom.

Gdy starość skurczyła Destinee do rozmiaru kabaczka i pozbawiła siły, historia, przeciwnie, nabrała mocy, jakby utwardziło ją i wygładziło ciągle powtarzanie. Sarze trafiła się wersja najpełniejsza, jak gotowy do zerwania, ciężki od soku owoc.

Bohaterką tej opowieści była babka Destinee, aktorka z Europy, z Paryża, taka piękna, że sobie nie jesteście w stanie wyobrazić, a mówili na nią Wenus. Nie wiecie, kto to Wenus? Bogini, tłumoki, nieuki, kretynki z myślim głównym zamiast mózgu, Wenus to bogini z Europy, i po niej nazwali moją babkę. Występowała w Londynie, w Paryżu, w Moskwie nawet, bo sam ruski król listy, prezenty słał, że odmówić nie mogła, tłumaczyła Destinee. Włosy piękne, jakby właśnie wyszła z salonu fryzjerskiego, skóra niby czarna, ale jakby biała, gładka i delikatna jak koci brzuch. Cóż Wenus miała za suknie! Całe szafy pełne rękawiczek. Na każdy dzień tygodnia inna para i dzięki temu dłoni sobie nie zniszczyła. Szkarłatne, w kolorze indygo, żółte jak szafran. Złotobrazowe jak skórka pieczonego kurczaka. Zamszowe, z cętkowanej skórki leoparda, jedwabne, aksamitne, koronkowe, z wełny szetlandzkiej i egipskiej bawełny, z brokatu ręcznie wyszywanego złotem. Malowane w kwiaty, całe pejzaże na rękawiczkach, które poruszały się jak żywe, gdy zginała palce. A dłonie miała Wenus delikatne jak niemowlęca dupka, paznokietki jak u lalki wypolerowane na glanc, różowe, czyściutkie, zachwycała się Destinee i kazała Sarze pokazać ręce dla porównania. A jak Wenus tańczyła! Stroje do tańca najlepsze paryskie krawcowe jej szyły. Występowała na scenie, знаła królów, Napoleonów różnych osobiście przyjmowała, mówiła Destinee do pra-



wnuczki Sary, tak samo jak kilkadziesiąt lat wcześniej do swoich dzieci, potem wnuków i każdego, kto chciał jej słuchać, a przynajmniej nie przerywał. Rękawiczki! Coraz wymyślniejsze pojawiały się w opowieści Destinee, o wzorach dziwnie współczesnych, z metalowymi nitami jak te używane przez szczęśliwych posiadaczy motorów z Bed-Stuy, ze sztucznego jedwabiu, a nawet gumowe kuchenne, jakie kupić można było za grosze u Icka Kaca w American Values. Na co dzień praktyczna i przyziemna kobieta, która nie miała wielu okazji, by się od ziemi odrywać, bo zbyt była zajęta obowiązkami związanymi z przeżyciem i utrzymaniem przy życiu swoich młodych, Destinee zmieniała się nie do poznania, gdy zaczynała opowiadać o czarnej Venus z Paryża, podróżującej ze swoim teatrem po całej Europie. Opowieść sprawiała, że staruszce prostowały się ramiona, a oczy żółte jak u kota świeciły jaśniej niż żarówka nad ich stołem; Sara patrzyła na Destinee w obawie, że babka nie wytrzyma tej energii, która rozpalala jej drobne ciało, i na jej oczach spłonę od żaru opowieści. Podróże po Europie, aksamitne rękawiczki, żyrandole kryształowe, te słowa zapadały w Sarę jak ziarno i miał z nich wkrótce wyrosnąć las dziki jak amazońska dżungla. Żyrandole! W paryskim mieszkaniu Venus, opowiadała Destinee, żyrandole były kryształowe, ogromne, wyglądały jak fontanny światła tryskające z sufitu, a czarna Venus, gdy roztańczyła się tak, że brakowało miejsca na podłodze, hop, podskakiwała i dłońmi w rękawiczkach jedwabnych, brokatowych, ze skórki jagnięcej, piórami ozdobionych, hop, chwytala się żyrandola i rozhuśtywała go od ściany do ściany, od ściany do ściany; żyrandola uczepiona przela-

tywała nad głowami, nad dachami i nad morzami, tylko jej małe stópki było widać z dołu i koronkowe majtki. Zostawał po niej diamentowy pył na podłodze, a ludzie zgromadzeni na balu, sami książęta, księżniczki, Napoleony, brali go w palce, szeptali, cuda, cuda; szemrali, niemożliwe, patrzyli po sobie, nie dowierzając, że byli świadkami czegoś tak niezwykłego. A Venus jak kometa z ogonem ognistym, jak śnieżna burza czarna, jak trąba powietrzna, jak łabędź leciała, i gdy ktoś podniósł głowę tej nocy, nigdy nie zapomniał jej widoku. Dokąd leciała? Jak to dokąd! Prababka Destinee kręciła głowę z politowaniem, że tak prostej rzeczy Sara nie umie zgadnąć. Czarna Venus żyrandola uczepiona wprost do Afryki leciała. Daleko, daleko, na południe od Paryża, na południe od Londynu, na południe od Nowego Jorku i na południe od wszystkiego, tam gdzie woda błękitna jest jak niebo, niebo jeszcze błękitniejsze od wody, a piasek, piasek na plaży, na której Venus lądowała, wciąż trzymając się francuskiego żyrandola, tak biały, że trudno uwierzyć, by coś było zrobione z bieli tak doskonale. Tam, mówiła Destinee, była prawdziwa ojczyzna czarnej Venus, jej ciotki i wujowie, przyrodnie siostry i bracia, matka, ojciec i rodzeństwo w liczbie sztuk osiemnastu; gdy tylko ją zobaczyli, urządzili wielkie przyjęcie na plaży, czego tam nie było! Stosy owoców, jakich na Bed-Stuy nikt nigdy nie widział, prawdziwe owoce prosto z drzewa, opite słońcem, a do tego ogromne gary pełne pieczonych kurczaków, wołowych ozorów i słodkich ziemniaków z cynamonem i wanilią, które tak pachniały, że głodni ludzie budzili się na drugim końcu Afryki, przecierali oczy i węszyli, oblizując wargi. Czarna Venus piła,



jadła i opowiadała o życiu w Paryżu, pozwalała przymierzyć swoje rękawiczki, ale żadna z kobiet nie miała tak drobnych dłoni, by pasowały. Mówiłam, pytała Destinee, jakie miała rękawiczki? A Sara patrzyła na nią zognieniałymi żółtymi oczami, pragnąc, by prababka jeszcze raz opowiedziała o rękawiczkach, które piękniały z opowieści na opowieść, zamieniały się w żywe stworzenia o pięciu nibynóżkach. Rękawiczki! Z atlasu w kolorze nieba, z guziczkami, z pawimi piórkami, które tak łaskotały czarną Wenus w nadgarstki, że ciągle chichotała. Z kryształkami, różyczkami, małymi cukrowymi perłkami, które można było obgryzać! W chwilach szczególnie dobrego humoru Destinee pokazywała tańczącą czarną Wenus, pływającą w dzikim rytmie, który skądś pamiętała jej dusza, a dzieci podbijały go rękoma i nogami, coraz szybciej, szybciej, by zobaczyć, jak szybko uda się babce zatańczyć, i nigdy ich nie zawiodła. Pod koniec życia Destinee mówiła już tylko o czarnej Wenus, swojej babce aktorce z Paryża, ale traciła pamięć, a może odzyskiwała inną, lepszą, i historia pełna była nagłych skoków, hop, na żyrandol, hop, między epokami i kontynentami, z Paryża, hop, do Londynu, i hop, na Bed-Stuy, a czasem, hop, staruszka zasypiała w połowie zdania z otwartymi ustami, z których sączyła się nitka śliny.

Najmłodsza prawnuczka Destinee, Sara, była osobą, której ta dziwna porwana historia wydawała się ciekawsza niż kino i chłonęła słowa jak gąbka, pytając, i co dalej, co dalej, prosząc, opowiedz, babciu, o czarnej Wenus, gdy nikt inny już nie traktował staruszki poważnie. W Paryżu, mówiła Destinee, życie miała Wenus zupełnie inne niż Murzynka z Brooklynu, a Sara smakowała

frazę inne życie, jakby ssła kostkę kurczaka. Paryż to Paryż, są tam ulice wyłożone marmurami tak szerokie jak rzeka Hudson, z jednego brzegu drugi ledwie widać, jest park, w którym trwa nieustanny piknik, rozdają tam za darmo pieczone kurczaki i wołowe ozory, a dla dzieci pod dostatkiem jest słodkich ziemniaków, to piękne miejsce nazywa się Wschodni Przylądek. Wschodni Przylądek w Paryżu, powtarzała Sara i obliżywała się na sam dźwięk tej nazwy, a także dlatego, że po prostu lubiła jeść, zwłaszcza potrawy, o których opowiadała babka. Destinee, żywiąca się już tylko czarnymi nitkami lukrecji i przeżutymi tostami, solidniejszych pokarmów dostarczała sobie w opowieści i niezależnie od tego, w jakim znajdowała się momencie historii o czarnej Wenus, pojawiały się tam pieczone kurczaki i ozory wołowe, bo nie dojadająca przez całe życie tak wyobrażała sobie niebo. Mlaskała, mówiąc o tym jedzeniu, na które tak rzadko było ją stać, i Sara odnosiła wrażenie, że jej prababka naprawdę odżywia się słowami, czasem w pokoju unosił się zapach przyrumienionej skórki kurczaka albo wanilii i cynamonu. Któregoś razu głodna Sara tak skupiła się na ozorze z opowieści babki, że przegapiłaby nowy wątek w historii Destinee, po której nie spodziewano się już nic nowego prócz śmierci. Wenus miała dziecko z francuskim królem, powiedziała babka i popatrzyła na wnuczkę oczami, które z upływem czasu zmętniały tak, jakby nalało się do nich mleko, nazywał się Napoleon, kochał ją jak żadną inną kobietę na świecie, ale przyznać trzeba, że niestety był mężczyzną żonatym.

Niedługo po tym zadziwiającym wyznaniu Destinee zmarła we śnie, a oprócz zapachu słodkich ziemniaków



z wanilią i cynamonem, ostatniej potrawy, o której mówiła w tym życiu, została po niej skrzynka drewniana z ubogim dobytkiem, parę sukienek, trzy pary butów, Biblia, której nie mogła czytać, bo nigdy się nie nauczyła, ale którą zawsze nosiła ze sobą do kościoła; a w Biblii, między psalmem siódmym a ósmym, ulotka wielkości kartki ze szkolnego zeszytu, zgięta wpół. Odbity na niej był wizerunek czarnej kobiety, stojącej bokiem, ale lekko zwróconej ku patrzącemu. Dzięki temu jej łono jest zasłonięte, jednak można dostrzec dwie nagie piersi, kuliste jak połówki melona. Na szyi i wokół talii kobieta obwieszona jest sznurami koralików, z których zrobione są także ozdoby nad jej kolanami, na stopach ma dziwne buty przypominające męskie mokasy. Prawą dłoń opiera na długiej żerdzi, szczupłe delikatne ramię wyciągnięte jest do przodu jakby w poszukiwaniu równowagi, przez lewy bark trzyma przewieszoną materię, a może skórę jakiegoś zwierzęcia, która zlewa się z tłem poznaczonym sinymi plamkami pleśni. Część twarzy czarnej kobiety przykrywa maska, a może to malunek, trudno stwierdzić jednoznacznie na podstawie zatartego obrazka. Jej usta są pełne i niemal okrągłe, jak pulchne, miękkie O, tkwi w nich papieros, a może cygaro czy fajka, nie wiadomo, pewny jest tylko dym, który unosi się szarą spiralą ku postrzępionej krawędzi kartki. Włosy kobieta ma bardzo krótkie, gęsto pokrywają jej czaszkę, ozdabia je opaska, a pęk paciorków jak fontanna wytryskuje z czubka jej głowy. Najbardziej rzucającym się w oczy szczegółem wyglądu kobiety są potężne pośladki wystające poniżej jej szczupłych pleców i wąskiej talii jak obła mięsista półeczka. Siedzi na niej amerek o policz-

kach, których jaskrawy róż nie uległ zniszczeniu, mimo iż prawie nie widać jego oczu i dłoni, i celuje z łuku prosto w patrzącego. Nad głową amorka unosi się dymek z napisem, *Take care of yo*, i nie wiadomo, o co dbałość zaleca mały urwis usadowiony na pośladkach półnagiej czarnej kobiety, bo dalej rozlała się brunatna plama, jakby zakrzepła tam kropla kawy albo krwi. Na dole obrazka zachował się napis, niewyraźny, ale wciąż możliwy do odczytania: *Love and Beauty. Sartjee the Hottentot Venus*. Venus z opowieści prababki Destinee, aktorka z Paryża! Mała Sara wpatrywała się w wizerunek kobiety i docierało do niej, że prababka nie kłamała, czarna Venus istniała naprawdę, choć wyglądała nieco inaczej niż w opowieści Destinee. Czarna Venus, kolekcjonerka rękawiczek, kochanka króla Napoleona, latająca na żyrandolu kryształowym, patrzyła na nią z obrazka przechowanego w Biblii prababki.

Sara, dziewczynka na progu kobiecości, uległa czarowi wizerunku i dzięki niemu po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda; gdy w łazience przejrzała się w lustrze, zobaczyła w nim czarną Venus, na której pośladkach też zmieściłyby się już amerek, i to całkiem spory. Od tego dnia nie pozwalała swojej babce La-Teeshy spinać sobie włosów kolorowymi kulkami w osiem sterczących rożków, tylko ogoliła je na krótko maszynką dziadka, by wyglądać jak kobieta z obrazka. Przed zaśnięciem słuchała głosów dochodzących z ulicy i myślała o dalekich krajach, jedwabnych rękawiczkach, kryształowych żyrandolach, garnkach pełnych pieczonych słodkich ziemniaków na jakiejś plaży, o piasku tak białym, że przed jego blaskiem trzeba mrużyć



oczy. Czasem śniła jej się czarna Venus; patrzyła na Sarę oczami jak cytrynowe landrynki i nuciła w jakimś nieznanym języku, który składał się z cmoknięć i klaskania, i wydawał się jej niezwykle piękny. Sara powtarzała we śnie tajemnicze słowa i niektóre pamiętała po przebudzeniu, ale babka La-Teesha nie potrafiła jej powiedzieć, co znaczą, i na wszelki wypadek kazała zażyć aspirynę. Niekiedy sny Sary były piękne i miała wrażenie, że huśta się na żyrandolu, o którym opowiadała jej prababka; po przebudzeniu zwlekała z otwarciem oczu, by cud kołysania wysoko, ponad głowami, dachami, nadal trwał choć przez chwilę. Ale zdarzały się sny straszne, gdy Sarze wydawało się, że Venus jest zamknięta w klatce; wyraźnie czuła jej gniew i przerażenie, słyszała głosy, krzyki i gwizdy, i po chwili widziała, że to ona jest uwięziona, naga, otoczona przez tłum gapiów. Ich twarze były różowosine jak surowe mięso kurczaka, policzki nabiegały krwią z podniecenia, języki wyskakiwały z ust, oblizywały wargi układające się do krzyku: potwór, monstrum, czarna dziwka. Czy ja wyglądam jak czarna dziwka? zapytała Sara rano babkę La-Teeshę, i najpierw dostała przez łeb, a potem dodatkową łyżkę tranu o smaku malinowym, który kupowały w American Values u Icka Kaca. La-Teesha widziała, że z wnuczką, którą wychowywała od małości, dzieje się coś dziwnego, słyszała, jak jęczy przez sen, ale tłumaczyła sobie, że to śmierć Destinee tak ją zasmuciła, i zaparzała jej wieczorem rumianek na uspokojenie. Trudniej było jej zaakceptować nową fryzurę Sary, która w przeciwieństwie do koleżanek nie chciała ujarzmić swojego afro i zaczynała wyglądać na Bed-Stuy jak odmieniec. Do tego sprawiała często

wrażenie śniącej na jawie i wzdychała, ach, babciu, jak ja bym gdzieś pojechała, gdzieś daleko stąd! Gniewnym tonem powtarzała jej wtedy La-Teesha, baby, na Bed-Stuy jest twoje miejsce i nie szukaj winnych. Ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. To chyba proste. Każda z nas jest czarna i winna, za to nie ma winnych wśród innych. Jesteś tu, gdzie jesteś, bo tu jest twoje miejsce, baby. Pójdziemy do zakładu Janet, uczesze cię jak trzeba, nie ma co się wyróżniać bardziej niż potrzeba. Na Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy, wzdychała i groźnie celowała we wnuczkę palcem, ale Sara pierwszy raz chciała czegoś tak wyraźnie, a jej pragnieniem było upodobnienie się do czarnej Venus z ilustracji odziedziczonej po prababce Destinee. Kręcone włosy i ciemna skóra były na Bed-Stuy powodem dumy i zgryzoty zmieszanych w różnych proporcjach, zależnie od okoliczności zewnętrznych i indywidualnego charakteru; w momencie, gdy jedna z ingrediencji zaczynała dominować, pojawiały się kłopoty, i dlatego La-Teesha załamywała ręce. W gabinetach kosmetycznych i fryzjerskich Bed-Stuy, takich jak salon piękności Janet, prowadzony przez przyjaciółkę La-Teeshy, od dawna oferowano zabiegi wybielające i rozjaśniające, a włosy prostowano, bo nikt nie chciał ich kręcić jeszcze bardziej. Dziewczynki w wieku Sary czekały na moment ukończenia szkoły, by móc pójść do fryzjera i poddać się bolesnemu i nierzadko niebezpiecznemu zabiegowi, który na Bed-Stuy był rytuałem przejścia. Na nic przydałaby się tu umiejętność Tadeusza Kruka z Kamieńska, który trwałą typy baranek potrafił nakręcić w szesnastcie minut, z zegarkiem w ręce. Na Bed-Stuy w użyciu był płyn do prostowania, który wypalał dziury w politurze i niszczył



czył paznokcie; gdy któraś kobieta mimo ostrzeżeń po-  
trzymała go na głowie chwilę dłużej, włosy robiły jej się  
ciągliwe jak guma i wychodziły garściami, a skóra głowy  
łuszczyła się przez miesiąc i piekła.

Od śmierci Destinee i zmiany fryzury na taką, jaką  
miała czarna Venus, Sara czuła się coraz bardziej osa-  
motniona w Bed-Stuy. Na lekcjach nudziła się i rozma-  
rzona wpatrywała w okno, ale miała dobre oceny, a na-  
uka przychodziła jej łatwo; nie budziła jednak sympatii  
koleżanek, które jej zdolność do zapamiętywania bez  
trudu stolic nieznanych krajów i dorzeczy dalekich rzek  
brały za zarozumiałość. La-Teesha codziennie, z wyjąt-  
kiem niedziel, o piątej dwadzieścia jechała metrem na  
Manhattan, gdzie sprzątała biura między siedemdzie-  
siątym siódmym a osiemdziesiątym trzecim piętrem  
Empire State Building. Pozostałe piętra były podzielo-  
ne między kobiety podobne do niej, z tym, że Wonda  
z Portoryko, Natasza z Ukrainy, Wiesia z Polski i Regi-  
na z Czechosłowacji przyjechały do Ameryki mniej wię-  
cej z własnej woli, podczas gdy przodków La-Teeshy  
wylapano, związano i wrzucono do ładowni statku.  
Przed wyjściem do pracy zostawiała wnuczce śniadanie  
do szkoły zawinięte w szary papier. Sara wracała po lek-  
cjach do wciąż pustego mieszkania na dolnym poziomie  
jednego z brązowych domów, żyły tam we dwie z babką,  
nie licząc przypadkowych lokatorek i dziadka, który po-  
jawiał się i znikał. Gdy brakowało im grosza, podnajmo-  
wały kobietom przybywającym na Bed-Stuy bóg wie skąd  
i mówiących najróżniejszymi odmianami angielskiego  
malutką i zawilgoconą sypialnię, a Sara każdą z nich na-  
zywała ciocią i cieszyła się ich obecnością. Zawsze mia-

ły jakieś ciekawe i skomplikowane powody, by przybyć  
na Brooklyn z jedną walizką albo i bez bagażu; zawsze  
były to kobiety, bo o mężczyznach, niezależnie od rasy,  
babka La-Teesha miała jak najgorsze zdanie. To gamo-  
nie, muzycy z bożej łaski, sukinsyny, pasożyty, czekają  
na żarcie i okłaski. Sprzątam już od lat dwudziestu. Baby,  
wyteż wyobraźnię. Ruszysz się z Bed-Stuy za rzekę tyl-  
ko do sprzątania. Wszystko zrobisz do połysku, ale nikt  
ci się nie kłania. Baby, wyteż wyobraźnię. Mówię fuck  
i nie powtórz tego w szkole. Mówię fuck i naprawdę  
to pierdolę, ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. Sara kiwała  
się w rytm babcinych wywodów i proponowała, że po-  
smaruje jej na noc plecy obolale od schylania się przy  
myciu podłóg. Gdy La-Teesha odkryła, iż jedna z lokato-  
rek, wysoka, potężnie zbudowana dziewczyna imieniem  
Jai-Vonna, ukradkiem goli się w łazience i ukrywa pod  
nieprzyzwoicie krótkimi spódniczkami męskie ciało,  
wyrzuciła ją na zbity pysk przy akompaniamencie ryt-  
micznych przekleństw, mimo protestów zafascynowa-  
nej urodą lokatorki małej Sary. Jeszcze długo potem sam  
dźwięk imienia Jai-Vonna kojarzył się Sarze z czymś pięk-  
nym i zakazanym: Jai-Vonna w czerwonych butach za ko-  
lano i krótkim futerku o szalowym kołnierzu, Jai-Vonna  
z ustami pomalowanymi najczerwieńszą ze szminek –  
w wyobraźni Sary Jai-Vonna należała do świata podobnie  
tajemniczego i pociągającego, co świat czarnej Venus.  
Czasem obie kobiety mieszały się w marzeniach i snach  
dziewczynki, zlewały w jedną potężną postać, jak bogini  
albo jej zmarła matka Shaunika, której nie poznała.

La-Teesha została babką w wieku trzydziestu paru  
lat, co nie wydawało się ani jej, ani sąsiadom niczym



nadzwyczajnym, podobnie jak fakt, iż mężczyźni, którzy byli sprawcami jej wczesnego macierzyństwa i jeszcze wcześniejszego babciństwa, pojawiali się w domu przy Nostrand Avenue sporadycznie i zwykle nic z tego nie wynikało prócz kolejnej ciąży lub awantury, podczas której przez okno wylatywały sprzęty, a niekiedy też zwierzęta domowe i ludzie. Po córce Shaunice La-Teesha urodziła jeszcze dwóch chłopców, którzy zmarli we wczesnym dzieciństwie na tę samą chorobę, stopniowo odbierając im zdolność poruszania się, potem łkania pokarmów, a w końcu oddychania, i pod koniec życia łapali powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Miejscowi lekarze nie mieli pojęcia, co to za przypadłość, a na lekarzy zamiejscowych nie było pieniędzy, i śmierć dwóch chłopców La-Teesha przyjęła z podobną godnością i rezygnacją jak wszystkie wcześniejsze nieszczęścia.

Swojego męża, który raz na jakiś czas wyłaniał się z niebytu, La-Teesha nazywała Johnny Torba Pełna Niespodzianek i wymawiała jego imię z taką intonacją, z jaką kobiety mówią o swoich nieznosnych dzieciach, by ukryć matczyną dumę, którą się czuje mimo braku jakichkolwiek powodów. Johnny! Stukał do drzwi zarośnięty i śmierdzący dymem spelunek, w których grał na saksofonie i przegrywał w karty to, co zarubił, i wołał, kobiety, mam dla was torbę pełną niespodzianek! a ona była zła na siebie, że podobnie jak jej córka, a potem wnuczka, nie może opanować podniecenia i radości. Otwierała mu drzwi ze srogą miną i w udawanej złości rzucała garnkami, przygotowując posiłek, a jej serce wyrywało się do tego wysokiego, przygarbionego mężczyzny o wyglądzie zbitego spanicla, który umiał przybierać

na tę szczególną okazję. Pod groźbą śmierci nie przyznabyła się, że zapach tytoniu, skóry i torów kolejowych, zapach, który kojarzył się jej z miłością i utratą, uważała za najpiękniejszy na świecie. Twój dziadek Johnny! mówiła do Sary, baby, wyteż wyobraźnię. Mówię fuck you, Johnny, i nie powtórz tego w szkole. Mówię fuck i na prawdę go pierdolę, a Sara chichotała szczęśliwa, bo dla niej ten nieodpowiedzialny, pojawiający się i znikający co rusz dziadek oznaczał świat i kuszącą możliwość zniknięcia z Bed-Stuy, która być może pewnego dnia stanie się faktem. Jak przyrzekała sobie z dzieciną wiarą w cuda, ona nie ruszy stąd do sprzątania jak La-Teesha, o nie, ona będzie podróżować z pompą i klasą jak Czarna Wenus. Po kilku dniach, a najwyżej tygodniach Johnny Torba Pełna Niespodzianek zniknął znowu i robił to dokładnie w tym momencie, gdy czujność La-Teeshy uśpiona została łóżkowymi igraszkami i rutyną kilkunastu wspólnych posiłków na tyle, że zostawiała na wierzchu portmonetkę albo, co gorsza, kopertę z wypłatą. Brała wówczas dodatkowe prace i wywieszała w sklepiu Icka Kaca ogłoszenie o pokoju do wynajęcia, przytulnym, co było kłamstwem, i tanim, co odpowiadało prawdzie, a jej surowość i zasznurowane usta były jak samonałożona kara za chwilową słabość.

W kuchni, najjaśniejszym i najcieplejszym pomieszczeniu, gdzie toczyło się życie babki i wnuczki, wisiały portrety zmarłych synów i córki La-Teeshy, Shauniki Jackson, w ramce przystrojonej sztucznymi kwiatami. Mała Sara z nabożeństwem ozdabiała portret matki i nieznanym dziecięcym wujów nowymi różami i amarylisami, które zmieniała z okazji urodzin i świąt: żegnała się zamaszyście, jak uczyła ją babka, i całowała przez szkło



twarze zmarłych. Kwiaty do ozdoby portretów, podobnie jak wiele innych tanich rzeczy, plastikowych, podrabianych, niepełnowartościowych, można było kupić w sklepie American Values, należącym do polskiego Żyda Icka Kaca. La-Teeshy nie podobało się, że musi robić zakupy u obcego, zwłaszcza Żyda, komu na Bed-Stuy się podobało, ale nie mogła odmówić sobie przyjemności grzebania w stosach majtek, nylonowych halek i ogromnych biustonoszy o dziwnym zapachu chemii i stęchlizny, w pudłach pełnych szklanej biżuterii grzechoczącej jak kości, w naręczach jadowicie różowych róż i tulipanów z przyklejonymi na wieczność kropkami wody. Pójdziemy do Żyda po kwiatki dla mamusi, mówiła i brała wnuczkę za rękę, to były dobre chwile.

Portret matki Sary pochodził z magazynu „Ebony”, z artykułu o osiągnięciach edukacyjnych dziewcząt z Brooklynu, tam zamieszczono fotografię siedemnastoletniej Shauniki Jackson z chmurną miną i rozchyłonymi ustami, włosy okalały jej twarz jak czarna aureola, kości policzkowe były ostre i wysokie, a oczy żółte jak u kota. Zdążyła zagrać rolę w amatorskim filmie reżysera z ich dzielnicy, który miał zrobić światową karierę, i zdobyła stypendium sportowe na stanowym uniwersytecie w Nowym Jorku, dzięki któremu miała wkrótce dokonać czegoś, co nie udało się jeszcze żadnej dziewczynie z jej ulicy – przerwać krąg biedy i wczesnego macierzyństwa. Shaunika była podobna do swojego ojca, Johnny’ego Torby Pełnej Niespodzianek, i dlatego trudno było ją pokroić, ale jej obecność przynosiła radość taką, jaką czuje się przed nadejściem Bożego Narodzenia. Chodziła ubrana w sukienki, które ledwie przykrywały jej biodra,

i wbrew miejscowym zwyczajom nie prostowała włosów, mówiąc, że to już niemodne i że na Manhattanie nosi się afro. Latem 1963 roku Shaunika znalazła pracę w barze White Horse w Greenwich Village, gdzie czarne dziewczyny z Bed-Stuy nie zapuszczały się zbyt często. Zараbiała więcej niż jej matka na sprzątaniu i wyglądała na zadowoloną; La-Teesha podejrzewała, że maczał w tym palce jej ojciec, Johnny Torba Pełna Niespodzianek, który podobnie jak wielu innych muzyków z Bed-Stuy i Harlemu, znalazł dla siebie miejsce w tej gościnnej dzielnicy odmieńców różnej maści, żyjących w złudnym poczuciu braterstwa i rozprawiających o równości ras. Shaunika wracała na Bed-Stuy nad ranem, pachnąc słodkawym dymem i alkoholem zupełnie jak jej ojciec, a później nuciła melodie, które La-Teeshy wydawały się dzikie i straszne. Bredziła o kulcie pieniądza i wyjeździe na Wschód, gdzie jest prawdziwa duchowość, a La-Teesha stukala się w czoło. Kult pieniądza na Bed-Stuy? Wyjazd na Wschód? Tłumaczyła córce Shaunice tak, jak potem będzie tłumaczyła wnuczce Sarze, baby, jest tak, jak jest, to chyba tak być musi, a jak nie wierzysz, to los cię zmusi. Kult pieniądza niech uprawiają bogaci, bo im się to bardziej trochę opłaci. Baby, na Bed-Stuy jest twoje miejsce i nie szukaj winnych. To chyba proste. Każda z nas jest czarna i winna, za to nie ma winnych wśród innych. Ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. Zdaniem La-Teeshy na wschodzie czy na zachodzie panowała dla czarnych taka sama bieda jak na Bed-Stuy, a najlepszym miejscem dla przeżyć duchowych był kościół w ich dzielnicy. Matka Shauniki modliła się, by z tego wszystkiego nie wynikło jakieś nieszczęście, a ponieważ niechciana ciąża była w życiu znanych



jej kobiet raczej normą niż szczególnym okrucieństwem losu, najwyraźniej albo nie uwzględniła tego punktu w litanii wznoszonej do nieba, albo władcy niebiescy zignorowali ją tak samo, jak mieli w zwyczaju ci na ziemi.

Gdy Shaunika zaczęła tyć, La-Teesha westchnęła tylko, że jakoś to będzie, a kto wie, czy nie lepiej, niż gdyby miała studiować na uniwersytecie, gdzie czają się niebezpieczeństwa trudne nawet do wyobrażenia. Shaunika porzuciła college, a z baru w Village ją zwolnili, bo co to za barmanka z brzuchem, i zaczęła pracować w sklepi-ku na Nostrand Avenue, należącym do starego Murzyna. Właściwie odczuła ulgę podobną jak jej matka, bo tak naprawdę, mimo urody wielkiej i nieprzydatnej w czasie, gdy czarne modelki nie miały jeszcze szansy trafić na okładkę „Vogue’a” czy „Harper’s Bazaar”, czuła, że na Bed-Stuy jest jej dom, i nigdy nie miała potrzeby ucieczki, nie marzyła o dalekich podróżach. Stypendium sportowe zdobyła po prostu dlatego, że biegła najszybciej, ale nie stało się to jej pasją, nie interesowało jej dążenie do doskonałości i rywalizacja. Gdy po nocach spędzanych w ciemnym barze w Greenwich Village, gdzie spróbowała marihuany, wolnej miłości i LSD, które podobało jej się najbardziej, wracała na Brooklyn, swoje życie uważała za wypełnione i dobre; ziewała szeroko, pokazując idealnie równe, białe zęby. Shaunika wydawała się nieposkromiona; nieposkromiona, mówili, buńczuczna, bo jej uroda skłaniała ludzi do używania słów rzadko przydatnych na co dzień, ale naprawdę była po prostu niezdecydowana i nieprzewidywalna. Jedyne uczucie, co do którego Shaunika nie miała żadnych wątpliwości, było pragnienie dziecka, pragnęła go gorąco od momentu, gdy odkry-

ła, że jest w ciąży, jakby sama ciąża stała się odkryciem jej prawdziwej natury. Została matką, zanim jeszcze poczuła ruchy płodu i rosnący ciężar, który w sposób cichy i nieubłagany skazywał ją na reprodukcję losu, jaki był udziałem jej matki, babki i prababki. Ten ciężar sprawiał Shaunice radość tak doskonałą, że wszystko, co zdarzyło się wcześniej i co mogło zdarzyć się później, straciło znaczenie. Zaszła w ciążę podczas jednej z imprez, zachodzących się nad ranem po zamknięciu Białego Konia, a sprawcą był najprawdopodobniej pisarz imieniem Jack, o twarzy opalonej tropikalnym słońcem i wątrobie na wy-lot przeżartej alkoholem, którego młodzi ludzie w procesie transformacji między bitnikami i hippisami wielbili jak boga. Mówił Shaunice o wolnej miłości i porównywał ją do bogiń o nieznanych imionach i wielkiej mocy, a któregoś razu dał jej do żucia włóknisty kawałek rośliny i poczuła, jak odrywa się od ziemi, a zamiast ramion ma dwa zielone skrzydła, opalizujące jak pawi ogon. Wyfrunęła więc z Białego Konia, poszybowała nad dachami Village, śmignęła nad rzeką Hudson i wylądowała na materacu w Soho, gdzie pierwsi artyści zaczynali zajmować opuszczone budynki fabryczek. To był pierwszy i ostatni lot pięknej Shauniki Jackson z Bed-Stuy, która wkrótce osiadła na ziemi i miała już tam pozostać.

W ciąży zaczęła tyć, obżerała się orzechowymi ciasteczkami i aromatyzowaną watą cukrową, którą podjadała w sklepi-ku, nawijając na palec lepkie pasma słodyczy. Tycie sprawiało Shaunice przyjemność, jakby fakt, iż jej bezużyteczna wyjątkowość zaciera się i znika, a ona upodabnia się do kobiet z sąsiedztwa, utwierdzał ją w jakimś tajemniczym postanowieniu. W tym czasie



Shaunika zaczęła spotykać się z Demarco, chłopakiem z tej samej ulicy, który gotów był związać się z nią, choćby ciężarną z innym i utytą, nawet jeśli własny ojciec z tego powodu wyzywał go od pedałów i bab, co było straszną obelgą, i pod tym względem Bed-Stuy nie różnił się wcale od innych części Nowego Jorku i świata. Shaunika podobała się Demarco od momentu, gdy któregoś upalnego lata, krótko po zakończeniu roku szkolnego, zobaczył ją na huśtawce na szkolnym boisku. Z rozpalonego nieba spadła burza, jakby ktoś przeciął je nożem, a ona nie przestawała się huśtać; w rozpryskach wody rozpalaly się małe tęcze. Shaunika zrzuciła białe lakierowane buciki i jej bosc stopy o różowym podbiciu wydały się Demarco najpiękniejszym widokiem w życiu. Gdy ciężarna Shaunika wróciła na Bed-Stuy, Demarco chodził z Dedrą, chmurną dziewczyną o pięknych pierśsiach i zdecydowanym charakterze. Dedra przewodziła gangowi podobnie mrocznych dziewczyn, spędzających czas na przerabianiu słusznego gniewu na drobną i bezsensowną przemoc wobec słabszych oraz nienawiść wobec obcych, których wybierały mało oryginalnie, ale za to zgodnie z lokalną tradycją. Nienawidziły więc białych, szczególnie Żydów, którzy mieli w Bed-Stuy sklepy, nienawidziły nauczycieli, szczególnie białych nauczycielek, które najczęściej były Żydówkami, i białych policjantów, a szczególnie Irlandczyków, nienawidziły rządu, o którym mało wiedziały, i kobiet, które zabierają innym kobietom mężczyzn, a te znają z własnego doświadczenia lub opowieści przyjaciółek. Demarco porzucił Dedrę bez żalu i finezji, nie biorąc sobie specjalnie do serca przysięgi zemsty, jaką mu złożyła zaraz po tym, jak dostał

od niej pięścią w nos. Od tej pory można go było zobaczyć przed domem La-Teeshy i Shauniki niemal zawsze, stał, palił papierosy, czyścił paznokcie końcem szczyrorka i z wprawą pluł na gołębie. Odprowadzał Shaunikę do sklepu, w którym pracowała, i czekał, gdy kończyła pracę, by z taką samą gorliwością towarzyszyć jej w krótkiej drodze do domu. Demarco przypominał La-Teeshy starego mopa, którym zmywała podłogę w biurach i toaletach Empire State Building, bo na końcu sylwetki chudej jak patyk wyrastał wiecheć dziwnych włosów, prawie prostych, sztywnych i gęstych, o kolorze smaru. Shaunika traktowała go z niedbałą obojętnością, pozwalała zabierać się na spacer, do wesołego miasteczka, na lody, do łóżka, w którym okazał się o wiele użyteczniejszy od pisarza imieniem Jack, choć nie miał równie ciekawych opowieści i nie porównywał jej do bogiń o pięknych imionach. La-Teesha nie miała najlepszego zdania o Demarco, ale przyjęła go z praktyczną otwartością kobiety, która całe życie musiała przebierać w rzeczach drugiego gatunku. Demarco deklarował chęć pomocy, a nawet ożenku z Shauniką, wspominając, iż jedno i drugie będzie możliwe, gdy tylko wypali wspaniały interes, który ma na oku; gdy interes okazywał się niewypałem, jego oko szybko namierzało kolejny. La-Teesha częstowała go więc smażonym ryżem i pieczonymi kurczakami przy niedzieli, mając nadzieję, że prędzej czy później interes uda się, a Demarco nie skończy przy tym w więzieniu. Latem 1964 roku Shaunika była gotowa do wydania na świat dziecka, dla którego nie bez trudu skompletowały z matką wyprawkę, kupując w sklepie Icka Kaca wiklinowy kosz, parę kompletów pieluch i nowe zasłonki. Ten



jeden raz La-Teeshy udało się uchronić przez Johnnym Torbą Pełną Niespodzianek skromne oszczędności, ale i tak, znikając po raz kolejny, podwędził im nowe żelazko i – to już szczyt wszystkiego – butelkę płynu do prostowania włosów.

Z tego, co zauważyła La-Teesha, żaden czas nie był dla Murzynki dobry na rodzenie dzieci, ale myślała sobie, że jakoś to będzie, bo zawsze jakoś było, mimo iż bieda na Bed-Stuy rosła, nie pamiętała dnia bez strzelaniny, a w okolicy rzadko która matka nie straciła syna albo córki z powodu narkotyków. Pojawiały się ich straszne nowe odmiany, sprawiające, że krew zamieniała się w palący kwas, a kości miękły i gniły, zanim przychodziła śmierć, człowiek robił się w środku pusty jak wyjedzona skórka od kielbasy. Którejś bezsennej nocy La-Teesha usłyszała brzęk szkła i pobiegła do kuchni, gdzie zobaczyła najpierw błysk noża, a potem chwiejącego się na nogach potężnego mężczyznę, który nim wymachiwał i zażądał pieniędzy. Panią Jackson, która nie mogła spać właśnie z powodu ich braku, tak niestosowność tego żądania oburzyła, że zaatakowała dwa razy większego od siebie intruza patelnią z resztkami fasoli i ryżu. Ooh, Bed-Stuy, westchnęła, gdy padł nieprzytomny na podłogę. Biali policjanci używali broni w czarnych dzielnicach, nawet wówczas gdy przestępca nie stawiał oporu, a często nie mieli żadnej pewności co do tego, że w ogóle popełnił jakieś wykroczenie. Po zmroku strach było wychodzić z domu. Gdy w połowie lipca biały policjant, Irlandczyk, zastrzelił w Yorkville piętnastoletniego czarnego ucznia Jamesa Powella, zamieszki najpierw ogarnęły Harlem, ale wkrótce dotarły na Bed-Stuy. Przekazywano

sobie z ust do ust historię, która karmiła się gniewem i narastała jak sękacz. Podobno bawiących się pod szkołą chłopców policjant zaatakował bez żadnej prowokacji z ich strony: trzy strzały trafiły chłopca w serce, brzuch i oko. Trzy strzały! Strzelaj, zabij jeszcze jednego czarnucha, krzyczała jakaś dziewczyna i wkrótce był ich tłum, rzucali butelki, rwali chodnikowe płyty, gniew emanował z ich ciał i jak ciemna chmura gromadził się nad miastem. Narobiło się, westchnęła La-Teesha i zakopała w ogródku puszkę z kilkoma najcenniejszymi rzeczami, tak na wszelki wypadek. Cegły wpadały przez wybite okna do domów, których mieszkańcy siedzieli pod stołami albo w szafach, płonęły samochody, a sklepy były demolowane i okradane, zwłaszcza jeśli należały do Żydów, bo irlandzkich sklepów nie było pod ręką. Bunt w lipcu 1964 na Bed-Stuy był cichy, ta cisza przerywana strzałami, tupotem nóg, krzykiem, który milkł jak ucięty – to zapamiętała La-Teesha, straszną ciszę, która była pomiędzy.

Shaunika nie powinna była tego wieczoru wychodzić i zupełnie nie wiadomo, co ją podkusiło; ktoś ją wywabił, tego La-Teesha była pewna. Ubrana w czerwoną sukienkę, bez torebki, bez pieniędzy, poleciała. Tylko na chwilę, przejdę przez podwórza, kto by ruszył kobietę w ciąży. Gdy nie wróciła po godzinie, matka zaczęła się niepokoić, a kiedy Demarco, zdyszany i z zakrwawionym czołem, zastukał w okno kuchenne i zapytał, gdzie Shaunika? wpadła w histerię. Szukali jej przez kilka godzin wzdłuż Nostrand Avenue i w bocznych ulicach, w parku i u wszystkich znajomych, wołali Shaunika! i dawali się zwieść, gdy w ciemności jakaś postać wydała się do niej podobna. Nad ranem stracili czujność i wtedy



wpadli na młodego białego policjanta, który krzyknął, by się zatrzymali i podnieśli ręce, byli o nie więcej niż dziesięć kroków od niego i w końcu mógłby się wykazać na służbie w dzielnicy, którą traktowano w nowojorskiej policji jak zesłanie. Zatrzymać się i podnieść ręce, to komenda, na którą Demarco miał reakcję we krwi, podobnie jak wszyscy, którzy wiedzą, że są uznani za winnych, zanim im się cokolwiek udowodni, a udowodni im się, gdy się zatrzymają i podniosą ręce; krzyknął więc do La-Teeshy, uciekaj, mamuśka! Ruszyli ulicą wzdłuż domów z brązowej cegły, pod ciemnymi oknami, potem przez podwórza i małe ogródki, w których suszyła się bielizna, wśród komórek pełnych nie wiadomo czego i psich bud. La-Teesha wiedziała, że dłużej nie jest w stanie biec; wtedy padł pierwszy strzał i zmobilizowała się do dalszego wysiłku. Mimo iż była silną kobietą i potrafiła tak wyżyć pościel w rękach, że nie zostawała ani kropla wilgoci, to stanowczo nie stworzono jej do biegu; biegła z nogami złączonymi w kolanach, kołysząc się z boku na bok i podtrzymując biust. Chciała powiedzieć Demarco, by uciekał bez niej, już ona sobie jakoś poradzi, ale nie mogła wydusić ani słowa; znów padł strzał i pocisk przeleciał tuż koło policzka La-Teeshy w parzącym podmuchu powietrza, potknęła się i wtedy zobaczyła, że wejście na zaplecze American Values jest uchylone, a Icek Kac daje im znak. Wchodźcie! Drzwi zatrzasnęły się w porę, zgrzyt zasuw, usłyszeli, jak tuż obok przebiega pościg i milknie w oddali.

W pozbawionym okien magazynie paliła się jedna mrugająca świetlówka, której blask padał na naręcza sztucznych kwiatów, stopy plastikowych owoców, pan-

demonium lalek o lśniących oczkach i blond włosach, którymi lubiły bawić się dziewczynki z Bed-Stuy. Ściany kanciapy, która służyła jako magazyn, ale najwidoczniej była też pokojem, bo stała tu kanapa, krzesło i stolik, obklejone były zdjęciami, jedno przy drugim, setki zdjęć, jedno przy drugim od podłogi do sufitu. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa, aż Icek powiedział, rozgośćcie się, sąsiedzi; La-Teesha wtedy po raz pierwszy przyjrzała się jego twarzy w kolorze papieru do pakowania i smutnym brązowym oczom, pomyślała, że pamiętała go zupełnie innego, podobnego do Żydów z karykatur, w czarnych chalatach, z wielkimi nosami. Nocni goście usiedli na kanapie, a Icek zaparzył na gazowym palniku kawę mocną jak smoła; La-Teesha piła ją małymi łyżkami, czując, jak płyn rozjaśnia jej myśli i pamięć, a Demarco, od zawsze cierpiący na niemożność skupienia uwagi na czymkolwiek dłużej niż przez chwilę, co było przyczyną jego szkolnej udręki i nieudanych interesów, po pierwszej filiżance zasnął z głową opuszczoną między kolana podwiniętych nóg. Icek Kac był jedyną osobą, która wtedy mówiła, w tę noc przemocy chciał opowiedzieć inną historię, jakby historia jego ocalenia mogła przeważać na dobrą stronę szalę tego złego, co działo się właśnie na ulicach Bed-Stuy.

W Kamieńsku, mówił Icek Kac, najważniejsza była ulica Prosta, wybrukowana kocimi łbami; wzdłuż stały parterowe domy w dwóch szeregach, ciasno przylegając do siebie ramionami, z tyłu były ogródki warzywne. Ani La-Teesha, ani Demarco nigdy przedtem nie słyszeli o miasteczku Kamieńsk, gdzie rodzice Icka Kaca, Herszel i Golde, mieli sklep żelazny. Naprzeciwno była cukier-



nia Mateusza Suligi, który uczył go boks na szkolnym boisku i zawsze miał umięcone włosy; takich rogalików z różą, takich napoleonek nigdzie potem Icek nie jadł, jak w tej małej cukierni w Kamieńsku. Po lewej stronie cukierni, mówił Kac, był zakład fotograficzny Ludka Borowica i jako mały chłopiec często stawał przed witryną, patrząc na wystawione zdjęcia ślubne, ze chrztu, z bar micwy, zrobione na okoliczność podarowania ukochanemu, ukochanej, wysłania za granicę do narzeczonego, narzeczonej, na zwykłe zdjęcia legitymacyjne. Icek nie wiedział, czemu doznawał przed wystawą fotografa Ludka Borowica uczucia takiego smutku, że nie mógł powstrzymać łez, jakby z wizerunków mieszkańców Kamieńska, Kocierzowej i Gorzkowic sączyła się jakaś straszna wiedza, której nie potrafił ująć w słowa albo na którą słów nie było. Małego Icka Kaca przerażała nieruchomość zdjęć, mających w intencji fotografowanych zatrzymywać życie, a jedynym sposobem na to jest unieruchomienie, a więc śmierć. Tak wtedy myślał. Stał tam i patrzył na bezruch i trwanie twarzy poważnych, ułożonych w wymuszony uśmiech, na uróżowane usta kobiet, dłonie mężczyzn oparte na poręczach foteli, ozdobnych główkach lasek, na dzieci w białych becikach, w zbyt poważnych odświętnych ubrankach, o oczach lśniących jak szklane kulki, i wydawało mu się niemożliwe, że po takim znieruchomieniu mogło nadal toczyć się życie – że zetkną się wargi oddalone w uśmiechu, opadnie na czoło odgarnięty lok, dłonie uderzą w kolana, że, uch, nareszcie koniec tego pozowania, zwiędną kwiaty uwiecznione w kryształowym wazonie, a Ciocie Herbatki i ich Grażynka, najpiękniejsza dziewczynka w miasteczku Ka-

mieńsk, wstaną z huśtawki i powiedzą, dziękuję bardzo, panie Ludku, za zdjęcie, do widzenia. Icek Kac pamięta dobrze kolejność fotografii w witrynie ostatniej jesieni, jaką spędził w Kamieńsku; od lewej stało zdjęcie Marka Słowika z krową, zwyciężczynią konkursu rolniczego, potem ślubne Mateusza Suligi z Beatą Suligą z domu Kopeć, obok zaraz Fabrykant Antoni Mopsiński z małżonką Józefiną o nieobecnym wyrazie twarzy, z synem Napciem w marynarskim ubranku, następnie Aurelia Borowiecka, nauczycielka muzyki w otoczeniu swoich kilkunastu uczniów polskich i żydowskich, dróżnik Barnaba Midziak bez zbędnych upiększeń zdjęty do dokumentu, Franciszka Pyłek podobnie, i dalej Ciocie Herbatki z Grażynką na ławce-huśtawce, sama Grażynka, najpiękniejsza dziewczynka, jaką w życiu widział, ale to już chyba mówił, raz nawet się pobił o nią z Napciem Mopsińskim; a więc Grażynka w sukience tak białej i puchatej jak beza, a w końcu cała rodzina Kac oprócz niego, Icka Kaca, syna trzeciego z kolei, bo celowo zapodział się tego dnia, gdy jego rodzina zrobiła sobie zdjęcie, pierwsze i ostatnie w zakładzie Ludka Borowica. Gdy patrzył na fotografię swojej rodziny, uczucie osamotnienia, które czuł zawsze, potęgowało się, bo miał przed oczami namacalny dowód, że oni wszyscy są tam, a on tu. Fakt, iż Icek był dzieckiem środkowym, sprawiał, że łatwiej było mu ująć rodzicielskiej uwadze; dzięki temu częściej niż starsi bracia wywijał się od kary, ale niestety częściej omijały go też nagrody, których przydzielanie rodzice zaczynali od najmłodszej córki lub od najstarszego syna. Gdy Icek Kac stał przed witryną zakładu Ludka Borowica i patrzył na swoich bliskich, doznawał dziwnego uczucia, że ich



nieruchomy wizerunek jest prawdziwszy od rzeczywistości. Ojciec Icka, małowówny chudy mężczyzna o wielkich oczach, matka ze znamieniem w kształcie kwiatu wiśni na policzku, bracia i mała siostra z rączką wyciągniętą w kierunku obiektywu budzili w nim tęsknotę, jakiej nigdy przedtem nie zaznał i o której wiedział, że nigdy jej nie ukoł. Wystarczyło odwrócić się, przebiec ulicę Proszą i zobaczyć żywego ojca za ladą sklepu żelaznego, żywą matkę siekającą wątróbkę tak szybkimi ruchami, że zacierał się kształt dłoni i tylko ostrze noża lśniło w kuchni, po której w poszukiwaniu czegoś słodkiego kręcili się jego bracia i siostra. A jednak Icek stał przed rodzinną fotografią, na której go nie było, i opłakiwał rodzinę, choć miał ją dopiero utracić.

Gdy rodzinę Kac i wszystkie inne żydowskie rodziny wywieźli do getta w Radomsku, Icek był jednym z nielicznych, którym udało się uciec. Trzy tygodnie przesiedział w lesie na skraju bagien, gdzie co kilka dni jedzenie przynosił mu Mateusz Suliga. Znał ten las między Kleszczową a Gorzkowicami jak własną kieszeń, wiklinowe zarośla, olszyny i wysoką trawę poprzerastaną nitkami wody, wiedział, że najlepszy pies traci tu ślad, a po zmierzchu zapalają się ogniki umarłych. Bez strachu zapuszczały się tu tylko Cioce Herbatki. Jednak teraz las był inny i Icek zdawał sobie sprawę, że jego los zależy od czegoś o wiele potężniejszego niż on sam. Spał w dzień, a nocą leżał w trawie i czuł, jakby las był wielkim dobrym zwierzęciem o wilgotnej sierści; wtulał w nią twarz i mocno wciągał powietrze, przylegał całym ciałem do podłoża, jakby chciał w nie wnikać. Nie myślał o rodzicach, braciach i siostrze takich, jakimi ich

widział ostatni raz, matkę ze znamieniem w kształcie kwiatu wiśni, siostrę z ustami ułożonymi w podkówkę jak zawsze, gdy próbowała pokazać, że jest już duża, i powstrzymać płacz, ojca, który szepnął, uciekaj, synku. Żadne siedmioro, sześcioro dzieci ma, przysięgała matka Kac, a na dowód pomyłki pokazała to samo zdjęcie, które stało w witrynie zakładu, proszę bardzo, fotografia nie kłamie, oto jej pięciu synów i córka, oto ona i jej mąż oraz walizka spakowana jak należy. Ukryty w lesie Icek Kac myślał o fotografiach w witrynie zakładu Ludka Borowica, powoli przypominał sobie każdą bliską osobę, w co była ubrana, jak trzymała dłonie, jak światło padało na jej twarz, uwieczniając uśmiech lub brak uśmiechu, a gdy doszedł do końca, zaczynał jeszcze raz, aż słońce wschodziło nad bagnami i budziło go do życia. Icek Kac nigdy więcej nie zobaczył ani rodziców, ani rodzeństwa; wszyscy zginęli w Treblince, gdzie wywożono Żydów z getta w Radomsku.

Być może fakt, iż Icek był środkowy, sprawił, że niebudzące wątpliwości cechy semickie rodziców i rodzeństwa w nim były rozmyte, wyrosnięty ponad swój wiek chłopiec o odstających uszach, włosach ani ciemnych, ani jasnych i oczach w kolorze suchych sosnowych szyszek nie miał złego wyglądu w tych czasach, gdy wygląd znaczył śmierć lub życie. Mateusz Suliga wywiózł go do Częstochowy, gdzie w sierocińcu prowadzonym przez Siostry Adoratorki Krwi Chrystusa Icek został pomocnikiem ogrodnika i razem z ubraniem roboczym i starą czapką z daszkiem otrzymał imię Jaś; tam po raz kolejny spotkał Grażynkę. Grażynka, powiedział Icek Kac, ale La-Teesha nie znała takiego imienia, więc przeliterował



Grażynkę powoli, z namaszczeniem i nawet Demarco obudził się na chwilę, czując, że dzieje się coś ważnego, gdy La-Teesha szturchnęła go w bok. Grażynka, powtórzyła La-Teesha, najlepiej jak umiała, Grażynka, powtórzył za nią raz jeszcze zaspany Demarco, bo czuli, że tak należy się zachować w tę dziwną noc i że wypowiedzenie tego imienia jest wszystkim, czego Icek Kac, właściciel sklepu American Values, od nich oczekuje w zamian za schronienie. Grażynka mówiła, że ma dwanaście lat, opowiadał dalej Icek Kac, ale wyglądała na więcej. Przychodziła do ogrodu sierocińca i zrywała truskawki, jesienne truskawki, małe i prawie czarne, najśłodsze; miała szarą sukienkę jak inne dziewczynki, choć dla niego inne dziewczynki nie istniały, i słomiany kapelusik z niebieską wstążką w groszki, patrzyła na niego spod wystrzępionego ronda i wkładała truskawki do ust. Icek był gotów zrobić dla niej wszystko. Gdy siostra Bernadeta złapała ich w szopie na narzędzia, Icek musiał odejść z sierocińca Sióstr Adoratorek Krwi Chrystusa, bo przyjęto go tam do pracy, a więc jako dorosłego, a nie dziecko. Grażynka na pożegnanie dała mu prezent, wybiegła za nim na ulicę, chociaż furtianka Genowefa darła się jak stare prześcieradło, rany boskie, wracaj, cholero! Powiedziała, żeby sprzedał, zamienił na jedzenie, zrobił, co zechce, z nocnikiem Napoleona, jemu bardziej się przyda, bo rusza w drogę, a po nią niedługo przyjadą Ciocie Herbatki, jest tego całkowicie pewna, podobnie jak nie wątpi, że obojętny będzie im los nocnika. Icek Kac patrzył na Grażynkę i starał się zapamiętać złotą skórę, piegi na nosie, szarą sukienkę, ale kręciło mu się w głowie i obraz przed oczami zamazywał się jak wi-

dziany przez spływającą deszczem szybę. Nie płacz, powiedziała Grażynka, nigdy cię nie zapomnę, zawsze cię będę kochała, i były to dokładnie te słowa, które pragnął usłyszeć. Odnajdę cię, chciał obiecać Grażynce, ale nie trzeba było takich obietnic, bo Icek Kac, sierota z Kamieńska, miał wprawę w traceniu tego, co kochał, i z jakiegoś powodu wiedział, że nigdy już nie zobaczy Grażynki, chociaż będzie jej szukał bez wytchnienia.

Może dlatego udało mu się przeżyć i gdy skończyła się wojna, pojechał do Kamieńska, jednak Napoleonówka stała pusta, powiedziano mu, że Ciocie Herbatki wróciły, ale niedługo po powrocie utonęły, chociaż niektórzy w barze Kurka utrzymywali, że nie utonęły, a zamieniły się w syreny i popłynęły Kamionką do morza. Grażynka znikła parę dni po Ciociach Herbatkach i nigdy nie wróciła, co do tego nie było wątpliwości, jedni mówili, że wyjechała do Piotrkowa Trybunalskiego albo do Warszawy, inni, że jaki tam Piotrków, jaka tam Warszawa, do Ameryki, do samiuskiego Nowego Jorku poleciała z jednym takim z Radomska, co się na wojnie dorobił. Na to Marianna Gwóźdź, księża gospodyni, wybuchła, a z jakim tam z Radomska, nie wie, a gada, z żadnym z Radomska, z Fryzjerem uciekła, z Tadeuszem Krukiem, co to znikł jak kamfora w tym samym czasie; Icek w tę ostatnią hipotezę nie uwierzył. Pojechał do Warszawy i Piotrkowa, do Gdańska i Białegostoku, Wrocławia, Szczecina i Wałbrzycha, wybierał duże miasta, bo w sierocińcu Grażynka mówiła mu, że chciałaby w takim mieszkać, a po drodze wysiadał w mniejszych, był w Koluszkach, Legnicy, Skierśniewicach, Grudziądzu, Szczawnie Zdroju, bo przecież nie zawsze trafia się tam, gdzie by się chciało; Icek Kac



szukał Grażynki we wszystkich miejscach, które podpowiadało mu jego biedne serce. Nie pozbył się nocnika Napoleona, nie spieniężył ani nie zamienił, bo ten przedmiot stał się rekwizytem pozwalającym Ickowi przekładać swoje pragnienie na opowieść zrozumiałą dla innych. Szukał jednej kobiety, mówił, ocaliła mi życie, muszę jej podziękować i oddać cenną rodzinną pamiątkę, nocnik Napoleona, który dla niej przechowałem.

Swoje poszukiwania Icek Kac zawsze zaczynał od witryn fotografów, bo pamiętał, jak bardzo Grażynka lubiła robić sobie zdjęcia, i nieraz zdawało mu się, że ją rozpoznaje. To ona, Grażynka, była zdjętą do legitymacji elegantką w zakładzie, który ocalał w morzu ruin na warszawskiej Woli, ona była w Koluszkach roześmianą młodą matką o wysokiej fryzurze trzymającą niemowlę, to nie szkodzi, że ma dziecko, pomyślał Icek; amazonką była Grażynka w Białymstoku, ze szpicrutą na karym koniu, coś takiego, nauczyła się jeździć konno, westchnął z podziwem; drubną była Grażynka na czyimś ślubie w Piotrkowie Trybunalskim, w eleganckim białym kapeluszu ozdobionym kwiatami i sukience z dekoltem jak śmietanka; jedną z sześciu kobiet na pikniku była i przysięgłby Icek, że owoc, który trzymała w dłoni i już, już miała zjeść, to jesienna truskawka; to ona, Grażynka, tańczyła na zdjęciu z festynu w Skierniewicach i dansingu w Legnicy, ona w sukience w groszki i słonecznych okularach śmiała się połową twarzy, bo druga połowa została niedoświetlona; ona mogłaby być tą mniejszą, przeciętą strugą światła postacią na tle stawu z niewyraźnej fotografii, którą dostał od młodzieńczego fotografa w Szczawnie Zdroju; i ona, z całą pewnością ona,

obejmowała ramieniem jakąś starszą panią o wyglądzie jaszczurki na fotografii w Wałbrzychu – ale nikt nigdzie nie potrafił naprowadzić Icka na właściwy trop. Po jakimś czasie Icek zauważył, że obraz dziewczynki jedzącej truskawki w ogrodzie sierocińca zataił się w jego pamięci, podobnie jak zataił się obraz zamordowanych w obozie rodziców i rodzeństwa; nałożyły się nań wszystkie zdjęcia, które widział we wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie szukał Grażynki Rozpuch, od Wałbrzycha po Nowy Jork.

Fotografie stały się dla niego tak samo niezbędne jak wspomnienie i zaczął zbierać je z obsesyjnym przymusem. Oto one, Icek Kac pokazał na ściany, na każdym zdjęciu jest coś, co w jego pamięci wiąże się z Grażynką i wszystkim, co utracił; czasem są to kobiety w różnym wieku, które mogłyby być Grażynką w kolejnych fazach życia, czasem słomkowe kapelusze, jakie nosiła w sierocińcu, czasem tylko szczególny sposób, w jaki cień padał na jej twarz; ma całą kolekcję takich cieni. W ten sposób może wierzyć, że przeszłość była i nadal trwa, a on tylko dzięki przeszłości żyje; jej obecność czuje też w muzeum, czy La-Teesha widziała na przykład mumie w Met? Nie? To musi koniecznie zobaczyć, gdy patrzy się na mumie wystarczająco długo, można uwierzyć, że kiedyś w jej miejscu było życie, pulsowała krew, powiedział Icek Kac, a La-Teesha zadrżała. Mumie! Ci Żydzi, pomyślała, mają jednak dziwne pomysły, choć zdarzają się wśród nich przyzwoici ludzie. Zapadła cisza, w której słychać było tylko pochrapywania Demarco, a La-Teesha patrzyła na zdjęcia, prawdziwe fotografie o rowkowanych brzegach i te wycięte z gazet, na zupełnie do siebie niepodobne



kobiety, truskawki, kapelusze, pociągi, ulice, cienie. I co, zapytała La-Teesha, twoja Grażynka rzeczywiście przepadła na zawsze? Ja przepadłem, odpowiedział Icek Kac i uśmiechnął się do niej.

Słońce wstało tego dnia wielkie i czyste, jakby wykąpane w oceanie, i ludzie z Bed-Stuy przecierali oczy, zastanawiając się, jak to możliwe, jeszcze parę godzin temu mieli wrażenie, że nastąpił koniec świata, a tu proszę, taka pogoda, wiatr szeleści w liściach drzew. Wprost nie do wiary i można by nie uwierzyć, gdyby na ulicach nie leżało szkło, gdyby wciąż nie czuło się dymu i palonej gumy. La-Teesha była dobrej myśli, gdy wracała do domu; sklep na rogu ich przecznicy był już otwarty, kupiła więc paczkę tostów, masło orzechowe i słoik winogronowej galaretki w promocyjnej cenie. Myślała, że opowie o wszystkim Shaunice, razem zastanowią się, jak się odwdziżyć Ickowi Kacowi, może placek z orzechami nerkowca mu upieką, ale przedtem najchętniej przyłapałyby córcę za te nerwy. Gdy zobaczyła czekających pod drzwiami policjantów i gdy zapytali, czy pani jest matką Shauniki Jackson? nie straciła jeszcze nadziei. Nie straciła jej do końca nawet wówczas, gdy powiedzieli, że w parku przy Nostrand Avenue znaleziono czarną dziewczynę lat około osiemnastu, była w ciąży, ubrana w czerwoną sukienkę, włosy krótkie, kręcone. Nie żyje? Jeszcze w policyjnym samochodzie łudziła się La-Teesha, że to pomyłka, źle rozpoznali; wiele ciężarnych nastolatek na Bed-Stuy, wiele czerwonych sukienek. W pośpiechu, w złym świetle łatwo powiedzieć, to Shaunika Jackson, a potem się świeci oczami, że jednak nie, to zupełnie obca dziewczyna. Kostnica na Bed-Stuy; tu panował ko-

cielny chłód i pachniało trochę jak w sklepie Icka Kaca, chemią i czymś, co już zaczęło się psuć mimo zimna; czy jest gotowa zidentyfikować ciało? Jak można rozpoznać ciało, jeśli znało się tylko osobę żywą, z różowymi paznokciami i ciepłą skórą, pod którą pulsowała krew. Zidentyfikować ciało? La-Teesha czuła, jak wzbiera w niej krzyk, ale nie wiedziała, że żaden nie będzie wystarczający na to, co ją czeka.

Twarz Shauniki pozostała nietknięta, ale jej brzuch został przecięty od pępka w dół tak, jakby ktoś rozkroił arbuz tępym nożem, brzegi skóry odstawały, były ciemnoczerwone. Zaschnięta krew, pod spodem żółtawa tkanka, pępek w kształcie strzałki wskazującej w dół; La-Teesha miała taki sam ślad po matce. Nożyczki, powiedział policjant, to były nożyczki, i jeszcze wtedy La-Teesha milczała. Patrzyła na brzuch swojego dziecka, który wczoraj był pełen życia, ciasno opięty skórą o kolorze i zapachu cynamonu. Dziecko, powiedział policjant, w środku nie było dziecka. Dziecko? W środku czego? zapytała La-Teesha, zrozumiała, i wtedy dopiero zaczęła krzyczeć.

IV

Do... d ścianą.  
obejmują... c. Zamyka  
oczy, ale... ielicy-paje-  
czycy; j... go mięsa,  
czarna v... w lustrze  
odbite w l... plonie i roz-



Pierwszą pracę po opuszczeniu domu Grażynki Dominika i Sara znalazły w małym zakładzie przetwórstwa owoców, Obst Paradise, Owocowy Raj, na peryferiach Frankfurtu nad Menem, gdzie mieszkaly w barakach podzielonych na męskie i kobiece, z Turczynkami, Senegalką, Białorusinką, Czeszką i Niemkami z Enerdowa, które resztę traktowały z góry, a same tak były traktowane przez Niemki miejscowe. Choć Niemki z Enerdowa miały wszystkie papiery w porządku, a język miejscowy, to pochodzenie zza złej strony muru sprawiało, że ciążyły ku tym, którzy mieli paszporty podejrzanego albo fałszywe. Jest różnica, czy pochodzi się z Hamburga, czy z Görlitz, meine Damen! Dla Niemek z Enerdowa, nieodróżnialnych na oko od Niemek miejscowych, wszyscy czarnoskórzy byli po prostu Czarni, niezależnie od tego, skąd pochodzili, bo skąd mogą pochodzić, jak nie z Afryki, która jest czarna i dzika; ci ze Wschodniej Europy mieszcili się łącznie z Dominiką w poręcznej kategorii Ruskich, było to i tak lepsze niż podkategoria Polaczków zarezerwowana dla trzech młodych pracowników ze Zgorzelca. Tylko Ruska z Czarną w parze stanowiły kombinację trudną do zakwalifikowania i nazwania, a nazywanie daje władzę, z której trudno zrezygnować nawet w Owocowym Raju, więc mówiono na nie Te Dwie Dzikie. Niemki miejscowe miały władzę nazywania i wyboru muzyki, która waliła na okragło; zestaw stereo z nagłośnieniem był dumą szefa Owocowego Raju i miał świadczyć o nowoczesnym podejściu do higieny pracy. Nie tylko o ciała dhał, lecz także o ducha, i zaspokajał wyższą potrzebę obcowania ze sztuką, dlatego pracownicy Owocowego Raju mogli sobie słuchać przez osiem godzin niemieckich

szlagierów, umpa-umpapa. Szef Wątroba, czyli Leber Führer, jak nazywały go cudzoziemki, naprawdę nazywał się Klaus Leber, nie jego to wina, i osobiście bardzo nie lubił dyskusji o winie, czy to w telewizji, czy przy piwie, bo czuł się niewinny, taka była jego natura. Był mężczyzną postawnym, gwałtownym i jednookim. Drugie oko Leber Führer stracił w bójce w młodości, ale zawsze mówił, że tym, które mu zostało, widzi lepiej niż inni dwoma.

Dominika i Sara pracowały w Owocowym Raju na nocy, bo to opłacało się najlepiej; do wyboru niewykwalifikowane kobiety miały sortowanie owoców, składanie kartonów i aufkleben – nalepianie nań nalepek z napisem Dżem Owocowy Raj albo Konfitura Wykwintna Owocowy Raj, oraz specjalnie premiiowaną, bo najcięższą, pracę przy maszynie do mycia słoików na dżemy i konfitury. Na urządzenie mówiono Waschmaschine, dostosowując to niemieckie słowo do własnego języka, który zmiękczał je i spłaszczał lub kawałkował na twarde grudki, wyglądał, by przypominał wyssaną landrynkę, albo przeciwnie, wyostrzał tak, że stawało się trudne do przelknięcia i wbijało się w gardło jak ość. Wśród niewykwalifikowanych robotnic było oprócz Dominiki, Sary, Turczynek, Senegalki, Białorusinki i Czeszki, dwóch opóźnionych umysłowo niemieckich młodzieńców, Mark i Matze, którzy poprzez to pożyteczne zajęcie mieli zostać włączeni do społeczeństwa, ale uznano, że na początek nadają się co najwyżej do tego, by dołączyć do społeczności kobiet. Mężczyźni też byli w Owocowym Raju, ale przeznaczeni zostali do poważniejszych prac, wymagających siły mięśni, i obsługiwali wózki widłowe, rozładowywali towar lub byli kierownikami, a wtedy



krzyczeli, schneller; mężczyznę najważniejszym był Leber Führer. Tej zarazie nic nie umknie, skarżyły się kobiety, gapi się tą jedną gałą, aż ciarki chodzą, w dupie też chyba ma oczy, narzekały i chodziła plotka, że Leber Führer w łaźni kazał zamontować ukryte kamery. Oprócz zajmowania się swoją pracą zatrudnione w Owocowym Raju musiały uważać, by Mark lub Matze nie włożyli ręki do rozdrabniacza lub nie wpadli do kotła z wrzącą truskawkową mazią, raz że nieszczęście, a dwa, marnacja owoców. Dodatkowy problem wynikał z tego, że Mark i Matze chętnie wkładali ręce pod fartuchy kobiet, które darły się bardziej z zaskoczenia niż strachu, bo w huku maszyn łatwo było chłopakom zakraść się, nie budząc podejrzeń. Gdy któraś nagle wrzeszczała i przeklinała w swoim języku, wiadomo było, że Mark lub Matze, albo obaj naraz, podeszli ją przy robocie, i reszta śmiała się, cóż było robić. Dominika i Sara pracowały najczęściej przy Waschmaschine, bo potrzebowały pieniędzy na dalszą drogę, a pracę w obłokach gorącej pary znosiły lepiej niż reszta, żartując, że mają tu saunę za darmo, co za luksus, prawdziwy owocowy raj: sauna i maseczki z truskawkowej mazi bez ograniczeń. Tymczasem nawet Senegalka mówiła, że dla niej Waschmaschine to piekło, u niej w Senegal w środku lata nie było tak gorąco, zresztą choćby i było, to lepszy, piękniejszy byłby ten upał, złoty, pachnący, baobabowy. Może delikatność Senegalki wynikała z faktu, iż w swojej ojczyźnie uczyła się przez chwilę we francuskiej szkole dla dziewcząt i segregując truskawki w Owocowym Raju, przeplatała opowieści w łamanej niemczyźnie słówkami o wykwinnym brzmieniu i zapachu. Adorable! Délicieux! Génial!

Formidable! Merveilleux! wzdychała Senegalka i najchętniej opowiadała o baobabach z Senegalu, do których wszystkie te określenia pasowały jej zdaniem jak ulał. Baobaby, cóż to były za drzewa, pod ich korą przypominającą skórę słonia krył się mięszk nasiąknięty sokiem jak gąbka. W największym upale nie umierało się z pragnienia, gdy były baobaby. Wystarczyło naciąć korę i włożyć rękę do środka, by wydobyć garść białutkiego miąższu i wyciskać wprost do ust, nic nie smakowało lepiej, ani piwo niemieckie, ani fanta, ani nawet coca-cola. Gdy zepsuł się silnik łodzi, którą wraz z piętnastoma innymi osobami Senegalka próbowała dostać się z Senegalu na Wyspy Kanaryjskie, bo Wyspy Kanaryjskie to była Hiszpania, a Hiszpania to była Europa, a Europa to jedzenie i praca, myślała właśnie o baobabach, i uważa, że dzięki temu udało jej się przetrwać dziesięć dni bez jedzenia i picia. Bo takie właśnie są baobaby: Adorable! Délicieux! Génial! Formidable! Merveilleux! Senegalka miała zapewne imię, ale w Owocowym Raju nazywano ją Baobab, bo to drzewo, baobab, cóż za brzmienie dzikie, wystawało korzeniami do góry z jej opowieści o ojczyźnie, której nazwa reszcie z niczym się nie kojarzyła. Baobab wsiadła na starą łódź nie tylko dlatego, że głodne matki i córki z jej wioski, których od dawna nie stać było na ryby, zbierały rybne odpadki, głowy, ości, wnętrzności. Ocean kiedyś oznaczał nadzieję, kobiety czekały na pirogi, które wracały pełne srebrnych i karmazynowych ryb, pysznych ośmiornic o fioletowym odcieniu, teraz wszystkie złowione ryby odpływały do Japonii, Francji, Hiszpanii. Pirogi przegrywały z wielkimi statkami, leżały nieużywane na brzegu jak zdycha-



jące mieczniki, wokół nich kozy włóczyły się po plaży w poszukiwaniu jedzenia. Mężczyźni porzucali sieci, spotykali się w swoim gronie, omawiali plan, sprzedawali, co się da, albo zapożyczali się u całej rodziny i któregoś nocy znikali. Niektórzy żegnali się, obiecywali, dam znać zaraz, jak dotrzemy na miejsce, jak się urządzę, ściągnę was do siebie, nic się nie bójcie, zarobię i wrócę, do końca życia będziemy urzędzeni. Mąż Baobab, Madou, nie pożegnał się, bo wiedział, że nie pozwoliłaby mu odpłynąć bez niej; czekała, licząc godziny do momentu, w którym przy sprzyjających okolicznościach jego łódź dotarłaby do wybrzeży Wysp Kanaryjskich, a potem doliczała dni, które były mu potrzebne na znalezienie pracy, wyrobienie dokumentów i wynajęcie mieszkania. Jednak Baobab czekała na darmo, bo z łodzi, na której odpłynął jej mąż, nikt nigdy nie dał znaku życia. Chodziła do marabutów, prosząc o radę, a poważni mężczyźni z brodami kiwali głowami, wywracali oczami i radzili, by była cierpliwa. Jej cierpliwość wyczerpała się po dwóch latach i Baobab sama wsiadła na łódź, która kiedyś służyła do połowu ryb, a teraz cwani przewoźnicy przerobili ją na łódź śmierci z czkającym silnikiem; nocą odbili od wybrzeży wioski, a po kilku godzinach silnik czknął ostatni raz i zgasł. Zanim tuż przy brzegu Teneryfy wylowił ich z morza prywatny jacht, zmarła połowa z siedemnastu osób; kolejno wrzucali ich zwłoki do wody, ale ostatnich dwóch trupów nikt nie miał siły dźwignąć za burtę. Baobab myślała wtedy o baobabach, ich miąższu ociekającym sokiem, jakby zaklęta w nim była tylko życiodajna moc palącego teraz słońca; wystarczy sięgnąć dłonią do wnętrza drzewa miękkiego jak ciało, podnieść

pełną garść do ust. Najpierw napije się sama, jest taka spragniona, a druga garść będzie dla jej męża, tak myślała Baobab, gdy leżała na dnie łodzi. Gdy umierała z pragnienia, wydawało jej się, że słyszy śpiew, kobiece głosy śpiewające z morza w nieznanym języku, który jednak rozumiała, śpiewały o tym, że jej mąż żyje i na nią czeka, że jest przyszłość i życie, są baobaby. Dzięki temu śpiewowi Baobab ani nie umarła, ani nie straciła nadziei. Trafiała do obozu Czerwonego Krzyża na Teneryfie i stała się jednym z milionów wygnańców pozbawionych ojczyzny dawnej i niezbyt pasujących do nowej; Owocowy Raj był kolejnym miejscem, w którym nie zamierzała zostać długo, bo jej męża podobno ktoś widział w Kopenhadze. Wierzy, nie wierzy, nie zaszkodzi sprawdzić, bo nie ma tu marabutów, których mogłaby się poradzić, nie ma też niestety baobabów.

Oprócz Senegalki zwanej Baobab inne kobiety z Owocowego Raju też próbowały pracy w gorącej atmosferze Waschmaschine, ale tylko Dominika i Sara wytrwały tak długo. W gumiakach i fartuchach w kolorze zgnitych truskawek śpiewały wszystkie znane sobie piosenki, przekrzykując mechaniczny hałas i umpa-umpapa niemieckich szlagierów: Dominika po polsku, Jolka, Jolka pamiętasz lato ze snu, a Sara w języku, który złożony był z cmoknięć i kląskania. Co to za język? pytały inne kobiety. Khoi-khoi, odpowiadała Sara, tak mówili moi przodkowie. Khoi – co? Khoi-khoi! Skąd go znasz? Nie znam, umiem w nim tylko śpiewać, żartowała, śmiała się i śpiewała jeszcze głośniej. Od ruchu taśmy, na którą stawiały słoidki do mycia, po sześć naraz, nad ranem kręciło im się w głowie i Dominice wydawało się wtedy, że to nie słoidki,



tylko ona jedzie taśmą jak pociągiem, za którego oknami przesuwają się zamglone widoki Wałbrzycha, Zalesia, Warszawy, a obok niej Jadzia z torbą pełną bułek z serem gouda, jajek na twardo i pomidorów. W czasie przerw cudzoziemki trzymały się swoich podgrup, między którymi czasem dochodziło do nieporozumień, a czasem do przyjaznych kontaktów; częstowały się papierosami i cukierkami, pytały, a jak jest po twojemu na przykład kochać albo chleć, albo jak jest po twojemu pierdolić, a jak rodzić, i śmiały się, że tak różne nazwy istnieją na te same rzeczy, i po co to komu. Gdy przerobiły też słowa blisko związane z Owocowym Rajem, takie jak truskawka, pieniądze, malina, pracować, zmęczenie, spać, wymyślały inne, dalekie i prawie puste jak nieumyty słoik po dżemie – świat, samolot, aktorka, zakonnica. Powtarzały jeptiszka, zakonnica, nun, prychały na tureckie słowa, na których europejskie języki potykały się jak pijak na kocich łbach. Gdy Sara mówiła słowo w khoi-khoi, reszta machała rękoma, że to już naprawdę ponad ludzkie siły i czy naprawdę można w ten sposób nazywać świat, a jeśli tak, to czy stworzenia rozumieją wtedy swoje imiona? Opóźnieni młodzieńcy siadali zawsze w pobliżu kobiet, mieli okrągłe twarze i słoneczne uśmiechy nie do starcia. Jeśli coś łączyło Dominikę, Sarę, Turczynki, Senegalkę, Białorusinkę, Czeszkę i Niemki z Enerdowa, to był to odruch karmienia słabszych, jakiego kobiety uczą się wszędzie tam, gdzie niedana jest im satysfakcja z bardziej doniosłych zadań. Karmienie takie wypełnione jest dobrocią i złością, może uratować życie i zdławić, bo gdy tylko karmicielki widzą otwarte usta, nie pytają, czy chciały coś powiedzieć, krzyknąć, zaczerpnąć oddechu,

lecz wkładają w nie jedzenie i dopychają, by zmieścił się następny kęs, jedzjedzjedz. W kierunku Marka i Matze wyciągały się kobiece dłonie, jedzjedzjedz; biedactwa, byli w tak oczywisty sposób słabsi, bardziej poszkodowani. Miło tak się nad bardziej poszkodowanym politować, aż się źleż człowiekowi robi. Co to za życie, to ja już bym chyba wolala nie żyć, wzdychała raz Ukrainka, raz Czeszka, a Niemka z Enerdowa pamiętała ze szkoły, że w Grecji to się takich zaraz po urodzeniu zrzucało z jakiejś wysokiej skały. Kobiety karmiły i zastanawiały się, czy nie byłoby lepiej dla Marka i Matze, gdyby ich tak ze skały jak w Grecji, ale jednak nie, to wydawało się zbyt okrutne. Ale gdyby tak uśpić? To by nie boleło. Lepiej uśpić, niż ma się męczyć, a już na pewno na wszelki wypadek lepiej wykastrować, bo jednak nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy, jedzjedzjedz. Chłopakom odbijało się z przejedzenia i zasypiali na kartonach syty i spokojni jak niemowlęta, nieświadomi eugenicznych pomysłów karmicielek. Dopiero nadejście Szefa Wątroby sprawiało, że Mark i Matze podrywali się jak oparzeni, bo instynktem tych, którzy nieraz oberwali, czuli, że z jego strony nie ma co liczyć na współczucie.

Szef Wątroba lubił przeglądać się działającym okiem w lusterku swojego samochodu, lubił wygląd swojej ozdobionej sygnety dloni spoczywającej władczo i pewnie na kierownicy, bo, jak sądził, dłoń właściciela powinna tak spoczywać na wszystkim, co jego jest. Najbardziej Szef Wątroba lubił jednak władzę, lubił ją tak bardzo, że na samą myśl o posiadaniu czegoś tak cudownego, jak prawo do dawania i odbierania, łzawiło mu szare oko, którego kolor wraz z Owocowym Rajem



odziedziczył po ojcu. Uczucie, które ogarniało Szefa Wątrobę, gdy wchodził do Owocowego Raju, nie dawało się porównać ani do wakacji na Majorce all inclusive, gdzie można było nie ruszać się dalej niż hotelowy basen, co za luksus, i jeść bez żadnych ograniczeń, ani nawet do jazdy ukochanym bmw ze skórzaną kremową tapicerką, którym mógł po kolei wyprzedzić z dziesięć gorszych aut, pędząc lewym pasem autostrady. Najpełniej tego stanu doświadczał, gdy patrzył na pracujące w Owocowym Raju kobiety; im bardziej na czarno pracowały, tym bardziej im na pracy zależało, a poczucie władzy Leber Führera rosło najlepiej na pożywcze strachu tych, którzy nigdy nie mieli wiele do stracenia. Gdy składał niezapowiedziane wizyty w tonącej w truskawkowych oparach sali, jego chód był sprężysty, pierś wypięta, a oko czujne; to był raj i cały należał do niego, co więcej, można powiedzieć, że to on stworzył to piękne miejsce, modernizując odziedziczoną po ojcu ruinę. On przyjmował do Owocowego Raju i on z niego wyrzucał, to było jego święte prawo. Szef Wątroba lubił tu przychodzić, uważał, że pańskie oko konia tuczy. W przeciwieństwie do pomniejszych kierowników nigdy nie używał brzydkich słów, a uśmiech łagodny, ojcowski nie schodził z jego twarzy i nie różnił się od uśmiechu, jaki miał na okoliczność rodzinną, dla dzieci i wnuków. Gdy przerwa trwała za długo i Turczynki, Senegalka, Białorusinka, Czeszka i Te Dwie Dzikie porozglaziły się po zakładzie, kierownicy krzyczeli, że koniec gucken i besuchen, leniwe baby tylko by gucken i besuchen, tylko essen i trinken, wracać do roboty i to schneller, jeśli nie chcą mieć potracone. Szef Wątroba nigdy nie podnosił głosu, mówił, guten

Morgen, pytał, wie gehts, i często prosił którąś z młodszych kobiet do gabinetu, a wszystko bardzo kulturalnie. Namierzał swoje ofiary z wprawą myśliwego, trafiając szarym okiem tam, gdzie czuł najsmakowitsze połączenie uległości i oporu.

Młodsza z Turczynek, Nazan, o czerwonych włosach punkowy, przekonała się o tym na własnej skórze, choć sprawy zaszły głębiej niż skóra. Podobno były inne poszkodowane, były też takie, które z westchnieniem rezygnacji same odpinały guziki fartuchów w kolorze zgniłych truskawek, by potem mówić sobie, że gdzie tam je zmuszał, żadnego zmuszania nie było, przemogły się i swej sytuacji pomogły, załatwiły sobie to czy owo, bo takie jest życie w Owocowym Raju. Nieraz żartowały kobiety, co należałoby zrobić z takim Szefem Wątrobą, o, gdyby tylko mogły, gdyby nastał dla nich czas mocy, już one by mu pokazały! Białorusinka Kalina miała zawsze najlepsze pomysły. A wiecie, co ja bym zrobiła? zaczynała, a potem już szło. Powiesiłyby Leber Führera za jaja, stały w kółku i się śmiały, a on by dyndał jak ozdoba choinkowa. Utopiłyby w kadzi z konfiturą truskawkową. A przedtem w dupę by mu nakopały i po jajach. Tak, po jajach koniecznie. W malinach wrzących by go wytarzały, a potem na golasa po śniegu przepędziły, że hej, aż by się sfajdał ze strachu. Na golasa! Pewnie, że na golasa. Przepuściłyby Szefa Wątrobę przez Waschmaschine, skąd wyjechałby na taśmie odbarwiony, wydezynfekowany i gorący jak pączek. Nazan wróciła do pracy z biura Leber Führera zapięta po szyję i nie powiedziała nic, ale jej czerwone włosy płonęły, jakby tamtędy uchodziło obrzydzenie, przez chwilę się wydawało, że



może być z tego pożar, ale ogień przygasł z sykiem i Nazan wróciła do nalepiania na kartony nalepek Konfitura Wykwintna Owocowy Raj. Piętnaście minut w magazynie i niesmak w ustach to cena wygórowana za tak nędzną pracę, Nazan gotowa ją była jednak zapłacić, bo ryzykowała znacznie więcej. Wszystko było lepsze od deportacji i powrotu tam, skąd uciekła, paląc mosty, i gdzie miejsce, które po niej zostało, nie pomieściłoby dzisiejszej Nazan o czerwonych włosach i odkrytej głowie. Niekiedy podczas przerwy Nazan siadała koło Dominiki i Sary na drewnianych paletach przed Owocowym Rajem, gdzie paliły papierosy, patrząc w noc, która przynosiła tu jak na falach strzępy snów śnionych przez mieszkańców domów o zadbanych ogródkach. Niemieckie sny nadpływały wilgotne i nieprzejrzyste, osiadały na włosach, ramionach cudzoziemek z Owocowego Raju; na dalekich przedmieściach ich fabryczka dżemów i konfitur luksusowych była jedyną plamą światła otoczoną przez mrok tak gęsty, że wydawał się żywą substancją pełną oddechów i westchnień. Turczynka jeszcze słabo mówiła po niemiecku, ale Dominika zrozumiała, że Nazan ma siostrę Aysun, która została w rodzinnej wiosce, i nie zdziwiła się specjalnie, gdy usłyszała, że jest podobna do Aysun, która też ma tak długie rzęsy. Długie, czarne, delikatne jak motyle skrzydła, jak jest motyl po niemiecku? Schmetterling. Der czy das? Gdyby nie der i das, już by Niemki były z nas! A więc Schmetterling, rzęsy jak skrzydła motyla. Niekiedy po przebudzeniu Aysun nie mogła ich rozplątać. Chciała otworzyć oczy, a tu nie przez te rzęsy, ciemność, jakby sen trwał mimo przebudzenia i było się jednocześnie tu i we śnie. Wołała wtedy,

Nazan. Nazan! przyjdź, bo zaplątały mi się rzęsy, i śmiały się, tarzały się za śmiechu po łóżku, jadły chałwę z pistacjami na śniadanie i patrzyły przez okno, jak pada śnieg. W ich wiosce padało całą zimę; tej śnieżnej zimy, gdy Nazan wyjechała, dwie dziewczyny popełniły samobójstwo. Ten jeden raz Nazan powiedziała coś o życiu przed, ale gdy po kilku dniach Dominika podczas nocnej przerwy wróciła do tej rozmowy, do siostry Aysun, która została w wiosce na południowym wschodzie Turcji, Nazan wzruszyła tylko ramionami, zgasiła papierosa i odeszła. Gdy po pracy brały prysznic we wspólnej łaźni, Dominika zobaczyła po raz pierwszy plecy i pośladki Nazan, która dotąd nie paradowała po szatni nago jak inne kobiety, i zrozumiała, że ten widok to nie przypadek, lecz dar. Plecy Turczynki pokryte były pręgami, które biegły ukośnie od lewego ramienia, różowawe ślady po ranach, które zagoiły się dopiero niedawno. Plecy Nazan mówiły, to wszystko, co mogłam teraz dać i wziąć, być może nigdy nie poznasz mojej historii ani ja twojej, ale dziękuję, że dzięki tobie wypowiedziałam imię Aysun. Dominika dotknęła swojej blizny na policzku, bo to wydawało jej się najwłaściwszym sposobem, by powiedzieć, dziękuję, Nazan. Jeszcze kilka razy paliły razem papierosy, ale już nigdy nie mówiły o rzeczach ważnych, a nieważnych jest przecież tyle, że wystarczy do mówienia przez całe życie. Siedziały po prostu obok siebie, żartowały z mężczyznami, którzy podczas przerwy popisywali się jazdą na wózkach widłowych, flirtowały, karmiły Marka i Matze, dzieląc się z nimi swoimi kanapkami, albo słuchały, jak Senegalka, zwana Baobab, opowiada po raz kolejny o drzewach, które wyglądają, jakby rosły korzeniami do



góry, i zgadzały się, że, fakt, tu drzewa nie są takie piękne i wszystkie mają korzenie w ziemi.

Tej nocy, gdy Dominika, Sara, Baobab i Nazan opuściły Owocowy Raj, Szef Wątroba pojawił się na początku zmiany. Minął Dominikę i Sarę, Białorusinkę i Czeskę, Niemki z Enerdowa i Senegalkę, zwaną Baobab, aż w końcu zatrzymał się przy Nazan, której czerwone włosy zapłonęły tak jasno, że przygasł blask jarzeniowych lamp. Nazan, wie gehts? Okazuje się, że muszą jeszcze raz porozmawiać, bo jednak papiery Nazan nie są w takim porządku, w jakim wydawało się, że były po ich ostatniej rozmowie. Sygnet zalsnił na palcu wskazującym Szefa Wątroby, ten palec lubił błyszczeć na kierownicy i wciskać się na siłę; chce porozmawiać z Nazan teraz, dokładnie w tej chwili, bitte. Zapłonęły włosy Nazan jak główka potartej zapalniczki i trzeba było być ślepcem, by tego nie widzieć, ale Szef Wątroba, zapatrzonego w zbliżającą się przyjemność, nic nie zauważył i może miała rację żona, gdy namawiała go ostatnio na wizytę u okulisty. Tymczasem włosy Nazan iskrzyły się już jak zimne ognie, by po chwili wybuchnąć feerią fajerwerków w kształcie smoków, węży, tygrysów, ale to widzieli tylko Mark i Matze, i do końca życia nie zobaczą niczego piękniejszego. Smoki! Węże! Tygrysy! tak będą opowiadać, ale nikt im nie uwierzy, bo komu by się tam chciało im wierzyć. Nazan! krzyknęła Dominika, ale Turczynka nie obejrzała się; Nazan! zawołały Sara i Baobab jednocześnie, ale też na darmo. Smoki! Węże! Tygrysy! Mark i Matze chcieli powiedzieć Białorusince Kalinie, co widzą, pokazać palcem, ale dostali tylko przez łeb. każdy dla pewności po dwa razy. Za Szefem Wątroba

i Nazan zamknęły się drzwi magazynu; kobiety w hali wróciły do pracy.

Zmyliła go szybka zgoda, a pośpiech dłoni rozpinających mu spodnie wziął za gorliwą uległość i zdziwił się, gdy Nazan nagle wstała z klęczek i skoczyła do drzwi. Kolana miał skrupowane bokserkami w świnki, żona lubiła mu kupować takie zabawne i mile prezenty pod choinkę; Szef Wątroba ruszył za Nazan, nie zdążył, dziewczyna zatrzasnęła drzwi. Pożalujesz, suko! Jak można było tak go potraktować? Jego, człowieka na stanowisku, właściciela Owocowego Raju! Czyjeś ręce, czuł, że więcej niż jedna para, choć nie będzie mógł tego udowodnić, barykadowały właśnie drzwi metalowym regałem, na którym stały skrzynki z dżemami z eksperymentalnej serii ekologicznej. Zupełnie wam odbiło, powiedziała Sara, i to ona dopchała regał tak, że trzech mężczyzn z trudem go potem odsunęła. Ale to potem. Teraz Szef Wątroba nie zdoła wspiąć się do małego okienka pod sufitem, a nawet gdy podstawia krzesło i złapie się rękoma krat, nic mu z tego nie przyjdzie.

To, co stało się potem, najlepiej zapamiętają Mark i Matze, którym kolor czerwony już zawsze będzie przypominał płonące włosy Nazan; zachodzące słońce, czerwone światło na przejściu dla pieszych, truskawki, to wystarczy, by przywołać ciąg obrazów z tamtej nocy w Owocowym Raju. Która była pierwsza? Baobab! Mark i Matze widzieli, jak zerwała chustkę z głowy i jej włosy zaplecione w warkoczki zatańczyły jak węże, mówiłem, że węże! wrzasnął Mark, węże! smoki! tygrysy! zawtórował mu Matze. Wtedy Baobab cisnęła o ścianę słoikiem pełnym dżemu, chwilę po niej Białorusinka Kalina przy-



waliła drugim, aż echo poszło po Raju. Job twoju mać, jak ja nienawidzę dżemów! Paszły won, precz z dżemami, Dominika roześmiała się, nabrała pełne garści rozdrobnionych truskawek i obrzuciła nimi Sarę, ta ochlapała Czeszkę od stóp do głów pulpą zaczerpniętą wiadrem z kadzi. Czeszka starła maź z twarzy, zamrugła powiekami, powiedziała coś o rukach i krwawicze, chlapnęła Dominikę w odwecie, a dostało się też Nazan, która była teraz cała czerwona, wokół głowy świeciła jej jakby aureola, mokry fartuch przylegał do ciała. Truskawkowa maź spływała kobietom po twarzach i dekoltach, malinowy mus lepił włosy, laskotały jego strużki między piersiami, truskawkowy sok wędrował w dół pleców i brzucha. Mark i Matze jeszcze nigdy nie widzieli takiej zabawy, dlaczego kobiety dopiero teraz wpadły na coś, na co oni mieli ochotę od początku? A może im się to wszystko wydaje? Może to tylko piękny sen? Nieważne, nabrali po wiadrze owocowej pulpy i niechby ktoś spróbował teraz zatrzymać Marka i Matze, niechby ktoś spróbował powiedzieć, zostaw to, ty debilu pieprzony, niedojebku. Dominika i Sara, Baobab i Nazan, Białorusinka i Czeszka śmiały się coraz głośniej, przyłączyły się do nich dwie Niemki z Enerdowa, mała pulchna i duża chuda, i to któraś z nich podkreśliła jeszcze głośniej niemieckie szlagiery. Tanzen! Zawołała duża chuda, rozpięta fartuch i ruszyła ostro, melodia w rytmie umpa-umpapa pasowała o wiele lepiej do tańca niż do pracy. Adorable! Délicieux! Génial! Formidable! Merveilleux! krzyknęła Baobab, jak nigdy nie krzyczała, i zatańczyła, jak nie tańczyła od lat, wymachując głową, jej warkoczyki tryskały na czerwono, pod spodem żalostnej melodii szlagierów słyszała

inny, morski śpiew, porywał ją jak fala. Słyszycie? chciała zapytać, ale chyba słyszały. Resztę najlepiej zapamiętaj Mark i Matze, i upierać się będą, że to prawda, bo nic nie tracą, skoro i tak nikt ich nie bierze poważnie, a takie wspomnienie warte jest uporu. A było tak. Adorable! Délicieux! Génial! Formidable! Merveilleux! śpiewała Senegalka, zwana Baobab, a jej nagle objawiony sopran koloraturowy przypomniawszy Białorusince Kalinie czasy, kiedy to było, gdy miała zostać baletnicą. Baletnicą! Co robi w fabryce dżemów białoruska baletnica? Kalina zdjęła fartuch, miała pod nim majtki z napisem Montag, choć to była środa, i miękki bawełniany stanik, okazało się nagle, że jej ciało, cięższe teraz o czterdzieści kilo, pamięta baletowe figury sprzed lat. Pas couru! Ballonné! Kalina wyskoczyła w powietrze, lekko wróciła na ziemię, zastygła w arabesque i po chwili, hop, assemble! wycięła piruet na puentach. Jej piersi przed oczami Matze rozkołysane były jak dwa słońca, a chłopca zachwycił, choć nie zdziwił, ten widok, bo zawsze myślał, że słońc jest wiele, poranne, południowe, zachodzące, a wszystkie piękne, wędrujące w te i z powrotem nad nieruchomą ziemią. Co za cud, nikt nie powiedział mu, spadaj, debilu pieprzony, wynocha, niedojebku, trzeba cię uśpić, kretynie, tylko kobieta, piękna jak wszystkie słońca wzięte naraz, poranne, południowe, zachodzące, wirowała z nim, umpa-umpapa, w majtkach z napisem Montag. Dominika tańczyła z Sarą, a Nazan z Baobab, umpa-umpapa, łąpały się za ręce, robiąc korowód, do którego włączały się kolejne kobiety z Owocowego Raju: nawet jedna tutejsza Niemka w zaparowanych okularach zrzuciła fartuch, chwyciła za rękę Marka i poszła w tany,



ostatnio to na Oktoberfeście tak ją porwał! Korowód zawadził o stertę kobielek ze świeżymi owocami, truskawki i maliny rozsypały się pod nogami, kobiety gubiły służbowe kalosze, dłonie kleiły się do dłoni i nikt nie zwracał uwagi na to, że SzeF Wątroba wali w drzwi i przeklina, nie daruje im tego, już one go do końca życia popamiętają, śmiecie zagraniczne, głupie dupy, niech drzwi otwierają, szacunek okazują, i to schneller. Ale, umpa-umpapa, grała muzyka, Ich liebe dich, aber du liebst mich nicht, śpiewał jakiś zawiedziony w miłości, lecz bardzo energiczny głos, korowód kobiet z Markiem i Matze pośrodku wytańczył się na zewnątrz, gdzie noc była rozedrgana i gęsta; co odważniejsi mężczyźni porzucali pracę i dołączali do zabawy. Dominika czuła dłonie Sary i Nazan w swoich dłoniach, przylegały jak warstwy ciasta sklezione dżemem, pierwszy raz od wypadku czuła się taka szczęśliwa i wolna, ale korowód zaczął wkrótce wytracać szybkość, w powietrzu czuć było już poranny chłód. Pierwsza otrzeźwiała miejscowa Niemka i nagle, niczym osoba zaskoczona nago, zgłębiała się wpół i pomknęła w stronę łaźni. Białorusinka Kalina klapnęła na stos palet i dysząc ciężko, wymamrotała, że job twoju mać, balet już chyba nie dla niej. Potem Nazan odlepiała się od korowodu, Nazan! krzyknęła Dominika, ale Turczynka, nie oglądając się, pobiegła do zaparkowanego samochodu z cysterną, którym mus z truskawek i malin przetworzonych w Owocowym Raju rozwożono do innych zakładów. Jeden samochód stał gotowy do drogi, drzwi szoferki otwarte, kluczyk w stacyjce, za kierownicą już Nazan. Podjechała do ściany budynku, wyskoczyła z szoferki i wybiła kopniakiem okienko magazynu,

w którym kłął uwięziony SzeF Wątroba. Zanim inni zdążyli pojąć, co zamierza, Nazan spuściła przez nie do środka zawartość cysterny, popłynęła czerwona rzeka! Wstawał świt, w oddali zawył pociąg, z wnętrza magazynu coś zabulgotało gniewnie. Kobiety zaczynały przecierać oczy; czy to wszystko dzieje się naprawdę? Co one robią na zewnątrz półnagie i ubabrane w truskawkach, z malinami w stanikach i majtkach, gdy powinny arbeiten, i to schneller, poglupiały? Muzyka wciąż grała, umpa-umpapa, ale niczyja noga nie rwała się już do tańca, ci, którzy przed chwilą trzymali się za ręce, odsuwali się od siebie i unikali patrzenia sobie w oczy, a gdy Matze sięgnął ręką do słonecznej piersi Kaliny, ta warknęła, spadaj, debil, i zdzieliła go w głowę. SzeF Wątroba wył i bulgotał, kłął i groził; stał po brodzie w truskawkowym musie i ślizgały mu się nogi. Jeden z niemieckich pracowników powiedział, macie dwadzieścia minut, wariatki, potem go wypuszczamy. Nam zależy na tej pracy! Narobiło się. Jak mogli do tego dopuścić? To wina Tych Dwóch Dzikich! To wina Baobab! Nazan wina! Kto to powiedział pierwszy? Kto pierwszy obwinił? Kobiety zaczęły rozchodzić się, nie patrząc sobie w oczy, ktoś wyłączył w końcu umpa-umpapa; to wina Tych Dwóch Dzikich, Nazan, Baobab, powtórzył ktoś szeptem; świt wstawał zimny i siny, to wina Tych Dzikich, ktoś inny głośniejsz, Nazan, Baobab. Dzikich wina, bo jak nie, to czyja? Nazan wina, Baobab! Pakujemy się! Macie piętnaście minut! powiedziała Sara. Za piętnaście minut widzimy się przy wyjściu. Gdy spotkały się przy bramie Owocowego Raju, miały jeszcze kawałki owoców we włosach, uszach, pod paznokciami, a w pośpiechu narzucone ubrania kleiły się



im do ciał; Dominika włożyła sweter na lewą stronę, Nazan ukryła głowę pod narciarską czapkę z pomponem i nawet doświadczonej podróżniczce Sarze cieliste rajstopy wystawały z plecaka i powiewały na wietrze jak kołysane wodą ukwiały. Warkoczyki Baobab sztywne od dżemu sterczały na wszystkie strony, w uszach podrygiwały wielkie kolczyki z turkusami, była piękna i trochę straszna. Czy opowiadałam wam już o baobabach? To był śmiech, jakim śmieją się uciekinierki nad ranem, śmiech mający moc budzenia z martwych. Pierwszy poranny do Frankfurtu odchodził z malej stacji o czwartej pięćdziesiąt i musiały na niego zdążyć, bo jeśli Szefer Wątroba wezwie policję, choć nie sądziły, by to zrobił, bo musiałby tłumaczyć się z nielegalnego zatrudniania pracowników, będą ich szukać przede wszystkim na dworcu. Ale kto wie, jaka zemsta przyjdzie mu do głowy? Nie ma już dla nich miejsca w Owocowym Raju. Ruszyły; biegly skrótem przez laszek brzozy po kolana stojący we mgle, przez uśpioną wioskę, wzdłuż ogródków z krasnalami, gipsowymi grzybami i wodnymi oczkami, koło sklepu Aldi, gdzie śmiertelnie przeraziły dostawcę mleka. Zdążyły!

Gdy piły kawę na dworcu we Frankfurcie nad Menem, wiedziały, że ich wspólna droga dobiegła końca. Tu jest dużo Turków, powiedziała Nazan, może znajdę pracę w jakiejś restauracji, może w sklepie; poradzę sobie, bo nie mam dokąd wrócić. Ja jadę do Kopenhagi, oznajmiła Baobab, może wcześniej zarobię trochę tu czy tam, ale potem do Kopenhagi, szukać mojego męża, Madou. Razem wrócimy do domu, do Senegalu. My pojedziemy do Gelnhausen, mamy tam kogoś, córkę naszej przyjaciółki Grażynki, zatrzymamy się na chwilę i popracujemy w cu-

kierni, powiedziała Dominika. A potem? Dalej w drogę. Gdy spotkam Aysun, opowiem jej o tobie, powiedziała Nazan do Dominiki, kiedy się żegnały, powiem jej, że też płatały ci się rżęsy. Rżęsy nieznaney siostry Nazan stały się rżęsami Dominiki i odtąd ilekroć spojrzy na nie w lustrze, pomyśli o dziewczynie, która jadła na śniadanie chałwę z pistacjami, a za oknem śnieg sypał się na dachy tureckiej wioski wielkimi mokrymi płatkami.

## V

Ciocie Herbatki nawet przed wojną zapasy robiły tak, jakby zawsze spodziewały się zimy stulecia. Szły na targ z wielkimi koszami i macały owoce, grzebały w warzywach, a ich twarze przybierały wyraz skupionej i podszytej podejrzliwością powagi, jakby chodziło o coś o wiele bardziej doniosłego niż zakup produktów na przetwory.

Jabłka tej jesieni były byle jakie; byle jakie, wzdychały, niewydarzone pierdziolki. Za to gruszki! Zrobią gruszki w occie i konfiturę gruszkową z żurawiną, świetną do mięsa, a jeśli mięsa nie będzie, zje się z placakami ziemniaczanymi. Może też kilka kompotów gruszkowych z goździkami i syropem porzeczkowym, który nada im piękną różową barwę, i będą goście pytać, a jak to panie zrobiły, pani Różo, pani Aniello, że gruszki, a różowe? Klasy, bergamotki i lukasówki, piękne owoce o kształtach miejscowych kobiet, nawet w kolorze podobne, płowozłote, gdzieniegdzie zbrązowiałe i obite.



Ciocie Herbatki wybierały, przebierały, podnosiły owoce pod światło, jakby spodziewały się dojrzeć przez skórę i miąższ ukryty w środku skarb. A jak się targowały! Wiedziały dokładnie, ile razy mają odejść, mówiąc, nie to nie, idziemy gdzie indziej, a kiedy ustąpić i ubić interes. Ale najpoważniejszą sprawą był wybór kapusty do kiszenia. Wielkość, kolor, zapach, dotyk i zwartość, wszystko miało znaczenie. Kazały sobie przekroić wybrany egzemplarz i oglądały każdą połówkę z taką uwagą, jakby trzymały w dłoniach cenne okazy japońskiej ceramiki. Dobra kapusta powinna z wierzchu mieć kolor kielkującej trawy, w środku olśniewać kremową bielą twarożku; dyskwalifikują ją czarne kropki, sinawe nacieki, a nawet delikatne smugi żółci. A do tego zapach niedojrzałych ziaren pszenicy, świeżość z orzechową domieszką, i żaden inny. No i dźwięk, ściśnięta kapusta powinna zapiszczeć jak mysi osesek; jeśli zapiszczy, kisimy, mówiły Ciocie Herbatki, ugniatając w dłoniach główki wybrane ze sterty leżącej na jednym czy drugim wozie. Tego roku trochę spóźniły się z kiszeniem, ale bywały lata, gdy wszystko przychodzi za późno, jabłka nie chcą dojrzeć i mimo słońca wiszą na drzewach zielone i twarde jak kamienie, a węgierki do pierwszych mrozów nabierają zaledwie połowy przewidzianej słodkości. Czekwały więc i czekały Ciocie Herbatki niezadowolone z tego, co można było kupić na targu w Kamieńsku czy Gorzkowicach, aż w końcu zdecydowały, że nie ma co, jaka będzie, taką kupią i ukiszą, bo inaczej zostaną bez kapusty na zimę.

Od piątej rano Ciocie Herbatki szatkowały kapustę, rozmawiając o Grażynce, bo w przeddzień doszło do

nich, że fryzjer Tadeusz Kruk zastawił na nią sidła. Całą noc myślały, co mogą zrobić, i nic nie wymyśliły. Zabronić? Nigdy niczego Grażynce nie zabraniały. Wytlumaczyć jej? Jak wytłumaczyć to, o czym nie da się mówić? Przekupić fryzjera? Nie ma czym. Uciekać? Nie ma do kąd. Wpakowały kapustę do beczek, pomyły nogi, żeby zabrać się do deptania, i Róża poszła po sól do spiżarki, ale tak długo nie wracała, że poszła i Aniela. Trutka na mole! Szukając soli, Róża znalazła buteleczkę trutki na mole i oglądała ją pod światło. Całą wojnę w jakimś kącie przestała; butelkę z ciemnego szkła pokrywał kurz i pajęczne klaczki, a gdy Aniela przetarła ją brzegiem fartucha, w środku zaśniono księżycowo. Żaden środek nie działał tak jak trutka na mole sporządzona według starego przepisu przez Ciocie Herbatki. Piolun i belladonna, czarny pieprz i wilcza jagoda, miód, koniecznie wrzosowy, bo inny spaprze wszystko, trochę czarnego bzu i kozieradki, szczypta cynamonu, trzy ostre papryczki. Taki przepis podała im na kursie gospodarstwa domowego w Częstochowie dziewczyna imieniem Balbina, która potem uciekła i została aktorką w Warszawie. Ponoć wystarczyło położyć w szafie watkę nasączoną trutką, by mieć pewność, że wełniane okrycia i futra przetrwają nienaruszone. Pewnie Ciocie Herbatki coś pokręciły, bo trutka ich autorstwa nie wywierała żadnego wrażenia na molach, miała za to inne działanie, i do tego pyszny smak. Moc trutki Cioć Herbatek polegała na tym, że dzięki niej ludzie dochodzili do siebie. Ciocie Herbatki rozdawały ją tym, którzy wydawali się właśnie tego potrzebować, i radziły zażywać po łyżeczkę przed snem. Na przykład Franciszce Pylek z poczty, która nie mogła



dojść do siebie po powrocie z obozu; jej ciało chodziło po Kamieńsku, puste jak wydłuszczone, a Franciszka Pylek klęczała nad dołem pełnym trupów i wylała, choć nie słyszała swego głosu. Tak mi ciężko, łkała w strasznych godzinach przedświt, już chyba nigdy nie dojdę do siebie. Postanowiła więc zażyć trutkę na szczury, a jej straszny smak zapić kieliszeczkiem trutki na mole Cioć Herbatek, bo mała przyjemność w obliczu samobójczej śmierci nie wydawała się grzechem. Napisała list pożegnalny, rozdała dobra doczesne, w tym prawie nowy kostium ze szmaragdowego aksamitu, ubrała się jak do trumny, by nikomu potem kłopotu nie robić, tylnęła i obudziła się po trzech dobach z uczuciem dziwnej lekkości. Franciszka otworzyła na oścież okna, wylała resztę najwyraźniej zwierzęcej trutki na szczury i podała na strzepy list pożegnalny, zatytułowany: Do tych, którzy znajdą me ciało. Mikstura cioć Herbatek najpierw dała Franciszce uczucie lekkości tak wyraźne, że byle przeciąg unosił ją w górę, i gdy porządnie wiało, na wszelki wypadek obciążała kieszenie kamieniami, w tym celu na toaletce w przedpokoju, oprócz apaszek i rękawiczek, trzymała zawsze parę sporych otoczków znalezionych na brzegu Kamionki. Dopiero po kilku tygodniach Franciszka zauważyła, że kłopotliwa lekkość to nie jedyny efekt trzydobowego snu po trutce Cioć Herbatek. Jedząc loda na ławce przed kościołem, Franciszka Pylek, która na szczęście przeżyła obóz, i niestety też rodzinę, wróciła do siebie. Może nie była dokładnie ta sama, co kiedyś, ale darowanej sobie nie patrzy się w zęby, pomyślała i kupiła jeszcze dwie śmietankowe gałki; smakowały tak bardzo, jakby na dwa języki lizała! Franciszka Pylek aż przymknęła oczy ze

szczęścia i odtąd przy każdej okazji dziękowała Ciociom Herbatkom za ocalenie.

Róża potrząsnęła butelką i pod światło zobaczyła, że płyn nie zmętniał, a gdy wylała dwie krople na talerz, wyglądały dokładnie tak, jak powinny, błękitne i opalizujące niczym kamień księżycowy. Ciocie Herbatki popatrzyły na siebie bez słów i pokiwały głowami, pieczętując decyzję, która już zapadła. Jeśli jest jakiś inny Tadeusz Kruk oprócz tego, którego znały i bały się, po trutce na mole powinien przyjść do siebie. Tadeusza Kruka nie zdziwiło zaproszenie do Napoleonówki, bo sam zastanawiał się, jak podejść Ciocie Herbatki. Grażynka spędziła w jego zakładzie już ponad tydzień i były to dla niego dni wyjątkowe. Tadeusz Kruk nie rozumiał, jak mógł żyć bez niej tak długo. Najpierw myślała tylko włosy klientek i mieszała papkę rozjaśniającą, mrużąc oczy w gryzących oparach perhydrolu, ale wkrótce nauczył ją podcinać końcówki. Niektóre klientki wręcz o nią prosiły, panie Tadeuszu, niech pan odpocznie i pozwoli Grażynce się powprawiać. Dziewczyna nie miała wielkiego daru do fryzjerstwa, ale kobiety lubiły słuchać jej paplaniny, nawet te, które denerwowała jej uroda i wrażenie, jakie wywierała na mężczyznach z Kamieńska. Zostawiała zazdrość za progiem zakładu fryzjerskiego Tadeusza Kruka i mówiły, pani Grażynko, z tyłu krócej, a grzywkę wycieniować i z falą na lewy boczek, a ona strzygła, jak umiała, i mówiła o wiele więcej niż wtedy, gdy spotykano ją w towarzystwie Cioć Herbatek. Wystarczyło parę dni, by narodziła się plotka, że Grażynka Rozpuchówna opowiada przy pracy cuda-niewidy; trudno się połapać, co i jak, bo nie są to przepowiednie jak od Cyganki, jednak doty-



czą przyszłości, i po wyjściu z zakładu ze świeżą fryzurą człowiek czuje przymus, by zrobić coś, o czym nigdy wcześniej nie myślał. Podobno Marianna Gwóźdź poleciała do sklepu i kupiła dziesięć zeszytów, a Franciszka Pylek pobiegła do domu i wróciła z całym naręczem spódnic i sukienek, które dała do krawca do skrócenia.

Gdy Grażynka pracowała, Tadeusz Kruk siadał tak, że widział tył Grażynki normalnie, a przód w lustrze, w którym odbijała się też jego twarz. Każdy ruch Grażynki sprawiał, że powierzchnia lustra falowała jak woda, a fryzjerowi aż kręciło się w głowie, gdy błysk nożyczek kroił lśniąca powierzchnię. Wydawało mu się czasem, że on i Grażynka odbita w lustrze to jedno, że jest Grażynką Rozpuchówną o pełnych piersiach i wysokich pośladvach, i ogarniało go uczucie rozkoszy tak doskonałej, jakiej nie zaznał, nawet strzygąc kobiety w obozie. Niekiedy spojrzenia Grażynki i fryzjera krzyżowały się w nagłym rozbłysku światła, a on widział w jej oczach to, co sam czuł, pragnienie stopienia w jedno, bo jej oczy były jego oczami. Tymczasem Grażynka osobna i własna widziała człowieczka o twarzy starzejącego się żółwia i pragnęła go ratować. Tadeusz Kruk postanowił ożenić się z Grażynką, jak najszybciej, ale praktyczna strona jego natury podpowiadała mu, że dobrze byłoby załatwić to po bożemu, z błogosławieństwem Cioć Herbatek. Niby wiele one nie miały, Napoleonówkę i kawałek ogrodu, ale wiecznie żyć nie będą i lepiej, żeby Grażynki nie wydziedziczyły i nie zapisały chałupy jakiemuś muzeum. Na wizytę wieczorną ubrał się Tadeusz Kruk starannie w przedwojenny garnitur zakupiony w Radomsku, prawie nieużywany, wzuł świeżo wypastowane buty, zarzucił jesionkę prze-

siągniętą zapachem naftaliny. W ostatniej chwili wyczyścił końcem szczyroryka brud spod paznokcia i starannie wygrzebał woskowinę z uszu, jakby na wstępie Ciocie Herbatki miały dokonać przeglądu czystości. Miał dla nich w prezencie karkówkę wieprzową, zgrabny kawałek w sam raz do pieczenia, a dla elegancji postarał się też o dwie buteleczki perfum i bukiet. Cieszył się, że wizyta wypadła tego dnia, gdy Grażynka była w Radomsku, bo bałby się wyluszczać sprawę przy kobiecie, której obecność sprawiała, że rozpytywał się z miłości.

Usiadł Tadeusz Kruk za stołem, a naprzeciwko Ciocie Herbatki, każda w bluzce z kokardą pod szyją. Róża w seledynowej jak woda, Aniela w liliowej jak błędne ogniki z bagien. Po słowach powitania w Napoleonówce zapadła cisza i fryzjer zaczął z nerwów bębnić palcami w drewniany blat, czuł zapach lawendy i świeżo zaparzonej esencji, pocił się obficie; Ciocie Herbatki dobiegł zapach zła i wiedziały już, że wzmógł się od czasu, gdy ostatni raz miały Tadeusza Kruka pod nosem. Westchnęły jednocześnie, zegar wybił godzinę. Czy to Aniela dała znak, czy Róża wstała z własnej inicjatywy, by z kredensu wyjąć kryształową karafkę z nalewką porzeczkową? Czarna porzeczka, cierpki owoc o dużej zawartości witaminy C i delikatnym zapaszku trupa, jak żaden potrafi stłumić inne smaki, wonie i kolory. Owoc zdrowy i piękny, którego grona lśnią na krzakach w kamieńskich ogrodach jak czarne złośliwe oczka. Płyn, którego Aniela naleła do kieliszka fryzjera, był gęsty, prawie czarny i tylko bardzo wprawne oko dostrzegłoby w jego barwie po-  
blask księżycowego kamienia. Tadeusz Kruk odgiął elegancko mały palec i podniósł kieliszek do ust, był dobrej



myśli, o ile to możliwe w przypadku człowieka o złych intencjach. Po pierwszym kieliszku leciutko poweselał i pomyślał, jakie stare już te Cioce Herbatki, jakby starsze, niż wydawało mu się jeszcze przed chwilą. Ileż one mogą mieć lat? Hm, chrząknął niepewnie, bo nagle wydały mu się młode i piękne, nagie i długowłose. Tadeusz Kruk zamrugał oczami. Róża zapytała na to grzecznie, czy jeszcze sobie naleweczki życzy, życzył i Aniela polala zgrabnie, zakręcając karafką tak, że nie kapnęło na obrus. Patrzyły na niego, wpatrywały się, a niech się gapią, głupie kwoki. Co za pyszna naleweczka! czy Grażynka taką nastawiać potrafi, zapyta, jak nie, niech się nauczy, pomyślał rozmarzony fryzjer i poczuł, jak ciężą mu stopy. Próbował rozruszać je dyskretnie pod stołem, by nagłym skurczem nie zepsuć eleganckiej atmosfery, ale sztywnienie nie mijało, przeciwnie, pęzło w górę, jakby zanurzał się w tężejącej galarecie jednocześnie parzącej i zimnej. Mocna! Koniecznie nastawić trzeba będzie. Hm, chrząknął. Chciał powiedzieć coś więcej, całą mowę sobie ułożył, która zaczynała się od słów, przyszedłem tu wiedziony nadziejom. Przyszedłem tu wiedziony nadziejom, nadziejom wiedziony tu przyszedłem, powtarzał przed wyjściem, poprawiając węzeł krawata, który już w niedalekiej przyszłości wiązać mu będą ukochane rączki żony. Przyszedłem tu wiedziony nadziejom, chciał więc powiedzieć, ale tylko chrząknął, hm, wycharczał, ppplem, i puścił bańkę śliny w jaskrawoniebieskim kolorze. To żem się upił, pomyślał ze zdziwieniem fryzjer Tadeusz Kruk, żeby słodkim chłop się tak upił w trymiga? Nie mógł widzieć tego, co aż nadto oczywiste było dla Cioć Herbatek, które, ciekawe, jaki skutek trutka na

mole wyrwie w tym wypadku, zafascynowane patrzyły na przemianę fryzjera. Cóż za kolor zaczął przybierać, sińców nie z tego świata niebieskawą, niby trupią, ale jakoś piękną, piękną urodą ogników bagiennych, które Cioce Herbatki widywały, gdy późną jesienią zapuszczały się po żurawinę aż na mokradła koło Kocierzowy. Żegnały się wtedy, ale bardziej z przyzwyczajenia niż strachu, bo o wiele straszniejsze rzeczy widziały w życiu, i patrząc na tłący się płomyk, zastanawiały się, czyja to dusza tak na bagnach się męczy, mężczyzny czy kobiety, duch to czy duszna? Tym razem nalala Róża, a ręka Tadeusza Kruka wysunęła się w kierunku kieliszka wbrew jego woli; puścił drugą bańkę, czknął, wypił, kropla o niebieskim połysku popłynęła mu po brodzie i zamarła na jej skraju jak klejnot. Jeszcze nigdy nie był tak piękny Tadeusz Kruk, bo nalewka Cioć Herbatek wypaliła w nim zło, które poddawało się płomieniowi jak suche włosy, płonęło, wciąż płonęło, aż nie miał wewnątrz nic prócz popiołu w kolorze sroczych jajek. Przy szóstym kieliszku fryzjer Tadeusz Kruk zeszytywniał na amen z dłonią zacisniętą i palcem odgiętym, a jego wciąż żywe oczy nie mogły zamknąć się z przerażenia, gdy zrozumiał, że dał się nabrać, i zaraz stanie się coś jeszcze gorszego. Cioce Herbatki spojrzały na siebie w milczeniu, bo nie potrzebowały słów, by się porozumieć, a Tadeusz Kruk był już tylko pustą skorupą człowieka, palubą o tęczówkach tak ciemnych jak wydłubane gwoździem dziury. Gdyby pożar, jaki rozpętała w nim trutka na mole, natrafił na choćby najmniejszy okrucieństwo niepalny, dałoby się go uratować, a tak tylko westchnęła Aniela, Róża westchnęła. Wyszły z pokoju i po chwili wróciły z beczką do kisze-



nia kapusty, a była tak wielka, że z trudem przepchały ją przez drzwi; westchnęła Aniela, Róża westchnęła, podstawily beczkę i włożyły do niej fryzjera Tadeusza Kruka głową w dół. Pod pantoflem, który spadł, miał dziurawą skarpetę, paluch wystawał z niej zwieńczony żółtawym paznokciem, westchnęła Róża i upchnęła stopę fryzjera, Aniela westchnęła, podniosła i wrzuciła do beczki but, wzięwszy go w dwa palce jak jakaś dama. Wieko przybiły na cztery ręce, przewróciły beczkę i wytoczyły do sieni. Róża uchyliła drzwi i wyjrzała, ogród był cichy i pusty, pozbawione liści drzewa odcinały się od nieba. Szło na mróz, ale ścieżka biegnąca w dół do Kamionki wytapiała się w pierwszym śniegu jak czarna wstążka, bo Ciocie Herbatki po południu posypały ją solą.

Za godzinę wróci Grażynka ostatnim pociągami z Radomska, trzeba się śpieszyć; westchnęła Aniela, Róża westchnęła, gdzieś daleko zaszczekał pies, wiało mrozem, kolejne gwiazdy zapalały się z trzaskiem. Ciocie Herbatki zarzuciły kufajki, włożyły walonki i zepchnęły beczkę po trzech kamiennych schodach, potoczyła się wprost na ścieżkę, jakby знаła drogę, jej zawartość załomotała; Róża i Aniela jak na komendę przyłożyły palec do ust, ciii. Ciii, i obłoczki pary z ich ust. Do furtki poszło łatwo, tylko raz musiały użyć siły, szepcząc raz-dwa-trzy, gdy beczka zeszła z kursu i utknęła w krzakach agrestu. Wyjrzały na drogę, pusto, ciii. W oddali ciemniała wieża kościoła, a w bożnicy przerobionej na przychodnię zapaliło się światło, zaśniły kryształki wody na przydrożnych chwastach. Nikogo? zapytała Róża; ciii, nikogo, Aniela westchnęła. Przepchnęły beczkę przez drogę, a potem już potoczyła się sama w dół do rzeki Kamionki, Ciocie

Herbatki za nią jak w dym. Gdyby woda przy brzegu nie zamarzła, byłoby już po sprawie, popłynąłby fryzjer z Kamieńska do Bałtyku. Tymczasem beczka ślizgiem poszła i zatrzymała się na lodzie tuż obok nurtu czarniejszego niż noc, pełnego gwiazd w nim odbitych, płynących ku morzu. Rzadko w listopadzie zdarza się taki mróz. Co za pech! Westchnęła Aniela, Róża westchnęła, wzięły się za ręce, a te, które miały wolne, rozpostarły dla równowagi, jakby wchodziły na liny obok siebie równolegle rozciągnięte – najpierw palce, potem reszta stopy, krok po kroku z oczami utkwionymi w beczce. Ciocie Herbatki bały się wody i nawet balia pełna deszczówki wydawała im się zbyt obfitym nagromadzeniem żywiołu, który przerażał je dlatego, że był tak piękny. Mój Boże, wzdychała Aniela albo Róża wzdychała, patrząc na usianą owadami powierzchnię, mój Boże, jaka to potęga z tej wody, żegnały się, nabierając garnkiem trochę na mycie głowy. Teraz ostrożnie stawiały stopy w walonki obute, trzeszczał lód, jakiś ptak krzyknął, zamilkł, beczka z Tadeuszem Krukiem była tuż-tuż. Ja popchnę, powiedziała Aniela. Nie, ja, sprzeciwiła się Róża. Westchnęła Aniela, Róża westchnęła i razem zrobiły jeszcze trzy kroki. Już! Obie popchnęły fryzjera w czarny nurt i wtedy lód trzasnął. Jak strasznie trzasnął lód! Beczka z Tadeuszem Krukiem podskoczyła i popłynęła, podskakując na czarnych falach, trzask ucichł, słyszeć było tylko plusk, przybrzeżne osiki drżały. Ciocie Herbatki odetchnęły, no to po wszystkim, ale tym razem one dały się nabrać. Gdy odwróciły się, by wrócić na ląd, zobaczyły, że między cienką krą, na której stoją, a lodem rośnie czarna krecha wody. Przed nimi woda, za nimi woda i żadnej arki na



horyzoncie, a jeśli nawet by się znalazła, kto zaprosiłby na nią dwie stare panny morderczynie? Westchnęła Aniela, Róża westchnęła, chyba skoczyć będzie trzeba, ale zanim się odważyły, straciły równowagę. Świat fiknął koziółka i niebo znalazło się na ziemi, a ziemia na niebie, z drzewami rosnącymi na wspak, z wieżą kościelną górą do dołu zwisającą jak sopel, z rzeką Kamionką, która płynęła jak gdyby nigdy nic, z dwiema parami nóg w walonkach, które z rzeki przez chwilę wystawały, powierzyły, znikły.

Co za ciemność była pod wodą, srebrna i gęsta jak rtęć! Ani Róża, ani Aniela nie rozpoznawały, która kończyła w plątaninie rąk i nóg mlóących na oślep do kogo należy; dopiero gdy dwie dłonie splotły się w jedno, wiedziały: Róża, pomyślała Aniela, Aniela, Róża pomyślała, a nurt niośł je coraz dalej od Kamieńska. Koło łachy piasku zwanej Juratą, na której latem bawiły się dzieci, wyprzedziły beczkę z fryzjerem Tadeuszem Krukiem, i płynęły dalej, wciąż trzymając się za ręce, gubiąc kolejne części garderoby. Dziwne, w ogóle nie czując zimna, pomyślała Róża, a może to była Aniela, bo jednomyślnie im się myślało i płynęły w ciemności pełnej potopionych gwiazd, które, wirując, opadały na dno, kanciaste skrawki odbitego światła ramionami zaryte w piasek. Pod drugim mostem Ciocie Herbatki przepłynęły już nagie, znikły ich zmarszczki, zwisająca skóra, odrosły włosy, wypełniły się piersi, które wcześniej wyglądały jak woreczki z piaskiem: pięknie westchnęła Róża, pięknie Aniela westchnęła.

Nagie piękno odmienionych Cioć Herbatek nikogo nie zachwyci prócz pijanego dróżnika Wacława Pajaka.

Po wojnie objął stanowisko po Barnabie Midziaku i okazało się, że pociągi budzą w nim taki smutek, że zaczął pić, by jakoś znieść ich codzienne znikanie w oddali, a gdy się upił, robiło mu się jeszcze bardziej markotno. Wszelki duch Pana Boga chwali, jęknął i oczy w wodę wlepił, syreny? Syreny! Będzie przysięgał potem Wacław Pajak, w chudą pierś pięścią bił się, że dwie syreny w Kamionce widział jak żywe. Syreny! Na moście stał, bo, za przeproszeniem, musiał zrobić siku, a trochę trwało w jego wieku i kondycji, więc gdy zrobił, nadal stał, bo zapomniał, z której strony w którą szedł, i czy szedł dokądś, nie był pewny, czy może skądś wracał. Po jednej stronie stania miał most i most miał po stronie drugiej, jakże tu zdecydować, gdy po jednej stronie mostu ciemność i ciemność po drugiej taka sama. Stał więc i czekał Wacław Pajak na jakiś znak, w wodę patrzył, a tu nagle, Matko Boska i Wszyscy Święci! w rzece włos długi, kręty, złoty, najzłotszy, dwie głowy, czworo rąk, i nie nogi, lecz ogony, ogony rybie dwa, ogonami chlasnęły syreny, chlast, i ten chlast nocną ciszę na moście przeciął jak nóż. Plusk i chlast ogonów, husek blask, zamęt, błysk, gwiazdny pył, syreny. Syreny w rzece Kamionce, już nic piękniejszego w życiu nie zobaczy, co do tego nie miał wątpliwości Wacław Pajak, dróżnik ze stacji Kamieński. Ani żona, ani światło elektryczne do chałupy pociągnięte, ani świąteczna wyżerka, nic z tego, od tej nocy syreny tylko były mu w głowie na jawie i we śnie, ach, gdyby tak któryś z pociągów zawiózł go do krainy syren, wtedy byłby szczęśliwy i przestał pić. Przyszła wiosna, a dróżnik Wacław Pajak wciąż śnił o syrenach w Kamionce i przespął pośpieszny do Warszawy, oraz pierwszy oso-



bowy do Radomska; obudził go dopiero huk niezwykły, gdy towarowy uderzył w tył osobowego, wykoleił się i zasypał tory paroma tonami cukru, który jechał do Wrocławia; dzieciaki z Kamieńska i okolic nigdy się tak słodkiego nie obżarły, a co cwańsi z workami raz-dwa przybiegli i na handel nabrali. Wacław Pająk zamknął to na dwa lata w zakładzie karnym w Radomsku, gdzie źle mu nie było, bo i wikt, i opierunek, a żonie nieraz udało się przemycić dla niego flaszkę w wydrążonym bochenku chleba. Tam zaczął czytać, choć wcześniej go do książek nie ciągnęło, a najlepiej mu się czytało, gdy było coś o syrenach; wtedy czytał tak długo, aż coś zaczynało w nim recytować samo z siebie i nie mogło przestać: Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic, co zdradzą tych wszystkich, jacy tylko o nie tam zawadzą. Szaleniec, kto się zbliży i Syren tych śpiewy usłyszy. On nie ujrzy nigdy, póki żywy, ni małżonki, ni dzieć, ni ziemi rodzinnej: tak go zczaruje śpiew tych Syren słodkopłynny. Wacław Pająk wrócił z więzienia i gdy tylko usiadł w barze Kurka, który powstał na miejscu zakładu Tadeusza Kruka, zaczął opowiadać o syrenach.

Przez dwa lata odsiadki tak mu się talent do gadania rozwinął, że mężczyźni milkli, żarty cichły, zamknij dziób, jeden drugiego uciszał, wykrzywiając twarz szyderczo, że niby jaja sobie robią z byłego dróżnika, kto by takie brednie brał poważnie, srututu, syren się chłopu zachciało, bimber mózg mu wypalił. Żaden nie przyznawał się, że naprawdę ciekawi byli tych syren śpiewających, słodkopłynnych, ogonami chlastających, syren, które wcześniej jakoś nie zapuszczały się do Kamieńska. A wtedy, mówił były dróżnik Wacław Pająk, gdy na mo-

ście stałem i dumalem, syreny! Najśpiętniej coś jakbym śpiew usłyszał. Ale jaki! Nie żadne wyjęcie, ale jakby na najlepszym dansingu w tym mieście, w żadnym radiu takiego śpiewu nie słyszałem, a jakby głośno, prosto do uszu, a jakby słodkopłynny! Słodkopłynny, a Mariusz Gwóźdź, a jakby słodko-co? ale Wacław Pająk tymczasem w nowo zapadłej ciśnień, a jakby piącej na astmę bufetowa Kurka, ale patrzył tak, jakby nie chciał, i to nie tu, w barze Kurka, ale: Mnie jednemu li wolno słuchać śpiewu, lecz trzeba mnie przywiązać k'masztowi drzewu; Matko Boska, wzdychała bufetowa Krysia, żeby do drzewa przywiązywać, toż to dzicz jakaś, panie Pająk. Pan powie lepiej, jak i co od początku. A więc było to tak, ciągnął swoimi słowami Wacław Pająk, pochyliłem się z mostu, a one do mnie, Wacławie Pająku, przemówiły, a jak syrena przemawia, to tylko śpiewem jak w loperze, śpiewem słodkopłynnym. Taka syrena nie musi też o nic pytać, po oczach imię człowieka czy zwierzęcia poznaje, a po samym dotyku imię rzeczy, i to w każdym języku. Po czechosłowacku, po rusku, po afrykańsku, po francusku! Wacławie Pająku, przemówiły śpiewem, tyś na tym moście nie przez przypadek się znalazł, o nie, my miałyśmy w tym swój plan. Wybrałyśmy ciebie, boś jest porządnym człowiekiem, a my porządnego człowieka umiemy rozpoznać, nasz wzrok sięga prosto do serca. Ciii, bufetowa Krysia uciszyła parsknięcia śmiechu, bo niektórym jakoś



i zapo... nierów, których przy  
odro... lepszy. Na pewno  
nie c... wniała się Sara. Do-  
minika nie en... , mówiła, może w przyszłym  
roku.

Sara i Dominika przyjechały do Gelnhausen w wio-  
senny dzień; nad miasteczkiem płynęły obłoki tak białe  
i pulchne, jakby namalowało je dziecko. Chmurdalia, Do-  
minice przypomniła się kraina, którą wymyśliły z Mał-  
gosią Lipką podczas wagarów na dachu Babela. Chmur-  
dalia, piękna Chmurdalia, obie chciały ją znaleźć, obie  
były pewne, że istnieje, gdzieś daleko od Piaskowej Góry.  
Aniela Wolf, zamężna córka Grażynki, mieszkała w wiel-  
kim domu, którego ascetyczny wystrój nie zachwyciłby  
jadzi, chociaż drewniane podłogi lśniły czystością, dy-  
wany miękkie niczym sierść jakichś dobrych, łagodnych  
zwierząt wyczesane były z włosiem i pod włos, a sosnowe  
meble pachniały lasem. Dominice podobały się abażury,  
papierowe kule, lekkie, półprzezroczyste; na Piaskowej Gó-  
rze żyrandole musiały być solidne, niczym wielkie paję-  
ki przycupnięte pod sufitem. Dominika i Sara zamiesz-  
kały w dwupokojowym domku gościnnym, ale główny  
dom był dla nich otwarty. W wolnych chwilach pomaga-  
ły Anieli w kuchni albo siedziały w pracowni stolarskiej  
jej męża, który robił na zamówienie meble, repliki anty-  
ków francuskich i włoskich, pożądane przez zamożnych  
mieszkańców Niemiec; złote ostrużyny drewna pokrywa-  
ły podłogę jak ścięte loki całego tłumu blond piękności.  
Państwo Wolf mieli godną podziwu umiejętność mil-  
czenia, kiedy trzeba było milczeć, i nie pytali, czy macie  
zamiar wracać, czy ściągać rodzinę? Wystarczyło im, że

Dominika i Sara zostały polecane przez Grażynkę, i nie  
narzucali się ze swoim towarzystwem, tylko zgadywali,  
pewnie chcielibyście pojechać na wycieczkę do leśnego  
zoo, i po półgodzinie byli wśród drzew, a melancholijne  
łosie podchodziły do ogrodzenia, by dać się pogłaskać  
po pyskach delikatnych w dotyku jak mech.

W należącej do Anieli cukierni Calypso oprócz  
Dominiki i Sary pracował starszy cukiernik, miejscowy  
Niemiec imieniem Helmut, i Ivo, cukiernik artysta, jak  
sam o sobie mówił. Ivo, młody Amerykanin z miasteczka  
Harrison w stanie Arkansas, ze względu na nienaganną  
prezencję i talent do języków był w Calypso również kel-  
nerem. Gdy Dominika zobaczyła Ivo po raz pierwszy, mył  
pod kranem pomarańcze i w blasku słońca miało się wra-  
żenie, jakby przez kuchnię płynęła rzeka pełna lśniących  
drobinek światła; przyszła jej do głowy dziwna myśl, że  
tak mogłaby wyglądać jej zmarła siostra bliźniaczka, wy-  
soka szczupła blondynka o niebieskich oczach i prze-  
rzystej cerze. Hej, krzyknął Ivo i rzucił w stronę Domini-  
ki pomarańczą jak piłką, hej, jestem Ivo, król czekolady,  
witam w krainie słodyczy. Jestem artystą, a nie po pro-  
stu cukiernikiem, tłumaczył Ivo, oto różnica, i malował  
cukierniczym pędzlem ze szczeciny dzika czekoladowe  
esy-floresy na marmurowym blacie, a potem, hokus-po-  
kus! jednym pchnięciem paznokcia Ivo przesuwając wy-  
styglą czekoladowy kształt i podnosi, by wszyscy mogli  
podziwiać rajskiego ptaka, żyłkową strukturę liścia,  
gałąź drzewa z ciemnej czekolady pokrytą białocze-  
koladowym szronem. Jedź! podaje czekoladowe чудо  
Dominice; ona je, Ivo opowiada, tak to od początku  
wyglądało,



Ivo mówi szybko, dużo, przede wszystkim o słodyczach, jego opowieść jest jak śmietana ubijana elektryczną trzepaczką, rośnie, rośnie i wszyscy oprócz Dominiki proszą od czasu do czasu, by w końcu się zamknął, bo głowa pęka od tego gadania. Dominika cierpliwie słucha, zjada robione przez Iva desery i czeka, bo od kiedy zobaczyła w nim siostrę bliźniaczkę, czuje, że pod lukrem jest jakaś inna opowieść, dzięki której zrozumie tajemnicę ich pokrewieństwa. Mów, Ivo, zachęca go i młodego cukiernikowi nie trzeba tego powtarzać, nawet jeśli przed chwilą udawał obrażonego, bo Sara kazała mu zamilknąć, na miłość boską, a Helmut wrzasnął, ruhe! Ivo ma dwie opowieści, którymi raczy Dominikę i tych, którzy znajdują się w polu rażenia jego słów. Pierwsza dotyczy przyszłości i młody cukiernik opowiada ją tak, jakby lukrował tort, tu wszystko kapie od słodyczy. Paryż, moja droga, mówi Ivo i gestykuluje, wymachuje trzepaczką albo końcówką miksera, w jego niebieskich oczach zapalają się iskry, jakby patrzył na patyczki zimnych ogniów, którymi w Calypso ozdabia się desery dla dzieci i zakochanych. A więc Paryż, zdobędzie tutaj doświadczenie i wróci do Paryża, gdzie otworzy własny lokal, będzie się tam zajmował tylko czekoladą; czekolada do picia w filiżankach, żadnych papierowych kubków; musy, pralinki, sosy czekoladowe, figury z czekolady czarnej, brązowej i białej, bomboniery pełne czekoladowych cudów; to nie wszystko, czekoladowe suflety, tak, suflety to prawdziwa sztuka i wymagają talentu, trzeba wyjąć je w momencie wyważonym z chirurgiczną precyzją, hyle rzemieślnik nie robi tego, jak należy. Kunszt Iva docenią w miejscach tak prestiżowych, jak Pierre Hermé czy Dalloyau;

wkrótce stanie się dla nich konkurencją, będą wysyłać pomocników kuchennych na zwiady, by nocą wwąchiwali się w aromaty wydostające się z jego czekolaterii Croissant du galant. Pokażę ci zdjęcia moich dzieci, mówi Ivo i wyciąga album z fotografiami cukierniczych dzieł. Poważnie podchodzi do kariery; zanim nadejdzie era wielkich triumfów na arenie paryskiej, przygotowuje sobie portfolio z konkursów i pokazów, w których odniósł już pierwsze sukcesy. Kiedy zacząłeś o tym marzyć? Czy masz w rodzinie cukierników? Skąd ta czekolada? pyta Dominika, ale Ivo nie da się łatwo zbić z tropu, gdy zwęszy swoją piękną przyszłość. Już się taki urodziłem! zbywa ją i, voilà! karmi kawalkiem marcepanu w pomarańczowej czekoladzie, wiśnią nasączoną likierem amaretto i zanurzoną do połowy w waniliowym musie, do którego dodał, ach, to jego tajemnica, co. Ivo śledzi twarz dziewczyny jak początkujący kochanek, niepewny, czy sprawił nową pieśczętą przyjemność partnerce, a Dominika uczy się smaków kardamonu, chili, prawdziwej wanilii, których nie знаła wcześniej, bo na Piaskowej Górze był tylko cukier wanilinowy, pieprz i sól. Otwórz buzię, kochana, gorzka ciemna czekolada z orzechem makadamii, prosi Ivo i wkłada jej do ust lśniąca kulkę. Co dalej, mów, prosi Ivo Dominika, mów, a ja zjem resztę makadamii. Podczas południowej przerwy w pracy Sara idzie z Helmutem na kebab, a Dominika i Ivo siadają razem na schodach; Ivo opowiada, a Dominika wyjada z metalowego pudełka połamane ozdoby z karmelu, oklapłe róże cukrowe, literki, które trzeba było odkleić z tortów, bo wyszły koślawe, nieudane srebrne perełki z cukru, które lśnią jak rozsypana rtęć, cienkie i chrupiące skraw-



Ivo mówi szybko, dużo, przede wszystkim o słodyczach, jego opowieść jest jak śmietana ubijana elektryczną trzepaczką, rośnie, rośnie i wszyscy oprócz Dominiki proszą od czasu do czasu, by w końcu się zamknął, bo głowa pęka od tego gadania. Dominika cierpliwie słucha, zjada robione przez Iva desery i czeka, bo od kiedy zobaczyła w nim siostrę bliźniaczkę, czuje, że pod lukrem jest jakaś inna opowieść, dzięki której zrozumie tajemnicę ich pokrewieństwa. Mów, Ivo, zachęca go i młodeму cukiernikowi nie trzeba tego powtarzać, nawet jeśli przed chwilą udawał obrażonego, bo Sara kazała mu zamilknąć, na miłość boską, a Helmut wrzasnął, ruhe! Ivo ma dwie opowieści, którymi raczy Dominikę i tych, którzy znajdują się w polu rażenia jego słów. Pierwsza dotyczy przyszłości i młody cukiernik opowiada ją tak, jakby lukrował tort, tu wszystko kapie od słodyczy. Paryż, moja droga, mówi Ivo i gestykuluje, wymachuje trzepaczką albo końcówką miksera, w jego niebieskich oczach zapalają się iskry, jakby patrzył na patyczki zimnych ogniów, którymi w Calypso ozdabia się desery dla dzieci i zakonanych. A więc Paryż, zdobędzie tutaj doświadczenie i wróci do Paryża, gdzie otworzy własny lokal, będzie się tam zajmował tylko czekoladą; czekolada do picia w filiżankach, żadnych papierowych kubków; musy, pralinki, sosy czekoladowe, figury z czekolady czarnej, brązowej i białej, bomboniere pełne czekoladowych cudów; to nie wszystko, czekoladowe suflety, tak, suflety to prawdziwa sztuka i wymagają talentu, trzeba wyjąć je w momencie wyważonym z chirurgiczną precyzją, byle rzemieślnik nie zrobi tego, jak należy. Kunszt Iva docenią w miejscach tak prestiżowych, jak Pierre Hermé czy Dalloyau;

wkrótce stanie się dla nich konkurencją, będą wysyłać pomocników kuchennych na zwiady, by nocą wwąchiwali się w aromaty wydostające się z jego czekolaterii Croissant du galant. Pokażę ci zdjęcia moich dzieci, mówi Ivo i wyciąga album z fotografiami cukierniczych dzieł. Poważnie podchodzi do kariery; zanim nadejdzie era wielkich triumfów na arenie paryskiej, przygotowuje sobie portfolio z konkursów i pokazów, w których odniósł już pierwsze sukcesy. Kiedy zacząłeś o tym marzyć? Czy masz w rodzinie cukierników? Skąd ta czekolada? pyta Dominika, ale Ivo nie da się łatwo zbić z tropu, gdy zwęszy swoją piękną przyszłość. Już się taki urodziłem! zbywa ją i, voilà! karmi kawałkiem marcepanu w pomarańczowej czekoladzie, wiśnią nasączoną likierem amaretto i zanurzoną do połowy w waniliowym musie, do którego dodał, ach, to jego tajemnica, co. Ivo śledzi twarz dziewczyny jak początkujący kochanek, niepewny, czy sprawił nową pieśczętą przyjemność partnerce, a Dominika uczy się smaków kardamonu, chili, prawdziwej wanilii, których nie знаła wcześniej, bo na Piaskowej Górze był tylko cukier wanilinowy, pieprz i sól. Otwórz buzię, kochana, gorzka ciemna czekolada z orzechem makadamii, prosi Ivo i wkłada jej do ust lśniąca kulkę. Co dalej, mów, prosi Ivo Dominika, mów, a ja zjem resztę makadamii. Podczas południowej przerwy w pracy Sara idzie z Helmutem na kebab, a Dominika i Ivo siadają razem na schodach; Ivo opowiada, a Dominika wyjada z metalowego pudełka połamane ozdoby z karmelu, oklapłe róże cukrowe, literki, które trzeba było odkleić z tortów, bo wyszły koślawe, nieudane srebrne perelki z cukru, które lśnią jak rozsypana rtęć, cienkie i chrupiące skraw-



ki zastygłej czekolady. Starszy cukiernik Helmut wygląda nieraz na zmieszanego w towarzystwie trojga młodych cudzoziemców, z których dwoje jest chude jak patyczaki i wyższe od niego o głowę, a jedno krągłe w sposób nieznany w jego świecie brzuchatych kobiet i mężczyzn. Helmut nie może oderwać oczu od wystających pośladków Sary, choć bardzo stara się zachowywać przyzwoicie, gdy idzie z Sarą przez rynek miasteczka do budki z kebabem, jest dumny jak paw. Ivo nie ma oporów, by mówić do Sary, kobieto z plemienia Khoi-Khoi, mogłabyś stawiać sobie tam doniczkę z kwiatkiem, żartuje z niej, albo używać tyłka jako półki na książki, co za oszczędność miejsca. Nawet wieża stereo by ci się tam zmieściła i dwie kolumny! To i tak mniej niż w twoim tyłku, odpowiada Sara tak, jak umie odpowiedzieć dziewczyna wychowana w nie najlepszej części Brooklynu, i Dominika nie wszystko rozumie, chociaż uczy się szybko. Zobacz, moja droga, Ivo pokazuje Dominice album, gdzie w przezroczystych kieszonkach wszystkie zdjęcia wyglądają podobnie, jest na nich uśmiechnięty Ivo i desery, spiętrzone piramidy makaroników, torty zbyt piękne, by je jeść, pucharki pełne słodczy. Ostatnio w Berlinie, gdzie stanął do pojedynku z wieloma starszymi kolegami, udało mu się dojść do półfinałów; smażone w cukrze płatki róży herbacianej, między nimi kropla czekoladowego kremu, Ivo boi się trochę, by mu ktoś tego pomysłu nie ukradł. Wiadomo, jak to jest. Kto udowodni starszemu i sławnemu cukiernikowi, że to nie on pierwszy wpadł na połączenie herbacianej róży i kremu na bazie gorzkiej czekolady z odrobiną kardamonu i chili? Ostatecznie konkurs na deser przyszłości wygrał Francuz, Sebastian

Chevalier, z Francuzem niby nie wstyd przegrać, bo oni tę sztukę mają we krwi; co się Ivo naczytał o Francji, ich kulturze, Napoleonie, Marii Antoninie, co ciastka żarła zamiast chleba. Tam nawet gilotynowanie miało lekkość, styl i wdzięk. Sebastian Chevalier! Co za brzmienie, muzyka dla uszu, nie to, co Ivo Smith, a powinno być John, tak go nazwali rodzice, John IV Smith, ale Johna IV Smitha Ivo znieść nie mógł, coś to za straszna potwarz być nie dość, że Johnem Smithem, to do tego czwartym z rzędu. Ivo zadrecha siebie i bliźnich w Calypso wspomnieniem Francuza, który wygrał berliński konkurs cukierniczy, bo jakoś tak łakomie na jego deser się patrzył, pytał, czy do kremu użył wanilii z Madagaskaru, czy z Indii, i czy on, tu nos do delikatnej kreacji zbliżył, dobrze czuje delikatną nutę migdałów, czy jednak to kardamonu nuta cicha. Ach, być takim mistrzem jak ten Francuz, z własną cukiernią, dla której nazwę od lat ma w głowie: Croissant du galant, czyli rogalik galanta. Mówilem ci o tym? pyta Ivo, mówileś, ale możesz opowiedzieć jeszcze raz, odpowiada Dominika i pozwala nakarmić się trufłową kulką o nowej recepturze. Ivo Francuzów bardzo podziwia, młoda Francuzka Monique uczyła ich na paryskim kursie sztuki glazurowania, Dominika mu ją przypomina, coś w ustach, coś w kolorze, tylko że tamta zawsze była jak z wybiegu, a to w różowej chancelce, a to w małej czarnej. Na glazurę najlepsze są morele z południa Francji, tu ważne są szczegóły, morela moreli nierówna. Francuzkę od glazurowania Ivo wspomina z zachwytem i gdyby miał w przyszłym życiu urodzić się kobietą, a dzięki buddyzmowi może w to wierzyć, za co jest wdzięczny samemu mistrzowi Guatamie osobiście, to właśnie taką,



Monique z Paryża. W kwestii ponownych narodzin w wersji żeńskiej młody cukiernik musi rozważyć zawilą teologicznie kwestię, czy pragnienie inkarnacji we wcieleniu uważanym za niższe mieści się w ideale dobrego buddysty, który powinien dążyć do doskonałości. Pomyślę o tym potem, błaznuje Ivo i cytuje Scarlet O'Hare, która, oprócz Francuzek oczywiście, jest jedną z jego ulubionych postaci. Francuzki! Francuzki to ideał Ivo i gdyby nie kochał sztuki cukierniczej tak gorącą miłością, być może zająłby się projektowaniem ubrań, do czego, jak podejrzewa, też ma talent, i to prawdziwy. Ivo uważa, że gdyby Bóg miał coś przeciwko jego orientacji seksualnej, nie obdarowałby go tak hojnie talentami, urodą, pogodą ducha i umiejętnością zjednywania sobie ludzi. Bóg, błaznuje Ivo, jakkolwiek go nazwiemy, nie jest złym facetem. Mam mnóstwo szczęścia. Od dziecka! Ivo de Paris, właściciel cukierni Croissant du galant, oto jego przyszłość! Żaden Ivo Smith, a już na pewno nie John IV Smith, czy Junior, zwany tak przez rodzinę dla odróżnienia od ojca Johna Smitha Seniora, o nie, on będzie znany w branży po prostu jako Ivo z Paryża, właściciel Croissant du galant. Tylko żeby nikt mu nie ukradł pomysłu. Nie powiesz nikomu? Nie powiem, śmieje się Dominika i przewraca oczami w grymasie, który na mgnienie oka upodabnia ją do Jadzi, jakby jej matka we własnej osobie zajrzała do cukierni Calypso w Gelnhausen i stwierdziła, że istne fiksum-dyrdum się tu wyprawia. Ivo mówi, że gdyby pochodził z rodziny sławnych cukierników, jego marzenie o byciu na swoim już by się dawno ziściło; mógłby na przykład założyć własną czekolaterię jako część rodzinnego imperium.

Dominika łapie trop, który prowadzi w przeszłość jej cudownie odnalezionego bliźniaka, i pyta o jego rodzinę, co robią, jacy są, ale Ivo znów umyka jej zakosami w bezpiecznym kierunku przyszłości. Ach, Croissant du galant, Paryż, najelegantsze sklepy będą zamawiać u Ivo świąteczne bomboniery, sama królowa brytyjska będzie chrupać jego czekoladki i nie dostanie po nich zatwardzenia. Rozkaże, czekoladki tylko z Croissant du galant, i może nawet zaprosi go kiedyś na herbatkę do pałacu Buckingham.

Ivo i Dominika odkrywają, że mają wspólną pasję oprócz słodczy, pływanie, i każdą wolną chwilę spędzają na krytym basenie w Gelnhausen, gdzie najpierw przepływają kilkadziesiąt długości basenu szybką żabką, a potem moczą się w jacuzzi tak długo, aż ich skóra marszczy się, a oczy łzawią od chloru. Opowiadaj, mówi Dominika, opowiadaj, dopóki nie zrobię się głodna. Powiedz mi o swojej rodzinie, wszystko i dokładnie. Przyszłość Ivo jest lukrowana, słodka, przeszłość jak z komiksu, okazuje się, że po chwilowym oporze ta historia też płynie wartko. Ivo pochodzi z miasteczka Harrison, miasteczko Harrison w stanie Arkansas, mówi. Tata, mama, dwie siostry i ja, John IV Smith, biały dom, duży ogród. Ojciec Ivo, John III Smith, posiada w Harrison firmę Posejdon produkującą gadzety do wyposażenia łazienek i radzi sobie świetnie, bo nie inaczej radził sobie ojciec ojca, czyli John II Smith, i ojciec ojca ojca, John Pierwszy. Tylko ja, mówi Ivo, wyłamałem się i zamiast pójść w ojców ślady, zboczyłem. Miasteczko Harrison, w którym urodziło się kilka pokoleń Smithów, liczy niewiele ponad dziesięć tysięcy mieszkańców i prawie wszyscy są



biali, ojciec Ivo zawsze podkreślał, że to dobre miejsce do życia i spełniania amerykańskich marzeń. Pokazywał synowi domy tych, którym się udało, i przyczepy kempingowe nieudaczników, na jednych i drugich nadal powiewają sztandary konfederacji; John III Smith patrzył wymownie w oczy syna, jakby chciał zajrzeć do wnętrza jego czaszki i zobaczyć przyszłość świetlaną, wykonaną według ojcowskiego projektu. Jego oczy, mówi Ivo, przewiercały mnie na wskroś. Przebijały strzałami jak świętego Sebastiana! Oprócz jednej z największych w kraju grup Ku-Klux-Klanu i jej przywódcy, pastora Thomasa Robba, miasteczko Harrison niewiele więcej ma światu do zaoferowania, ale ojciec Ivo uważał, że to wcale nie jest mało i świat, obojętny wobec tego miejsca, powinien je w końcu docenić. Ojciec Ivo nie podziela radykalizmu pastora i nie jest rasistą, co to, to nie, prycha Ivo i naśladuje rodzica, nie jestem rasista, ja tylko popieram białych, tak jak czarni czarnych. Czy my, biali, nie możemy mówić, że jesteśmy dumni ze swojego koloru skóry? Myślałam, że Rycerzy Ku-Klux-Klanu już nie ma, że wyginęli jak dinozaury, dziwi się Dominika. Musisz przyjechać do Harrison i poznać moją ciocię Mary, która szyje togi, przekonasz się! Widziałeś ich? Rycerzy? Pewnie, że widziałem, moja droga. Gdy mały Ivo po raz pierwszy zobaczył Rycerzy Ku-Klux-Klanu w strojach roboczych, aż buzię otworzył ze zdumienia i zachwytu. Ojciec myślał, opowiada Ivo, że do mojej młodej główki trafiły nauki pastora Robba, ale ja, ja, moja droga, stałem jak rażony gromem z zachwytu! Z zachwytu? Oczarował mnie widok mężczyzn w białych sukienkach z kapturami, w nakryciach głowy jak kapelusz wróżki. Jakie to było piękne!

Pomyślałem, że ja też tak chcę. Miałem może pięć, sześć lat i dotąd widziałem tylko mężczyzn w dżinsach i flanelowych koszulach, a tu nagle białe suknie i ten nastrój, świeca w dłoni! A więc za wróżki mogą się przebierać nie tylko dziewczynki, nie wszyscy chłopcy muszą udawać nudnych kowbojów, generałów. Ivo wcześniej marzył o kostiumie małej syrenki, ale teraz pomyślał, że może jednak wróżka. Mężczyźni w białych sukienkach trzymali w dłoniach świece, płomyki rzucały świetliste cienie na ich poważne twarze, noc wokół była gęsta i ciepła. Co za noc, moja droga, wzdycha teatralnie Ivo. Byłem taki poruszony. Podniosłem wzrok na ojca. Czy te sukienki występują tylko w białym kolorze? O wiele lepiej wyglądałyby na przykład fioletowe, do tego trochę ozdób, jakieś falbanki, może boa? I buty! Tato, buty, które oni mają, w ogóle im nie pasują. Mój tata, John III Smith, krzywi się Ivo, był rozczarowany, do dziś pamiętam, jak na mnie ryknął: to był początek końca naszej ojcowsko-synowskiej miłości. John III Smith nie poddał się jednak bez walki i skoro przyuczenie do życia w męskości za pomocą Ku-Klux-Klanu nie udało się, postanowił za młodu wdroić syna do męskiej produkcji. Posejdon, czyż to nie piękna nazwa? Hala Posejdona była duża i jasna, ileż tam było cudów, moja droga, opowiada Dominice Ivo. Deski klozetowe z przezrzystego pleksiglasu, a w nich zatopione muszle i rozgwiazdy, małe rybki, drobiny brokatu, ażurowe wodorosty, ułożone w piękne kompozycje imitujące podwodny świat. Złożone z greckim wzorem dookoła puszczonego, w kolorze terakoty, sjeny palonej, a na to rzucone freski z Pompejów! Dalej anioły Rafaela! Wenus Botticellego! Ogród Monet! Madonna



Leonarda! Bo to seria artystyczna Art In Your Bathroom, wytłumaczył John III Smith. Kłapy i deski imitujące cętki geparda, pasy zebry, tygrysie pręgi, całe tygrysy rozplaszczone, lypiące oczami, papugi wśród zieleni, małpy – to wszystko w serii afrykańskiej Exotica. Obok we wzory kwiatowe, lilie, orchidee, róże, róże w ogromnym wyborze, różowe, herbaciane, pąsowe, a jakie tulipany! żółte na różowym tle, białe na żółtym, różowe na błękitnym, błękitne niezapominajki na różowym, konwalie, stokrotki i bratki, jak prawdziwe, o mięsistych, lekko mechatych płatkach i ciemnych oczkach. No, którą byś chciał, synu? zapytał właściciel Posejdona. I którą chciałeś? ciekawa jest Dominika. Z bratkiem! Odpowiedź nieprawidłowa, bratka mu się zachciewa! Czemu nie z samochodem, z Supermanem, gamoniu? Czy choćby z tygrysem, słoniem jakimś? Bratek! Ręce człowiekowi opadają.

Na kolejne rozczarowania John III Smith nie musiał długo czekać, to dziecko o odstających uszach i chudych kończynach było najmniej udanym produktem, z jakim miał do czynienia, przy czym nie nadawało się ani do naprawy, ani, ze względów humanitarnych, nie można go było zutylizować. Na nic zdawały się ojca próby, syn wolał siedzieć w kuchni z matką i pomagać jej w pieczeniu szarlotki czy ciasta marchwiowego, ozdabiał je z przejęciem i fantazją, której brakowało rodzicielce. Gdy na czterdzieste urodziny małżonka tort podala małżonkowi przybrany pięknie żółtymi kleksami w kształcie róż, ojciec rodziny nabrał powietrza w płuca, by dmuchnąć. Piękny tort! Ten tort, mówi Dominice Ivo, był jednym z pierwszych dowodów mojego talentu! Ró-

życzki na wierzchu to John dla tatusia specjalnie zrobił, pochwaliła mnie mamusia i z tatusia zeszło powietrze przeznaczone na świeczek zdmuchnięcie, jakby go kto nakłuł gwoździem, poczerwieniał jak zawsze przed atakiem astmy. To nie różyczki, sprostowałem, to bratki. Umiał się John III Smith zamachnąć, nie na darmo był w szkole kapitanem drużyny bejsbolowej, i w tym miejscu męskim pragnął po sobie widzieć syna; tort poszybował nad stołem, o włos minął wysoko spiętrzoną fryzurę matki, przeleciał nad etażerką zastawioną przez kolekcję słoni, wyleciał przez okno, gdzie omal nie trafił ogrodnika przycinającego żywopłot, nabrał prędkości, zwiększył wysokość i być może do tej pory krąży po orbicie okołoziemskiej, a generałowie amerykańskiej armii siedzą przed ekranami komputerów i myślą, ki diabeł tak w kółko lata? sprawka to musi być Fidela albo Husajna.

Od tej pory ojciec dostawał ataku astmy przy każdym starciu z synem, a niekiedy na sam jego widok; matka pędziła wtedy w poszukiwaniu inhalatora, którym po chwili zakorkowywała Johna III Smitha i naciskała pompkę z taką werwą, jakby chciała swego małżonka ślubnego napompować jak piłkę. Od tego dnia, gdy tort urodzinowy bratkami przybrany wyleciał przez okno schludnego domu państwa Smith, Ivo nie zamienił już wielu słów z ojcem, który najwyraźniej spisał go na straty. Co za szkoda, że ojcostwo jest interesem, którego nie obejmuje ubezpieczenie! Gdy młodsze siostry Iva nieco podrosły, został wygnany z kuchni, w której matka miała teraz bardziej odpowiednie towarzystwo. Skończyło się wspólne gotowanie; jakże on za tym tęsknił. Wyje-



chał do stanowego college'u i znalazł pracę w lodziarni Basket Robbins, dobre i to na początek, choć stanowczo nie zaspokajało coraz bardziej wybujałych ambicji Ivo. W wolnych chwilach uczęszczał na wszystkie kursy kulinarne dostępne w okolicy, studiował książki na temat deserów, uczył się na pamięć nazw egzotycznych przypraw i kombinacji ingrediencji, o jakich wcześniej nawet nie słyszał, stał z notatnikiem przed witrynami eleganczyk ciastkami i zawsze zamawiał desery w etnicznych restauracjach. Na święta przyjeżdżał do domu i przywoził prezenty, misternie pakowane czekoladki z różowym pieprzem, serem camembert, gorzką pomarańczą; rodzina próbowała i pluć na cztery usta, fuj, co za ohyda, czy naprawdę nie mógłby dla odmiany zjeść Marsa? a Ivo czuł, jak bąbelkuje w nim dziwna satysfakcja, niczym wyrafinowany deser złożony z goryczy odrzucenia i słodyczy, jaką daje poczucie własnej wyższości wobec odrzucających. Co ty za gówno tu znów przywiozłeś? jego ojciec John III Smith wykrzywił się przesadnie, rozdziewiał usta pełne przeżutej masy, wywalął język, by pokazać rozmiar swojego obrzydzenia, a Ivo już obmyślał, jak ubierze się następnym razem, może w fioletowe obcisłe spodnie, i jaki przysmak przywiezie, może szarańczy w cukrze, by jeszcze bardziej pogrążyć rodzinę. Synku, prosiła matka, nie denerwuj tatusia, on serce ma słabe, astmę, ale syn wiedział, że tylko ostateczne zdenerwowanie sprawi, iż John III Smith zrobi to, czego John IV sam uczynić nie jest w stanie, i wykopie go tak, że wyłeci, tam gdzie rodzinna siła przyciągania przestanie działać. To, czego nie udało się dokonać ani za sprawą szarańczy w cukrze, ani japońskich krakersów z wodoro-

stem, dokonało się za sprawą meksykańskiego ogrodnika Jesusa.

Jesus, ogrodnik Jesús, o Jezu, gdy Ivo o nim mówi, Dominika czuje, jak pikantny komiks pokrywa się różowym lukrem, takim, jakim w Calypso ozdabiają torty urodzinowe dla dziewczynek. To była miłość od pierwszego wejrzenia! Ty i Jesus? upewnia się Dominika. Tak! Ja i Jesus, moja droga. Ivo przyjechał w odwiedziny z plecakiem pełnym szarańczy w cukrze z azjatyckiego sklepu oraz własnoręcznie przyrządzonych smażonych fiolków z imbirem, by poinformować rodziców, że dostał stypendium na trzymiesięczny kurs we Francji w międzynarodowej akademii cukierniczej. Zobaczycie minę ojca, do którego dotrze okrutna prawda, że nie musi już dawać synowi pieniędzy i radość z tej zależności zostanie mu odebrana, żadnego więcej rzucania czekami, żadnych zabaw z cofaniem ręki. O tak, lubił sobie John III Smith żartować, opowiada Ivo, wymachiwał czekiem przed nosem syna marnotrawnego, jakby to była brzytwa, którą poderżnie mi gardło, albo nagle zamierzał się, markując cios, i mówił, uch ty, gnojku popapwany. Przeciwiczył Ivo swój występ na rodzinnym łonie; kulminacją miało być przedstawienie planu, który teraz wydawał się bardziej prawdopodobny, wręcz w zasięgu ręki. Cukiernia w Paryżu! Croissant du galant. Zaproszę was na otwarcie, tak miałem powiedzieć na koniec, zaproszę was i przyślę bilety. Reakcja rodziny daleka była od wymarzonej; siostry parsknęły śmiechem, ojciec powiedział, jeszcze ci się, synu, wody do dupy naleje u tych żabojadów, i tylko matka szepnęła, jak miło. Jak miło, prawda? powtórzyła, szukając aprobaty u rodziny, ale jej córki już wstały od



stołu i włączyły MTV, a mąż ukrył się za gazetą jak za plażowym parawanem, z za którego dochodziło jego astmatyczne sapanie. Matka i syn popatrzyli na siebie i matka chciała chyba po raz trzeci powtórzyć, jak miło, ale Ivo za bardzo bał się łez wzbierających pod powiekami, zrobił więc do rodzicielki głupią minę i wyszedł do ogrodu, gdzie Jesus podlewał właśnie trawnik. Widoczek jak z okładki harlequina, zachodzące słońce, kropelki wody, niebo w kolorze kremu poziomkowego i Jesus z wężem sikającym fontanną perlistych kropel, moja droga. Uśmiechnął się Jesus, oblizał usta, a potem już poszło; o Jezul Ojciec nakrył ich w szopie na narzędzia, gdzie na stole używanym przez Johna III Smitha do majsterkowania kochankowie uprawiali sprawne i rytmiczne 69. Mało się nie udławilem, moja droga, opowiada Ivo, gdy ojciec gwałtownie otworzył drzwi i wrzasnął. Zanim ojca powalił atak astmy, zdążył cisnąć puszką szarańczy w cukrze tak niefortunnie, że wyrzuciła w matki kolekcję porcelanowych słoni, powodując nieodwracalne spustoszenie w ich kruchej populacji, po czym wyrzucił syna z domu z zakazem powrotu. Zboczeniec pod jednym dachem z nim mieszkać nie będzie, tak mi powiedział, potwór. Moja obecność mogłaby wykrzywić siostry, które były jeszcze tak cudownie zwyczajne, nastolatki o włosach w kolorze kukurydzy, nieudolnie wyskubanych brwiach i ustach zlepionych błyszczkiem, jakby nażarły się malin. Od tej pory Ivo nie odwiedzał miasteczka Harrison i się tam nie wybiera, nie ma mowy; czasem wymienia listy z matką, krótkie i mało treściwe.

Jego wyrzucili, ogrodnika Jesusa zostawili jeszcze parę dni, żeby skończył strzyc żywopłot, dopowiada

Ivo. Żeby skończył strzyc żywopłot, powtarza Dominika niepewna, czy dobrze rozumiała, tak, moja droga, potwierdza Ivo. Ivo może wrócić do domu, do Harrison, tylko wtedy, gdy znormalnieje, takie wieści przekazuje mu w zawołowanej formie rodzicielka. Gdybym znormalniał, mówi Ivo i pożera banana w mlecznej czekoladzie, gdybym się ożenił. Na znormalnienie nie zapowiada się na razie; wprawdzie z ogrodnikiem Jesusem kontakt się urwał, ale Ivo ma serce jak koszary i teraz właśnie do koszar go ciągnie. Koło Gelnhausen stacjonuje amerykańska armia, w okolicznych pubach można spotkać żołnierzy, piją niemieckie piwo i mówią, że jak na europejskie, to nawet niezłe jest to piwko; nie takie jak w domu, ale ujdzie. Biję od nich zapach kąpieli i potu, męskiej młodości podszytej ledwo co minioną chłopięcością. Jeśli przyjdzie im pojechać w niedalekiej przyszłości do któregoś z krajów, które wydają się złożone tylko ze skał, piasku i wyjątkowo przebiegłych partyzantów o długich brodach, ich chłopięcość zostanie starta bez śladu, niekiedy razem z życiem. Piją więc piwo na zapas, mówią głośnie, niż trzeba, nieustannie klepią swoich kolegów po ramionach, jakby upewniali się, że nie są sami. W Gelnhausen jest dobrze, spokojnie, choć trochę nudno; amerykańscy żołnierze znajdują sobie dziewczyny, znajdują sobie chłopaków, to drugie znajdowanie przebiega w sposób mniej jawny, choć równie skuteczny. Kontakt nawiązuje się najpierw na odległość, a potem można go związać ciaśniej w ruinach zamku Barbarossy, który za dnia i nocą jest główną atrakcją turystyczną miasteczka. Ivo gotów jest zakochać się od pierwszego wejrzenia po raz trzeci, gdy przychodzi list od jego matki, która informuje



go, że ojciec złożony astmą i chorobą serca jest w szpitalu, stan ciężki. Matka zdobywa się na bezpośredniość o wiele łatwiejszą listownie i gdy Johna III Smitha nie ma w zasięgu, z którego mógłby wrzasnąć lub rzucić czymś w jej kierunku. Jej zdaniem, w ostatnich latach głowa rodziny coraz szczelniej wypełniała się niechęcią do pierworodnego, który zawiódł na całej linii, i kto wie, czy to nie owa niechęć doprowadziła do zaburzenia wewnętrznej równowagi i beznadziejnej choroby. Senior chwycił się za serce, zaaplikował sobie kilka dawek spreju przeciw astmie i zmienił testament; o tym fakcie matka w łzach donosiła synowi. Jego część spadku trafi do kościoła białych chrześcijan i pastora, którego Ivo widział na własne oczy w białej todze. Croissant du galant albo Ku-Klux-Klan, w Calypso nikt nie miał wątpliwości, co jest lepszą inwestycją; ci w białych sukienkach to Scheiße, zgadza się także starszy cukiernik Helmut.

Co robić? Czy to Sara zasugerowała? A może tylko spojrzała najpierw na Dominikę, a potem na Iva tak, jakby w głowie rodził jej się plan, który po chwili dla całej trójki był oczywisty. Ivo klęka przed Dominiką, podaje jej niedojedzonego banana w czekoladzie i pyta, czy zostaniesz moją żoną? Dlaczego nie, odpowiada Dominika.

## VII

A więc to jest ten potwór, Dominika patrzyła na leżącego w łóżku niepozornego mężczyznę o miękkich rysach i bardzo jasnej cerze, to jest potwór nienawiści

ziewający, potężny Posejdon, właściciel wytwórni sprzętów łazienkowych? John III Smith był mniejszy, niż się spodziewała, i cichszy; zmniejszył się, wytłumaczył jej Ivo, o połowę skurczyła go choroba. Mam na imię Dominika, przedstawiła się, jestem żoną Iva, a amerykański teść tupał na nią podejrzliwie spod opuchniętych powiek. Polka? Polka. Chudzina! prychnął, prysły krople śliny, żona pospieszyła z chusteczką, ale została odgoniona jak mucha machnięciem dłoni. Głowa rodu Smith wpatrywała się w Dominikę zażawionymi oczkami, a reszta ciała głowy leżała unieruchomiona, ponakłuwana i podłączona do urządzeń monitorujących. Podejść bliżej do tatusia, zachęciła syna pani Smith i Ivo zrobił krok w kierunku łóżka, zakolysał się na piętach, wrócił, gdzie stał. W momencie, gdy spotkał się wzrokiem z synem, John III Smith nabrał powietrza, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko poczerwieniał i rozkaślał się, krztusił się i parskał przez dłuższą chwilę, aż w końcu wydusił, welcome in America.

Przy łóżku Johna III Smitha codziennie byli w komplecie, rodzina Smith niespodziewanie zasilona polską synową. Nie chcesz z nim porozmawiać sam na sam? pytała Dominika, ale Ivo upierał się, że nie ma o czym. Ojciec też nie wyrażał takiej chęci i ani przez chwilę nie byli sami, a gdy istniała taka groźba, pani Smith czuwała, by w razie czego rzucić się pomiędzy ojca i syna. Dwie siostry Iva szeptały ze sobą i przewracały oczami, aż widać im było tylko białka w otoczeniu na sztywno wytuszowanych rzes, rzadko zwracały się do innych. Wyglądały jak osoby, które łączy posiadanie wspólnej tajemnicy, jakiegoś trupa, może nawet wspólnie utrupio-



nego i zakopanego w ogródku; siostry, pomyślała Dominika, prawie bliźniaczki. Gdy działo się coś ciekawego, spoglądały na siebie i mrugały jednocześnie, jakby ktoś dawał im znak, że raz-dwa teraz, i już tęczęwki uciekały im pod powieki, ich wymalowane, nadmiernie opalone twarze wyglądały jak szydercze maski śmierci. Rzuciły Dominice taksujące spojrzenia, a jeśli już zadawały jej jakieś pytanie, to niezależnie od odpowiedzi kwitowały je unisono, mówiąc: naprawdę? albo to wspaniale! jakby fakt, że przy łóżku umierającego ojca poznały swoją nową szwagierkę, Polkę bez pieniędzy, pracy i biegłej znajomości angielskiego, rzeczywiście z jakiegoś powodu był zarazem niewiarygodny i wspaniały. Gdy Dominika spytała Iva, skąd tyle wspaniałości w jego siostrach na każdą porę dnia, poradził, by przy następnej okazji też powiedziała, że to wspaniale! albo naprawdę? tu tak po prostu się rozmawia. To wspaniale! rzuciła Dominika, gdy jedna z siostr oznajmiła, że będzie padać, i szybko nauczyła się mówić, wspaniale! albo naprawdę? tonem dostosowanym do okazji; dzięki temu jej stosunki z siostrami Iva się poprawiły, a dalsze życie w Ameryce okazało się łatwiejsze. Matka Iva, kobieta, po której córki odziedziczyły skłonność do mocnej opalenizny i jeszcze mocniejszego makijażu, w zadziwiający sposób łączyła bierność charakteru i całe mnóstwo mało produktywnych aktywności. Była nieustannie w ruchu: poprawia coś przy łóżku chorego, klepie poduszkę z taką werwą, aż podskakuje głowa głowy rodziny Smith, nagle otwiera torebkę, wyjmując kosmetyczkę i nakłada na usta nową warstwę pomadki z gwałtownym pośpiechem, ale już koniec malowania, teraz pędzi galopem w stronę okna, przez

które wygląda tak, jakby na dole ktoś czekał niecierpliwie, by rzuciła mu klucze; zwrot przez rufę i biegiem do syna marnotrawnego, można by sądzić, że go uściska i może uścisk trafi się nawet nowej synowej, ale nie, pani Smith zatrzymuje się w pół drogi, jakby ktoś ściągnął jej cugle, i zaraz rzuca się w innym kierunku, niezmordowana, polyskująca zębami białymi jak lody Antarktydy.

Po kilku dniach spędzonych między szpitalem a domem państwa Smith Dominika zauważyła, że cała ta niezwykła aktywność matki Iva polega na wymijaniu członków rodziny, na ciągłym slalomie między ich ramionami, głowami, nogami, aby nikogo nie dotknąć, nie dopuścić do bezpośredniego kontaktu, czy, broń Boże, zderzenia. Aktywność pani Smith nie ustawała, gdy wracali do domu ze szpitala, w którym dogorywał John III Smith. Uwijała się, krzątała, śmigala po niezliczonych pokojach i korytarzach z szybkością światła, przed chwilą można by przysiąc, że szorowała na klęczkach sedes uzbrojona w żrący płyn i szczotkę, a już piecze ciasto marchwiowe, wydaje polecenia meksykańskiej gosposi, poprawia po niej, sieka cebulę, marynuje żeberka, hop, zmienia zasłony, prasuje, wygładza serwetki pod bibelotami, odkurza bibeloty, zamawia więcej bibelotów i serwetek z katalogu wysyłkowego, krochmali, pieli, skrobie patelnię, czyści grill w ogrodzie, obcina skórki przy paznokciach i za chwilę rzuca się z nożyczkami na suche listki figusa beniaminka, aż w końcu pada na kanapę przed telewizorem, gdzie od razu zasypia, jakby wyczerpała się jej bateria. To tu, w miasteczku Harrison, Dominika pierwszy raz aż tak zateśniła za matką, Jadzią Chmurą z Piaskowej Góry, pokazałaby jej dom państwa Smith



i powiedziała, zobacz, mamó, tyle pokoi i tyle smutku, a ty myślałaś, że w domu wolnostojącym od razu byłabyś szczęśliwsza niż w mieszkaniu na Babelu. Zadzwoń do niej, ale jak zawsze żadnej nie udało się powiedzieć tego, co i jak chciały.

Jadzia nie miała pojęcia, co naprawdę Dominika robi w miasteczku Harrison, w stanie Arkansas, i nie wiedziała o ślubie córki w niemieckim urzędzie, w obecności dwóch świadków i dwojga gości, wyglądającym zupełnie inaczej niż kościelny ślub na Jasnej Górze, z pompą, karocą i welonem, który sobie dla niej wymarzyła. To, co córka opowiadała, matka przerabiała po swojemu na historie nadające się do kolportowania na Piaskowej Górze. Do córki utyskiwała, znów fiksum-dyrdum i fiu-bzdziu, z jakimś homoniewiadomo na koniec świata musisz pociec, normalnych chłopaków w całym Enerefie nie było? A Krysi Śledź czy Lepkiej opowiada, że jej córka powiniogą pojechała z przyjaciółmi, bogaci Amerykanie, zaprosili ją do swojego domu, rezydencji jak w *Dynastii*, wszystko tam mają, prawdziwe salony, każde dziecko ma swój pokój, a kuchnia podobno razem ze stołowym, tylko wielka jak całe mieszkanie na Babelu. Wszystko Dominice opłacili, nic ją to nie kosztowało, za nic jej płacić nie dają, tylko fundują, to, śmo wciskają, żeby brała. Opowiada o tym wszystkim Jadzia w sposób, który opanowała do perfekcji, jakby się żaliła, zamartwiała, bo satysfakcja i duma to kuszenie złego losu, a ten tylko czeka, aż straci się czujność. Ach, żeby jej się z tego dobrobytu w głowie nie przewróciło, wzdycha Jadzia do Krysi Śledź. Mieszka sobie jej córka w amerykańskim domu jak królewna, je sobie za darmo,

co chce, mówią, może z lodówki brać, i Jadzia tylko ma nadzieję, że jakichś świństw tam nie jedzą i czysto gotować potrafią. Czysto tam gotują? pyta swoje dziecko dzwoniące zza oceanu; patrz, czy nie paprzą, jak paprzą, nie jedz, w serwetkę i pod stół, to najlepszy sposób. Nie bój się o mnie, mamó, w Ameryce nie ma bakterii, ani jednej, mówi jej córka i Jadzia aż zwija się w sobie niczym liszka na ten prześmiewczy ton. Po drugiej stronie świata jej córka połączona z nią kablem jak pępowina marzy, by kiedyś porozmawiać z Jadzią-nie-matką, która gdzieś musi przecież być pod zamartwiającą się Jadzią-matką ukryta. Jadzia woli prześmiewczy i niechętny ton córczyny niż brak tonu i milczący telefon, który po tylu latach bez telefonu stał się najważniejszym sprzętem w jej domu; tego, że pod Dominiką-córką jest Dominika-nie-córka, nie przyjmuje do wiadomości, dziękuje bardzo. Jadzia przeciera dla dezynfekcji słuchawkę spirytusem salicylowym i wacha mikrofon, czy nie został na nim ślad jej oddechu. Przecieranie staje się pucowaniem, gdy z telefonu przychodzi skorzystać jakaś sąsiadka, na przykład Krysia Śledź, jeszcze niepodłączona do linii. Do słuchawki kaszlała, ust nie zasłaniała. Nigdy nie wiadomo, jakie chorobiska ludzie w sobie noszą, żali się Dominice i przestrzega córkę, by w tej Ameryce nosem oddychała, a nie huzią, to się mniej amerykańskich bakterii nawdycha.

Mimo iż jest to aparat bezprzewodowy, Jadzia tkwi ze słuchawką tuż przy nim jak przywiązana, boi się, że gdy odejdzie za daleko, połączenie z Ameryką zostanie przerwane, a ona pozostanie znów sam na sam ze swoją samotnością i ciszą. Jadzia spotyka pod



miała trochę przyjemności z tego, co w rzeczywistości było mocno nieprzyjemne.

W domu państwa Smith z miasteczka Harrison w każdym pokoju tapety dobrano wzorem do obić na meblach, a te do dywanów, abażurów i serwetek ochraniających zagłówki foteli i kanap; w jednym pokoju wszystkie ramy obrazów i luster były zielone, w innym brązowe, różowe w sypialni głównej, master bedroom, jak mówiła pani Smith, seledynowe i błękitne w gościnnych, wszystko do wszystkiego musiało pasować; wszystko było przy tym w coś owinięte, wyłożone, dekoracyjnie oklejone; master bedroom is in dusty pink, powiedziała pani Smith do Dominiki, która zrozumiała, że się nakurzyło i znów będzie w użytku wielofunkcyjny odkurzacz. Zakurzony róż! Matka Iva przelatywała przez te straszne pokoje i poprawiała przesunięte o milimetr durnostojki, zdjęcia, na których wszyscy się uśmiechali tak szeroko, jakby sparaliżowało im twarze; jej ręce były precyzyjne, oko bezbłędne i z pewnością udałooby się jej wytapetować papierem w kwiatki wnętrze muszli klozetowej, gdyby podrzucić jej taki pomysł. Zabrałaby się do tego z podobną energią, z jaką co rano myła i modelowała swoje tlenione włosy, naciągając je na okrągłą szczotkę i suszyła powietrzem tak gorącym, że jego strumień wypalał dziury w ścianie łazienki, może dlatego Dominika znów wszędzie czuła zapach spalenizny. Matka Iva traktowała Dominikę podobnie jak resztę swojej rodziny, w końcu była jej synową, i wymijała ją w pełnym pędzie albo wycinała wokół niej kółko jak fryga, i już sypały się iskry, leciała dalej. Tylko raz matka Iva zamieniła z Dominiką więcej niż dwa zdania, gdy omal nie wpadły na

siebie koło etażerki z kolekcją słoni. Tego, powiedziała, unosząc porcelanowego w kwiatki, dostałam w konkursie recytatorskim w szkole, bardzo ładnie recytowałam, ten mały różowy to prezent, a tamtego kryształowego sama sobie zamówiłam w katalogu wysyłkowym; i zanim Dominika odpowiedziała cokolwiek, pani Smith znikła na piętrze, skąd po chwili rozległ się dźwięk odkurzacza.

Nazajutrz po rozmowie teściowej z synową zmarł John III Smith, a zanim odszedł do nieba, bo tam idą dobrzy ludzie i obywatele z miasteczka Harrison w stanie Arkansas, zmienił testament i zostawił swojemu pierworodnemu wystarczająco dużo pieniędzy. By marzenie Iva o własnej cukierni stało się realne. Siostry dostały wytwórnię sprzętu łazienkowego Posejdon po połowie, pani Smith wolność, która bardzo ją przytłoczyła – po zejściu małżonka dostała na całym ciele wysypki i na pogrzeb tak grubo nałożyła sobie makijaż, że gdyby się bez przerwy nie ruszała, można by ją pomylić z nieboszczykiem. Tej nocy Dominika i Ivo, ulokowani przez panią Smith w błękitnej sypialni, gdzie każdy szczegół łącznie z mydłem w przylegającej łazience był błękitny, długo nie mogli spać. Dominika w błękitnej koszuli nocnej, spod której wystawały jej długie chude nogi, Ivo w błękitnej piżamie, patrzyli, jak za oknem ozdobionym błękitnym lambrekinem noc błękitnieje w świt. Pili kalifornijskie wino, ale Ivo mówi, że kalifornijskie wino to siki, wino powinno mieć apelację, bukiet, przede wszystkim powinno być francuskie; gdy otwiera kolejną butelkę, Dominika podsuwa kieliszek. I co teraz? pyta Ivo. Z czym? Z życiem. Pojedziesz do Paryża, otworzysz Croissant du galant, będziesz robić czekoladowy mus i pić francuskie



wina z apelacją, odpowiada Dominika. A ty, my wify, moja żonko? Ja pojedę do Nowego Jorku, czeka na mnie Sara, znajdę jakąś pracę, czuję, że pobędę tam trochę, podoba mi się brzmienie słów Nowy Jork, Manhattan, Manhattan jak bazar w moim rodzinnym mieście. Poza tym może spotkam się z rodziną dziadka z Pasadeny, może nie. A potem? Nie wiem. Nie lubię podejmować wyborów wcześniej, niż naprawdę trzeba, drogi mężu. Może odwiedzę Croissant du galant, może wrócę do Polski robić wino z wiśni i porzeczek. Nie ma czegoś takiego, jak wino z wiśni i porzeczek; wino, zapamiętaj to sobie, moja polsko żono, robi się z winogron. W Polsce jest ignorancie. Nie ma. Jest! Szkoda, że to nie ty jesteś moją siostrą, wzdycha Ivo i opiera głowę na kolanach Dominiki, piłbym wino z wiśni i porzeczek, mówiłbym po polsku, proszę bardzo. Jeśli chcesz, będę twoją siostrą bliźniaczką, ale wtedy nie mógłbyś się ze mną ożenić. A kto powiedział, że nie? Bylibyśmy jak egipski cesarz i cesarzowa, piłobyśmy egipskie wino albo sprowadzali sobie z Francji, bo w Egipcie wiedzą co najwyżej, jak zrobić humus. Humus i falafel, halafel i fumus. Poleciny kiedyś do Egiptu ponurkować, będziemy jedli humus i falafel, będziemy pić francuskie wino; masz, napij się jeszcze. Halafel i fumus, mówi Dominika i pije z butelki. Będiesz podrywał chłopców o czarnych oczach i włosach jak smoła. I dupkach jak orzeszki! Orzeszki? Orzeszki. Ciebie porwie instruktor fitness z naszego pięciogwiazdkowego hotelu Paradis Palace, gdzie wszystko jest inclusive, to prawdziwy raj. Powie, ty bardzo piękna, ty być moja egipska żona, ty wskakuj na wielbłąd. Będę musiał się z nim pojedynkować. Na

miecze. Na torty. Na wierszel Wywiezie cię na pustynię na wielbłądzie, będziesz nosiła chustę, oczy malowała na czarno, mówiła salem alejkum. Urodzisz czternaścioro arabskich dzieci, salem alejkum, siedmiu synów i siedem córek. Jestem w jednej czwartej Żydówką, mówi Dominika, nie mogę salem alejkum, to byłby koniec świata, poza tym nie chcę mieć dzieci; głaszcz Iva po głowie, jego włosy są miękkie jak włosy Jazdy zaraz po umyciu. W błękitnej sypialni w miasteczku Harrison Dominika Chmura widzi nagle twarz swojej babki Zofii pod twarzą matki, widzi zaleski dom, który spłonął, czarne georginie o kwiatach tak wielkich jak głowa dziecka. Czy babcia wiedziała, że płonie, czy czuła ból, czy może tylko zapach spalenizny, straszny zapach spalonego mięsa poczuła po raz ostatni, a potem była już na zawsze bezpieczna? Placzesz? dziwi się Ivo, nigdy nie widziałem, żebyś płakała. Chyba nie płaczesz po Johnie III Smisie? Ivo podnosi się i przytula Dominikę, głaszcz chude chłopięce ramię, plecy z kręgosłupem wyczuwalnym pod palcami jak sznur ceramicznych paciorków, które kupił jej kiedyś na jarmarku w Gelnhausen. Nie płacz, opowiem ci o Paryżu, opowiem ci o Croissant du galant, my wify. Jednak tej nocy to Dominika, która nigdy tyle nie pije, ma coś do powiedzenia. Co ty w ogóle rozumiesz? pyta, co ty wiesz na przykład o Piaskowej Górze? Nic nie wiesz. Tam niebo jest seledynowe, można wejść na dach Babela i poszybować jak na tureckim dywanie, salem alejkum, łapiasz się krawędzi i lecisz. Sa-lem alejkum, mówi Dominika i zaczyna czuć, że jest pijana, bo błękitna sypialnia urządzona przez matkę Iva przypomina jej śnieżną jamę, w której zagrzebywała się



jako dziecko w Wałbrzychu. Wałbrzych, mówi do Ivo, Waldenburg, Leśne Miasto, co ty wiesz, amerykański mąż, o mieście na Ziemiach Odzyskanych? Czy wiesz, że czasem to miasto wydaje mi się piękne? Znałam tam, w Wałbrzychu, chłopca, przynosił mi rachatlukum, mówiłam ci? Ja ci zrobię karocę z czekolady. Usiądziesz sobie w niej i będziesz jadła lody czekoladowe, lody szampanowe, głaszczcie ją Ivo, ale Dominika pierwszy raz po wypadku chce mówić o tym, z czym dotąd zmagala się bez słów. Co ty wiesz o palonych domach, zapachu spalonego mięsa, którego nie można się pozbyć, bo wsiąkło w skórę i włosy? Czuje ten zapach na mojej matce i nie mogę ani od niej uciec, ani do niej wrócić, gdy tylko zatrzymam się gdzieś na dłużej, zapach wzmacnia się i muszę ruszać dalej. Ale to nie pomaga. Jakbym miała w środku coś martwego, kawałek martwej matki, materii, której nie da się wyrzygać, czasem wkładam palce do gardła i zmuszam się do wymiotów, ale to na nic. Jesteś gejem, którego nie akceptuje rodzina, i tyle, zdarza się, Sara ma swoją Czarną Wenus, co za historia, a ja? Jestem dziwadłem bez przydziału, bez specjalnych zdolności, nasionkiem chwastu. Będiesz sławnym cukiernikiem, pogodzisz się z rodziną, twoja historia ma happy ending i spotkasz niejednego Jesusa ogrodnika. To nie byłem ja, mówi nagle Ivo, to nie ja byłem z ogrodnikiem Jesusem. Dominika patrzy na niego i nie rozumie. Nie ty? W błękitnym pokoju zapada taka cisza, jakby znaleźli się pod wodą. Ivo siada na brzegu łóżka tyłem do Dominiki i powtarza, to nie byłem ja. Przyjechałem do Harrison po najdłuższej nieobecności, trzy miesiące, wtedy wydawało mi się, że to dużo. Wszystko było jak dawniej, rodzina

pięła na słodycze, które przywiozłem, ojciec mówił, że znalazłem sobie główniany zawód, kłóciłem się z siostrami, a matka biegła między nami rozgrzana do białości. Był nowy ogrodnik, to prawda, ogrodnik Jesus, ale przez ten dom przewinęło się tylu ogrodników i pomocników, że straciłem rachubę. Piękny Latynos, bardzo ciemny, miał takie włosy jak ty, gęste i wijące się tak, że nie wypadł wetknięty w nie długopis. Planowałem podczas tego pobytu porozmawiać z rodziną, byłem młody i pełen buntu, naczytałem się w college'u emancypacyjnych opowieści i chciałem zrobić teatralny coming-out. Dziesiątki razy wyobrażałem sobie tę sytuację: siedzimy przy kominku, ja wychodzę z szafy i następuje trzęsienie ziemi, tu-dum, katharsis. Nie rzucamy się sobie na szyję, nic z tych rzeczy, aż tak naiwny nie byłem i miałem przygotowane słowa, które powiem w drzwiach na pożegnanie. Ćwiczyłem przed lustrem, sama myśl o tym sprawiała, że popadałem w ekscytację. W pierwszy wieczór zabrakło mi odwagi, ojciec oglądał mecz w telewizji i obcinał sobie paznokcie u stóp, uznałem, że to nie najlepszy moment na oficjalne informowanie rodzica, że jestem gejem. Ale z nerwów nie mogłem spać tej nocy, było gorąco i wyszedłem do ogrodu, usiadłem na tarasie. W szopie paliło się światło. Poszedłem tam, sam nie wiem dlaczego. Zobaczyłem ich przez okno i w pierwszej chwili nie zrozumiałem. Ogródnik Jesus stał, miał zamknięte oczy, jego twarz wykrzywiał grymas. Potem rozpoznałem mojego ojca. Kłęczał przed Jesusem i poruszał się rytmicznie w tył i w przód, w tył i w przód, miał na sobie flanelowe spodnie i rozciągnięty biały podkoszulek, w którym sypiał. Mój mózg nie nadążał za oczami, co ty



robisz, tato? usłyszałem w głowie głos małego chłopca, który chyba był mną. Może usłyszał to też mój ojciec, bo spojrzał w stronę okna, jego twarz była czerwona, usta wciąż uchylone. Wybiegł za mną, potknąłem się i przewróciłem, dopadł mnie i przyduśił do ziemi, dyszał i powtarzał, synu, synu, synu. Nie powiedział nic więcej, bo chwycił go atak astmy. Udało mi się go zrzucić z siebie i uciekłem, tej nocy wyjechałem i nie wróciłem do Harrison przez sześć lat. Dręczy mnie, co chciał mi wtedy powiedzieć, gdy powtarzał, synu, synu, i omal mnie nie udusił, dręczy mnie, że chciałem być tak od niego inny, a okazało się, że jestem taki sam. Spróbowałem nawet być z jakąś dziewczyną, ale to na nic. Nieprawda, mówi Dominika, nie jesteś taki sam jak John III Smith, i wyciąga do Ivo rękę, niezdarnie splatają się dłońmi. Napij się wina z winogron, Ivo nalewa do pełna i podnosi kieliszek do ust Dominiki. Pij, moja żono, za naszych zmarłych i żywych, za naszą podróż. Całują się w sposób, który ani w Dominice, ani w Iwie nie budzi pożądania, ale o nim przypomina. Mówiłam ci? pyta Dominika, znałam kiedyś chłopca, który przynosił mi do szkoły rachatlukum, znałam kiedyś księdza, który grał na gitarze i śpiewał, wyrwij muuuurom zęęęby krat; teraz zaśpiewam ci to po angielsku na pocieszenie. Żonko, śmieje się Ivo, jego twarz jest bardzo jasna na tle błękitów, żonko, ciągle źle wymawiasz zęby po angielsku, popraw się. Kalifornijskie wino z piwniczki Johna III Smitha nie jest aż tak złe, chociaż bez apelacji, bo zmarły kupował je za życia w najbliższym supermarkecie na promocji. Gdy kończą trzecią butelkę, Ivo płacze i Dominika dopiero teraz dostrzega podobieństwo swojego męża-bliźniaka do zmarłego

Johna III Smitha. Zasypiają na małżeńskim łóżku i śpią na łyżeczki, Ivo śni o czekoladzie, wystawa świąteczna cała z czekolady, brawa, brawa, on sam elegancki, swobodny, wszystko to gdzieś daleko od Harrison; jego żona-bliźniaczka śni zapachy i kolory, białe schody, rozgrzane kamienie, świeżo przekrojone arbuzy tak wielkie, że w skrupce zmieściłoby się dziecko, chłopca z rachatlukum, zapomnianą przyjaciółkę, z którą na dachu betonowego wieżowca w Wałbrzychu recytowała wiersz o białej lokomotywie, skąd wzięła się w krainie śmierci. Rano Ivo i Dominika wyjeżdżają z Harrison żegnani przez panią Smith i siostry Smith, które nie wiedzą, że mąż i żona ruszają w różne strony.

Miało być na krótko, na początek, do czasu znalezienia czegoś lepszego, jednak Dominika została w tym marnym pokoju przy Si... Ulicy dłużej niż w jakimkolwiek miejscu do t... pani Eulalii Barron już od... książek codziennie o... z przerwą na lunch. T... życiu, nie licząc rob... za za pracę, min... turystkom na p... fotografie fasady do... tu, które zrobiła ze sw... w Eulalia Barron i do t... ziała, od początku bywała... ale tego lata starszka woła też inne osoby. I... mówi Eulalia Barron i jej żrenice robią się ogromne, jak u kota polującego w ciemności, mamó, musimy iść do konsula Sugihary, obudź się, mamó, będziesz grała Sonatę księżycową w Jo-



to w nosie, idzie do... chowała koszulę do reklamo-  
mówki Hugo Boss i s... i, zastrzegając  
synowej, że... z autobusem,  
a nie taksówką... niczną dziurę  
w szyi start... i stojące  
przy łóżku k... ypomina-  
ły jaka... py, Mat-  
ko Boska... Do mnie  
na Piaskow... omu, bez  
dyskusji. W po... je, tylko  
niech mamusia... pokoju, bo  
firany żółkną i s... i Halina nie zapro-  
testowała, bo nawet jej niew... szorstkie serce zro-  
zumiało, że jest to dowód miłości. Nie, te kapcie już ma-  
musia zostawi, Matko Boska, jakie szkoda, jakie szkoda,  
nowe u Ruskich mamusi kupię na Manhattanie. Tego sa-  
mego dnia Jadzia zadzwoniła do Nowego Jorku, co robiła  
rzadko, bo straszliwie się bała, że ktoś coś do niej powie  
po angielsku i będzie wstyd; gdzieś usłyszała, w jakimś  
filmie pewnie, że w Anglii mówią zupełnie innym angielskim,  
pięknym i arystokratycznym, nie to co wulgarny angielski  
w Ameryce, i powtarzała tę mądrość córce, ach, bo ten amerykański  
angielski to taki wulgarny, nie zrozumieć nie idzie. Babcia Halina umiera, powiedziała Jadzia  
do słuchawki i rozplakała się w ciszę, jaka zapadła nagle  
między Piaskową Górą i prawdziwym Manhattanem.

Babcia Kolomotywa dymem ziejąca! Dominika prze-  
straszyła się nagle, że nie zdąży, i jej przygotowania do  
wyjazdu do Polski były pierwszą rzeczą po wypadku,  
którą robiła w pośpiechu, nie licząc nocnej ucieczki z Owocowego Raju. Poczula, że letnia rzeka, w której żyła

przez siedem lat, nie była jedynym rodzajem przepływu, a na Piaskowej Górze czas płynął inaczej. Sara mówiła jej, pora, żebyś pomyślała, co dalej, żebyś spróbowała z kimś być, a ona odpowiadała, że wystarcza jej samo bycie i na razie ma wszystko, co trzeba, ten mały pokój w East Village, dach, na którym może siedzieć nocami, czytanie książek pani Eulalii Barron, listy od Iwa z Paryża, robienie zdjęć. Poza tym, i to uciszało przyjaciółkę najskuteczniej, ty też z nikim nie jesteś, Saro Jackson. Dominika pamiętała swój pierwszy plan na życie i tęskniła nie tyle za nim, co za tamtą pewnością, że szczęście było w zasięgu ręki, a przyszłość to droga do jakiegoś celu. Wynajęte mieszkanie w bloku na warszawskiej Chomiczówce, tak podobnej do Piaskowej Góry, i Adaś, mężczyzna, którego twarzy nie pamiętała za dobrze, bo tym, co ją w nim pociągało, był nie on sam, ale możliwość ucieczki od Jadzi i Wałbrzycha. Dopiero teraz, z perspektywy lat spędzonych w drodze, Dominika widziała, że ucieczka, która wydawała jej się tak doskonała i dobrze zaplanowana, prowadziła dokładnie w to miejsce, w którym powtórzyłaby los Jadzi. Niekiedy przypominał jej się dotyk Adasia, z perspektywy czasu nieporadny i nerwowy, inny od dotyku mężczyzn, których poznała po nim. Zakochaj się, szalej, mówiła jej zupełnie obojętna wobec mężczyzn Sara, podobnie mówił wiecznie zakochany Iwo, ale Dominika ani nie zakochiwała się, ani nie szalała, tylko po krótkich romansach zaprzyjaźniała się ze swoimi mężczyznami powierzchowną przyjaźnią tych, którzy spotykają się w drodze, i wkrótce siedziała z jednym czy drugim w barze Lucy's przy Tompkins Square, słuchając opowieści o konieczności ratowania wielorybów, pla-



nach wyprawy do Kambodży, by ocalić przed zdeptaniem Angkor Wat albo o przyszłości komunikacji internetowej. Można było odnaleźć podobieństwo łączące mężczyzn, z którymi Dominika spędzała cztery czy pięć, góra osiem tygodni, zanim znikali gdzieś tak łagodnie i niepostrzeżenie, że Sarze trudno było uwierzyć, że w ogóle się zdarzyli, nawet ich imiona rozplywały się w nowojorskim powietrzu jak dym. Byli wysocy i chudzi, żyłaści i silni, ich twarze wyraziste, ale jeszcze niedokończone, jakby dopiero pojawił się na nich szkic tego, jakim staną się ludźmi. Ubierali się w sportowe wygodne rzeczy i zbyt rzadko chodzili do fryzjera, mieli ważne sprawy do załatwienia w przyszłości i szczytne idee, nie wiedzieli, że to, co im się najbardziej podoba w Dominice, to nie jej oczy, usta albo długie nogi, ale fakt, iż w sposób oczywisty nic od nich nie chce i niczego nie oczekuje, a bierze dokładnie tyle, ile daje w zamian. Żaden z nich nie potrafił nazwać siły przyciągania, która kazała mu zbliżyć się do tej właśnie kobiety, tak pozbawionej kokieterii, o włosach jak jedwabista czapeczka w kolorze mocnego espresso, i szybko wpadali na zastępcze rozwiązanie, dopatrując się w Dominice podobieństwa do kogoś bliskiego i utraconego. Na przykład dla Węgra Andreasa była to Cyganka Jovranka, z którą bawił się w dzieciństwie spędzonym w nie najlepszej dzielnicy Budapesztu, zanim z całą rodziną wyemigrował do Nowego Jorku, gdzie jego przodkowie dorobili się majątku na produkcji parasoli. Pokazał Dominice dom na Lower East Side, to tutaj jego stryjeczny pradziadek, ożeniony ponoć z Polką o niemożliwym do zapamiętania imieniu na W, zaczął wyrabiać ciesząc się powodzeniem parasolki

z reprodukcjami dzieł wielkich mistrzów na czasach. Dominika chodziła z Andreasem do barów gdzieś na Brooklynie, w których ciemnowłose kobiety tańczyły, mężczyźni palili papierosy i niekiedy tłukli talerze; chłopak wpatrywał się w nią intensywnie, jakby obecność innych Romów miała spotęgować podobieństwo Dominiki do dziewczynki sprzed lat. Martin z kolei, Anglik nieubłączy Anglii, był wiecznym studentem, bo po każdej przerwie, jaką w studiach robił, by wyjechać do Afryki, Azji, na Islandię, wracał z nową pasją i czterokrotnie zmieniał kierunek na uniwersytecie. Gdy Dominika go poznała, zajmował się ekologią i pragnął uratować bałtyckie morświny. Płacząc się w sieci, ginąc uduszone te biedne morświny, straszna rzecz, trzeba to ludziom koniecznie wytłumaczyć, mówił jej z przejęciem i pił piwo bezalkoholowe. Kiedyś myśłano, że morświny bałtyckie to syreny, słyszałaś o tym? Po Martinie był Holender Gilbert, który wraz z grupą freegan żywił się tylko tym, co dało się znaleźć na bogatych nowojorskich śmietnikach pod sklepami, i organizował śmietnikowe wycieczki, tłumaczył wtedy niewtajemniczonym, że codziennie marnuje się w tym mieście kilkadziesiąt ton zdatnego do spożycia jedzenia, o, na przykład tu mamy cały worek świeżutkich bajgli i kartonik mleka sojowego. Gilbert uważał się za komunistę i wydawało mu się, że w kancystych ruchach Dominiki, jej dużych stopach i braku zamiłowania do luksusu odnajduje podobieństwo do szwagra, jedyne go członka jego rodziny, który nie należał do klasy średniej i którego w związku z tym podziwiał i idealizował. Gdyby Dominikę przycisnąć, co robiła czasem Sara, może przypomniałaby sobie niezwykłą symetrię



włosów na jakimś męskim ciele, które wspinały się wąską równą linią wzdłuż brzucha i rozgałęziały, otaczając sutki tak, że ten włochaty kontur przypominał schemat kobiecych jajników z podręczników anatomii. Jajniki? Naprawdę masz na myśli jajniki, wariatko? sylabizowała Sara niepewna, czy Dominika nie pomyliła angielskiego słowa. Pamiętam też duże białe zęby, śmiała się Dominika, zęby z przerwą między jedynkami, bliznę na czole, bo bramę z wystającym gwoździem wiatr zamknął akurat wtedy, gdy mały chłopiec pędził na swoim pierwszym rowerku gdzieś po ulicy Budapesztu czy może Amsterdamu. Pamiętała opowieści, pępek, paznokcie, rowery, blizny, imiona matek, psa labradora, który wpadł pod pociąg, długopalczaste dłonie i nawet byłaby w stanie przypasować te części do konkretnych osób, ale nie miała nic przeciwko temu, by pozostawały w jej głowie niczym stos rozspanych puzzli. Dominika wiedziała, że nie znalazła jeszcze nic, co mogłoby zastąpić utraconą magię liczb; była w środku pusta jak nieumeblowany dom, w którym było jak postawiono parę sprzętów, stos książek i pudła. Dominika Wędrownia nie myśli o sobie: jestem taka czy inna, tylko od czasu do czasu przeprowadza inwentaryzację, podczas której interesuje ją przede wszystkim, co jest na drugiej szali, bo co jest na pierwszej, wie od dawna – siedzi tam Jadzia i matkuje. Sara, moja towarzyszka podróży i jej historia Hotentockiej Wenus, Dominika umieszcza przyjaciółkę jako przeciwwagę dla Jadzi; Ivo, mąż-bliźniak, który zawierzył mi przeszłość, wspierający mnie tak, jak ja go wspieram, pani Eulalia Barron i jej książki – Jadzia nadal jest cięższa, córka dorzuca więc przyjemność bez poczucia winy

i wspomnienie pępków, paznokci, rowerów, blizn, ale to ciągle za mało, by Jadzię przeważać. Dominika już wie, że ta podróż, która od siedmiu lat oddala ją od Piaskowej Góry, byłaby łatwiejsza, gdyby po prostu chodziło o ucieczkę przed tym wszystkim, odrzucenie swojego domu i zapomnienie o nim, tymczasem im Dominika jest silniejsza, tym bardziej pragnie swoją matkę zmienić, ruszyć z miejsca i zepchnąć z kursu matkowania na jakąś ciekawszą drogę. Kiedyś, przed wypadkiem, była ona, podrostek, i opowieść Jadzina, w którą matka wkręcała swoje wierzgające dziecię jak w wyżymaczkę: ślub na Jasnej Górze, ordynat jakiś lub dentysta, biały welon, wiata wio! karocą do zamku Książ. Można było tylko uciekać, gdzie pieprz rośnie. Teraz coś mam, myśli Dominika, i gdy Jadzia jej zasuwa w słuchawkę starą opowieścią, córka nie pozostaje dłużna, ale siły nadal nie są wyrównane. Dlatego gdy dowiedziała się, że Halina umiera, oprócz żalu Dominikę ogarnął strach i znów poczuła zapach spalonego mięsa. To coś martwe w niej, o czym słyszeli tylko Ivo i Sara, sprawia, że czasem budzi się i do rana szarpia nią torsje, jak bulimiczką, którą nigdy nie była. Jadę na Piaskową Górę, powiedziała Sarze, i gdy w przeddzień podróży spojrzała w lustro, ze zdumieniem dostrzegła, że jej tęczówki, kiedyś nieodróżnialne od źrenic, błyszczą iskrami agrestowej zieleni oczu Jadzi.

Dominika wyprowadziła się z pokoju przy polskim kościele i zostawiła ubogie rzeczy do podziału; pani Hania wzięła lampę, będzie jak znalazł, gdy wróci do ojczyzny, pani Stenia małą lodówkę, przyda się jak nic, gdy już ściągnie do siebie rodzinę, a tymczasem rzeczy tra-



fią do pudeł w przedpokoju. Będę za cztery dni, mamo, powiedziała Dominika do Jadzi, która aż się zachwiała przy telefonie i odważyła się odejść ze słuchawką na tyle daleko, by klapnąć na kanapę. Za cztery dni po siedmiu latach, i to na same święta! Jak ona zdąży wszystko przygotować? Jadzie rozpierała radość i złość w wyrównanych proporcjach i było to tylko spotęgowanie normalnej chemii uczuć, jakie budziła w niej córka i wszystko, co z córką związane. Czasem dominowała radość, czasem złość, a gdy uczucia te osiągały stan drążącej równowagi, Jadzi bez przerwy odbijało się jak po bigosie i co rusz musiała zażywać raphacholin. Taka mnie zgaga bierze, zwierzała się Krysi Śledź, a ta radziła, by popiła wody z ogórków kiszonych, sposób sprawdzony i zdrowy, jej na wszystko pomaga.

Wody z ogórków u Jadzi był dostatek i często zanosiła sąsiadce słoiki czy dwa; po wypadku Dominiki robienie przetworów, kiszenie i konserwowanie było dla niej sposobem radzenia sobie z czasem. Gdyby pozwalała mu po prostu płynąć, temu czasowi kalekiemu i pustemu, zmarnowałby się, bo co to za czas złożony z samotności i czekania? Zamarynowany dał się przechowywać i Jadzia Chmura czekała na lepsze okoliczności, w których można będzie go zużyć tak, jak się powinno, smakując, wysysając z niego słodycz. Jadzia czas kiszyła i konserwowała, przesmażała z cukrem, pasteryzowała; zamarynowała czas hermetycznie w słoikach z napisem ogórków 1991, czarna porzeczka 1992, papryka 1993, buraczki z papryką 1994, truskawki w miodzie 1995, kapusta z kminkiem 1996. Ustawiała rzędy zakiszonych i zamarynowanych lat na półkach w piwnicy, gdzie brakowało

już miejsca. Lśniące słoiki pokrywały się kurzem i pajęczynami, wieczka zaczynała nadgryzać rdza i dostawały się pod nie tak znienawidzone przez Jadzię bakterie. Zamarynowany czas niekiedy pokrywał się pleśnią i gnął. Nie nadążała ze zjadaniem tego wszystkiego, bo ile samotna starsza pani jest w stanie zjeść ogórków, ile wypić kompotów z truskawek, soku z jeżyn, a tu przychodziła wiosna, raz-dwa i już lato, i trzeba było kisić nowe ogórki, gotować i smażyć świeże owoce, wybierane starannie na bazarku Manhattan na Piaskowej Górze. Zamarynowane, przesmażone i ukiszone lata były dla Jadzi Chmury okazją do czekania i do wspomniania zmarłych, męża Stefana, który ogórki do wszystkiego mógł, trach, trach, chrupał do śniadania, obiadu i kolacji, albo grzybków, grzybki też, do wódki najchętniej niestety; matki Zofii, co na słodkie była łakoma jak dziecko, taki soczek to prawie sam, ledwo rozrobiony by sączyła całą zimę i zszedłby do ostatniej butelki, nie mówiąc już o ojcu Jadzi, tym prawdziwym, Maćku Maślaku, bohaterze wojennym, który do ziemniaków zawsze musiał mieć kiszoną kapustę, bo tyle na temat jego obyczajów kulinarnych zdołała się dowiedzieć, a więcej dowiedzieć się nie było już od kogo. Jadzia Chmura w pokorze przyjmowała fakt, iż czas poddany konserwacji jednak ulega zmianie, tak jak truskawka z kompotu różni się od surowej, ale to cena, jaką trzeba zapłacić za możliwość zachowania przeszłości w słoikach. Lepsza taka niż żadna! Schodziła do piwnicy, tupiąc głośno nogami, by wypłoszyć szczury, otwierała kłódkę i odsuwała zasłonkę zrobioną ze starej story; ile tam tego było! Równo stojące rzędy słoików kołysły jej serce i przynosiły spokój, były dni, gdy warzywa



i owoce w przetworach wydawały się Jadzi jedyną pewną rzeczą na świecie. Nietknięte maliny 1995, powidła 1994, jagody z tego samego roku, wciśnięte z tyłu dolnej półki i, o, jeszcze jedne grzybki z 1990, same łebki prawdziwków; Jadzia wytarła wieczko słoika z kurzu i ucieszyła się, że Dominika tego wszystkiego spróbuje. Jadzia będzie otwierała dla niej kolejne słoiki, tak jakby otwierała te lata, gdy jej córka jeździła po świecie, a ona siedziała na przekętym bocianim gnieździe; tu mamy 1990, tu 1991, tu 1992, wyjątkowo wtedy obrodziły czereśnie, i tak dalej, w przyrodzie nic nie ginie, a już na pewno nie u praktycznej Jadzi Chmury z Piaskowej Góry. Jadzia przyniosła kosz słoików, otworzyła dla Haliny kompot czereśniowy 1995 i zaczęła przygotowania do świąt z taką werwą i rozmachem, jakby miała gościć dwanaście osób przez miesiąc.

Dominika przyjeżdżał chwaliła się wszystkim znajomym z Piaskowej Góry, ma już papiery amerykańskie i przyjeżdża na święta; teraz może sobie po całym świecie bez wiz żadnych jeździć. Mogłaby, gdzie by chciała, do Paryża, na Wyspy Kanaryjskie, a do Wałbrzychu przyjedzie, z matką się zobaczyć. Sama? gasiła ją niewinnym pytaniem Lepka, ale Jadzi, w miarę jak przybywało lat, ubywało łagodności i już nie dała sobie w kaszę dmuchać. A po co jej przydupas? Lepiej sama, niżby miała se takiego wziąć, co weźnie dupę w troki i na wojnę pojedzie jak pani syn. Niektórym się pośpieszyło, brały pierwszych lepszych i co z tego mają, gównu w papierku. Nic nie było w stanie zbić jej z tropu kupowania, planowania, upychania do lodówki gór jedzenia. Halina była zbyt słaba, by pomóc Jadzi w wielkich przygotowaniach; leżała w pokoju Dominiki albo siedziała w ubikacji i pali-

ła papierosy, a synowa przelatywała koło niej, jakby ubyło jej kilogramów i lat. Zawsze oszczędna i gospodarna, Halina wymyśliła, że dobrze byłoby już teraz kupić trumnę; mogą ją przecież trzymać w kącie koło okna, zasloną się przykryje. Potem, zwłaszcza jakby na święta przyszło ją chować, wszystko będzie na łapu-capu i zedrą z nich skórę. Zwlokła się Halina Chmura z łóżka i pod nieobecność synowej zadzwoniła do zakładu pogrzebowego Hades, a gdy po południu Jadzia otworzyła drzwi, dwóch mężczyzn zapytało, gdzie nieboszczka? i awantura była jak za najlepszych lat. Jaki wstyd, Jadzia, wstyd to kraść, a nie umierać, gdyby mogła kupić trumnę za życia, umarłaby spokojniejsza, rzeziła Halina. Czy Jadzia nie pamięta, co było, jak Stefana chowały? Łapiduchy wycykały je co do grosza, a ile na same wieńce poszło, tłumaczyła synowej. Halina nie mówiła Jadzi, że ból, który czuje, nie daje się już oszukać i nie odpuszcza jej nawet po podwójnej dawce tabletek zażywanych w tajemnicy, ale uparła się, że doczeka do przyjazdu wnuczki. Pozwoliła sobie nawet zafarbować resztkę włosów papką z henny kupionej od Ruskich na Manhattanie, miały być kasztanowe, a wyszły ogniste czerwone; o Matko Boska, przestraszyła się Jadzia, ale Halinie spodobała się nowa fryzura, bo widziała wyraźnie już tylko jaskrawe kolory. Rano w Wigilię nakręciła ogniste włosy na metalowe wałki, których używała od pół wieku, i mimo iż prześwitywała jej łysa głowa, uznała, że dobrze prezentuje się na przyjazd wnuczki. Zadowolona z siebie, lyknęła garść tabletek i zapaliła extra mocnego, bo ból wgryzł się w nią ze zdwojoną siłą.

Gdy niemal wszystko było gotowe, Jadzia poleciała do rybnego po karpia, karp musi być żywy, to rozumie



się samo przez się, żywy karpik najlepszy i do galarety, i do smażenia, i po żydowsku. Kiedyś trzeba było kupować karpia tydzień przed świętami, w kolejce się nastać, aż nogi w dupę wchodziły, a potem do Wigilii mycie w misce, bo w wannie karp. Teraz wystarczy dzień wcześniej wyjść i jeszcze wybrać można mniejszego czy większego, a jak się chce, to zabijają na miejscu i wypatroszą. Francja elegancja i demokracja, wzdychała Jadzia. Nie chciała jednak, by karpia trzaśnięto na stoisku rybnym w Realu, bo w jej domu karp zabijany był tuż przed dalszą obróbką; w moim domu, deklarowała z powagą, karpika zabija się w ostatniej chwili, osolone dzwonka muszą podskakiwać, wtedy widać, że ryba jest naprawdę świeża. Kiedyś zabijał Stefan, a przez kolejne dziesięć lat po jego śmierci Halina; Jadzia uważała, że jest na to za delikatna. Od zabijania są mężczyźni, powtarzała, a jak mężczyźni zabrakło, obowiązek przejęła teściowa, która z racji starości wydawała się kobietą mniej niż ona. Halina, ta to umiała karpia rąbać, raz a dobrze, prosto w ciemiączko, Stefan zawsze bił za słabo i musiał poprawiać, szkoda mu było, mówił, i całą podłogę w kuchni trzeba było myć, bo ryba uciekała po niej z rozbitą głową. Mała Dominika najpierw karmiła rybę okruskami chleba, a gdy przychodził moment egzekucji, darła się, że jak można zabić stworzenie, któremu narobiło się nadziei, i wybiegała z domu, trzaskając drzwiami. Fiksum-dyrdu i fiu-bździo, przewracała oczami Jadzia i nigdy nie przyjęła do wiadomości, że jej dziecko nie chce jeść takiej pysznej rybki w żadnej postaci. Ciekawe, kiedy ona w końcu przyjedzie? Zwariować można z tego czekania; Jadzia była tak nasączona czekaniem na córkę jak

wielka szynka w jej lodówce ziołową marynatą. Mamo, samolot się spóźnił, był alarm na lotnisku, będę w samą Wigilię, Dominika nieźle nastraszyła Jadzię; Matko Boska, alarm na lotnisku, zepsuło się co? Nie, nie, myśleli, że bombę ktoś podłożył w toalecie. Zwariować można z tym dzieckiem, Jadzia do świtu nie zmrużyła oka, bo gdy tylko ogarniała ją senność, nagle eksplozja jak z filmu wojennego, których nie znosiła, rozpryskiwała ciemność pod jej powiekami.

W Wigilię, tuż przed zamknięciem sklepów, wyszła, by kupić jeszcze trochę słodczy, bo a nuż trzy pudełka ptasiego mleczka, kilo mieszanki wedlowskiej, cztery krążki chałwy i sześć czekolad o różnych smakach będzie za mało dla jej córki cukrolubnej. Przy okazji poprosi Waldka, co był kiedyś górnikiem, a teraz robi za ochroniarza w supermarkecie, żeby po robocie wpadł i karpia trzaśnął, bo Halina już temu nie podoła. Zaczynał chwytac mróz, asfalt lśnił jak posypany szkłem, Jadzia mocniej naciągnęła stary beret, pochyliła głowę w podmuchu lodowatego wiatru. Córka przysyłała jej takie ładne rzeczy, pytała, i jak ci się je nosi, mamo? a matka odpowiadała, że piękne, trzyma na specjalne okazje, bo szkoda je nosić na kole domu. Gdyby jeszcze używane, ale wszystkie z metką, którą jakoś żał urywać.

W połowie drogi do Realu zamyślona nad karpem i życiem Jadzia Chmura wpadła na Leokadię Wawrzyniak, matkę księdza Adasia, której na Piaskowej Górze nie widziała od lat. Pani tu? A ja właśnie do pani na chwilę, powiedziała Leokadia, że w Wigilię zastanę, pomyślałam, czasu dużo nie zajmę. A jak to powiedziała! Jakby z góry patrzyła na czubek głowy Jadzinej. Do mnie? zdzi-



wiła się Jadzia, jak to do mnie? Nigdy przedtem nie rozmawiała z Leokadią, ale pamiętała ją z czasów, gdy ksiądz Adaś był w Walbrzychu i romansował z Dominiką. Łajdus, nie ksiądz, się okazało. Raz minęły się na plebanii, niedługo po całej awanturze, i Jadzia wrogość Leokadii poczuła tak wyraźnie, jakby ktoś uderzył ją w twarz, aż jej się niedobrze zrobiło i za rogiem zawstydzona swoją słabością splunęła gorzką śliną. Niewiele się zmieniła Leokadia Wawrzyniak, potężna, jakby z dwóch dętek do tira złożona, jedna w piersiach, druga pośrodku, fryzura elegancka, zwieńczona czapą z lisa, z lisa futro srebrnego, buty w szpic, w uszach błysk złoty. Kawał baby, pomyślała Jadzia i wyprostowała plecy, mocniej zacisnęła palce na ręczce chińskiej torebki nabytej jesienią na Manhattanie, jak skórzana, z diamencikami, kieszonkami. Jak to do mnie, a po co pani do mnie? Już pani wie, po co do pani, z godnością na to Leokadia, wciąż z góry. Co po co, że wiem? Po co do mnie, chcę wiedzieć, a nie, że wiem, po co, bo nie wiem, po co, odrzekła roztropnie Jadzia, która domyśliła się od razu, że do Leokadii dotarła wieść o przyjeździe Dominiki. Leokadia powietrza nabrała, niech pani nie udaje, że nie wie, po co, jak każdy wie. Że po co, się pyta, jakby nie wiadomo było, po co! Jadzi kolej. A pytam, bo jak pani mówi, że wiem, po co pani do mnie, to ja się pytam, skąd pani wie, co ja wiem, jak ja chyba lepiej wiem, co wiem, a czego nie wiem, i mówię pani, że nie wiem, po co. To niech pani mówi, po co, bo czasu nie mam. Sama się Jadzia zdziwiła potoczności swej wymowy i jakby silniejsza się poczuła, harda; nie da się tej niemiliźnie przyjezdnej, w lisy odzianej. Ale wróg też nie ułomek; jak wróg jest babą, to jak się mówi?

dziwna wątpliwość pojawiła się w głowie Jadzi na co dzień niesklonnej do lingwistycznych zagadek. Leokadia się nadęła, a pierś miała pojemną, w końcu na śpiewaczkę operową warunki zmarnowała, ryknęła; Adasia zmarnować nie pozwoli, bo tylko on jej został. Pani się nie pyta, po co, pani tej swojej, jak przyjedzie, pilnuje; wypaliła, huknęło, rozszedł się zapach prochu. Adaś pod Wrocławiem proboszczem jest, a biskupem zostać może, z Bożą i matczyną pomocą. Taki syn to skarb. Pani pojęcia nie ma. Ani syna! Jadzia, która od lat cierpiała na uderzenia gorąca, poczuła, że to uderzenie, które właśnie promieniuje z jej podbrzusza, ma siłę sztormu, ale nie powala jej, nie osłabia, lecz napenia czymś gorącym i silnym. Strumyki gorąca dotarły aż po koniuszki palców jej uszkodzonej prawej dłoni, poruszyła nimi dla pewności, działały, hardziały, jak wtedy, gdy rodziła. Nie uciekła Jadzia Chmura, żeby potem przez całe miesiące zatruwać się złością i układać przemowy, których nigdy nie wygłosi w odpowiedzi na doznaną przykrość. Nie bała się wrogowej, wrożycy, wrogin! Ha! Prychnęła śmiechem w pierś Leokadii, w gniew się przekuwała babska złość. Biskupem dupem wielkim strupem! Aż się Leokadia zgięła, hardość Jadzi ugodziła ją w brzuch jak z buta. Pani sama lepiej synka pilnuje, pod spódnicę se pani go wsadzi, tylko żeby nie zaśmierdł, zaszarżowała Jadzia Chmura. Moja Dominika by go do butów czyszczenia nie wzięła. Moja Dominika ma narzeczonego w Ameryce! Gołodupca w kiece jej nie trzeba, tchórz! Jej śmiech jak bomba pełna gwoździ w Leokadii rzucony twarz, punkt dla Jadzi. Leokadia ugięła się lekko, ale odzyskała pion; słabiznę zasłoniła torebką skórzaną. Chciała śmiech



szydarczy Jadzi zmłpować, ale wyszedł jej cienki pisk mysi, spod lisiej czapy popłynął pot. Minę więc postanowiła przybrać pełną pogardy i wyższości, ale jakoś nie trzymała się jej twarzy ta mina, spływała jak maseczka ze śmietanki i twarożku, którą nakładała co piątek dla urody. A to co? Żeby panią bolać, że się tak krzywi jak na sranie? uprzejmie spytała ją Jadzia. Co za chamka z pani! Jaka matka, taka córka. Ja panią ostrzegam po dobroci! rzuciła Leokadia, ale słabiutkie to było, jakby pluła łupinami słonecznika. Ha! Jadzia czuła, jak moc w niej rośnie, oto dziś przyjeżdża jej piękna córka, co ma narzeczonego w Ameryce, a nawet jak jeszcze nie ma, to sobie znajdzie, będą razem w narzeczonych przebierać, wybierać, czy taki, czy siaki, najlepszego jej wybrać pomoże, doktora, dentystę, ordynatora. A potem bryczką w konie zaprzężoną na wesele w zamku Książ! Jak będą chciały, to sam Seweryn Krajewski na weselisku zaśpiewa. Inżynierowa wielka krowa, w myśli sobie Jadzia rymnęła, a na głos ryknęła, po dobroci to do paproci! Wyżej sra, niż dupę ma! i znów się roześmiała tak, że przechodząca obok Lepka wytrzeszczyła oczy i stanęła w rozsądnej odległości, gdzie zebrała się już spora grupa obserwatorów. Coś się stało? A stało! Chmura matce naszego romansowego księdza tak przysrała, że ho, ho. Jadzia? zdziwiła się Lepka. A Jadzia. Po dobroci to do paproci, powtórzyła Jadzia Chmura waleczna, srali muchy, będzie wiosna! Jak Dominika będzie chciała tego pani mamin synka zasrańca zobaczyć, to ja jej nie powstrzymam. Idź, powiem, córca, jedź do Wrocławia, na mszę południową wejdź, kiedy ludzi najwięcej, i powiedz, jak przez niego omal nie zginęłaś. Przy ludziach powiedz, jak ci babkę

i dziadka spalili, a on nawet się słowem nie odezwał, dupę w troki wziął, na groby nie przyjechał, na dupie w Watykanie siedział i pierdzał w stołek. Sama z nią pojedę i palcem pokażę, to on, patrzcie, ludzie. Powiem, co myślę o chłopie, co ma krowie cycki zamiast jaj. Pierwszy roześmiał się Lepki; patrzcie, patrzcie, fajna babka z tej Chmury, choć na co dzień Smerf Maruda, zawtórowali mu basem Lepka i Zdzisio Śledź. Pypciowie przechodzili właśnie z wielkimi reklamówkami z Reala, w jednej karp podskakiwał w wagonii, w drugiej szkło, podeszli, co się dzieje, zapytać, a Lepka im na to, krowie cycki zamiast jaj. Ale jaja, ucieszył się Pypeć. Jakie jaja, krowie cycki! krzyknęła Lepka. Ten przyjazny śmiech sąsiadów był jak mur, o który Jadzia Chmura, harda i odważna, oparła się, by przygotować do kolejnej rundy. Kryś Śledź zbiegowisko zobaczyła z balkonu, gdzie bigos świąteczny w garze wystawiała, zbiegła w kapciach; nie daj się, Jadzia! Wzięła się pod boki Jadzia, wściekle spojrzenie Leokadii wytrzymała. Ha! Ho! Ho! Zapiszczała Leokadia, ho! ho! z blokowiska! Plebs! Godności szaty kapłańskiej nie uszanowała, tak ją pani wychowała, że nie uszanowała. On szatę to do tego zdejmował, coby mu się nie popaćkała, zauważył Zdzisio Śledź, a Pypeć klepnął go w ramię. Zbałamuciła mi dziecko, com na własnym łonie, Leokadia zawyla i z uszu poszła jej para. Nie pozwolę zapiszczała, po trupie moim! A wie pani co, wycodziła Jadzia z jadowitą słodyczą, ja mam radę dla pani, pani mu na supelek zawiąże, wodą święconą pokropi i będzie spokój. Śnieżek zaczął prosić, a kto się na śnieg nie cieszy, gdy święta; Jadzia poczuła, jak śnieżynka osiada jej na rzęsach i gorącą spływa łzą. Płomien-



na fala przelewała się w niej jak morze, w którym żyją piękne stworzenia o wielkich oczach, ostrych szczękach i ząbkach jak u bobrów, złośliwych parzydełkach. Wcześniej знаła tylko zatrute morza sargassowe, gdzie było to żywe morze? pomyślała, czemu tak późno? Leokadia ostrzelana, lecz żywa, krok do przodu postąpiła i dźgnęła Jadzię palcem perłowym szponem zakończonym. Po moim trupie! futro pod szyją rozpięta, zaraz tu wytnie Rejtana i lisa srebrnego uświni w błocie. Ja mego syna żadnej kurwie zmarnować nie pozwolę. Kurwa i Żydowica! wrzasnęła Jadzi w beret i przegięła. Jadzia nigdy nie zrozumie, skąd wzięła siłę i odwagę, ale jej prawa ręka zaciśnięta na torebce plastikowej nagle wystrzeliła zamachem szerokim, godnym miotacza, olimpijczyka greckiego; cała Jadzia, metr sześćdziesiąt w berecie, wyskoczyła w górę i przywaliła Leokadii w łisną czapę. Czapa spadła, Leokadia zachwiała się, weszła w przechył, łup, padła. Ale ją jębała, z podziwem skomentował Józek Sztygar; ale już, już podnosi się Leokadia, jeden cios chińską torebką od Wietnamczyka to za mało, by mamę-smoka powalić, tu trzeba mieczy, broni palnej, baranów siarką faszerowanych. Uważaj, Jadzia! Z poziomu na czworaka się Leokadia wspięła, najpierw tylne nogi ugięła, tyły w stronę grupy gapiów wypięła, przednie łapy wyprostowała, wstała. Trafiała ją Jadzia złotym okuciem w łuk brwiowy, choć nie celowała, i matczyną krwią się zalala Leokadia, okiem krwawym i strasznym łypała, zawarczała. Bokiem niezgrabnie ruszyła i z byka zaatakowała, ona wagi ciężkiej. Jadzia co najwyżej koguciej. Trzym się, Jadzia! Jadzia unik zrobiła, zachwiała się, upuściła torebkę i łokciem Leokadii zarobiła w nos, po-

szła krew, beret spadł. Krwi smak Jadzia na ustach poczuła, oblizwała się, co za smak, jak tatar, podniosła torebkę, się zaparła. Straszny wzrok Jadzia Chmura miała, jakby ogień się w nim odbijał, jakiś płonący dom, kwiaty o czarnych łebkach w ogniu gorejące, czyjs strach. Mocniej chwyciła ucha torebki, wrzasnęła, broń się, cipo na kaczych łapach, i ruszyła. Cipo na kaczych łapach? Leokadia zrobiła krok w tył i poczuła, że złamał jej się obcas u lewego buta, pani sobie uważa, zapiszczała, bo Jadzia torebkę rozhuściła nad głową jak nunczaku, to już nie Jadzia, to Bruce Lee, chińskich diamencików w powietrzu błysk, ogień, świst, zamęt, wirl Pierwszy cios trafił Leokadię w ramię, drugi w ucho, poprawiony trzecim precyzyjnie, łup, jeszcze raz łup i łup. Milicja! rozdarła się matka Leokadia, milicja, ratunku, na pomoc! Milicja poszła w pizdu, roześmiała się Krysia Śledź, teraz policję mamy, se pani może wołać do śmierci usraniej, bo dzielnicowy u proboszcza na śledziku. Pani se zawoła synka biskupa! poradził złośliwie Pypeć. Dupa biskupa! poparł go Józek Sztygar. Łup, dostała Leokadia torebką w czoło i łup, drugie ucho, łup, nunczaku w pierś bujną, łup, w brzuch. Nogi z dupy powyrywam, jeszcze raz tu zobaczę! Won mi, od mojej córki wara! Łup ją w nos dla sprawiedliwości za swój nos krwawiący, poprawione pod oko, co za precyzja, oko za oko, krew za krew. Won! Leokadia sromotnie pokonana zrobiła zwrot i kuśtykając, rzuciła się do ucieczki, a Jadzia biegła za nią jeszcze przez kilkanaście metrów i okładała po plecach, won, bo nogi z dupy. Won, cipo na kaczych łapach! Jeszcze raz na Piaskowej Górze zobaczę, to tak przyleję, że rodzony synek nie pozna! Won! darła się Jadzia, aż Leokadia zni-



kła w śnieżnej perspektywie pasażu pod Babelem. Ołda-  
ski przywitały Jadzię zwycięską, poklepywali ją po łopat-  
kach, wesołych świąt życzyli, wesołych świąt i szczęśli-  
wego nowego roku; chyba pierwszy raz sąsiedzi ze znie-  
nawidzonego przez nią Babela wydali jej się tacy ładni,  
nawet jednoreki i bezzębny Józek Szytgar, którego uścisk  
odwzajemniła, zapominając na chwilę o bakteriach. Kry-  
sia Śledź podniosła Jadzi beret, podała jej chusteczkę do  
otarcia krwi, otrzepała płaszcz, ale jej przypierdoliłaś,  
powiedziała z podziwem, gdy jechały windą na dziewią-  
te. A jak! potwierdziła Jadzia nabuzowana, się stawiała,  
niemilizna jedna, to co miałam robić, na głowę dać se  
nasrać?

Gdy zwycięska Jadzia weszła do mieszkania, poczu-  
ła zapach dymu wydobywającego się zza drzwi ubikacji.  
Otworzyła je i zobaczyła teściową, wychudzoną i ma-  
lutką niczym osesek, jak siedzi na zamkniętym sedesie  
z kolanami pod brodą i zaciąga się extra mocnym tak,  
jakby ssła pierś. Przebrała się już do wigilijnej kolacji,  
włożyła nowy sweter w fioletowo-czerwone wzory, któ-  
ry jej Jadzia kupiła na Manhattanie, chyba nawet spró-  
bowała pomalować sobie brwi, bo dwie czarne krechy  
przecinały jej czoło linią krzywą wyżej, niż chciała natu-  
ra. Przestraszyła się Halina na widok rozczochranej Jadzi,  
popatrzyła zdumiona na krew zakrzepłą pod jej nosem.  
Jadzia? już kończę, wycharczała. Niech mamusia idzie do  
stołowego, siądzie se koło choinki i zapali jak człowiek,  
nogi wyciągnie, na pufie se oprze. Się potem wywietrzy.  
Do stołowego? Matko Boska, pomyślała Halina, wlokąc  
się po ścianie w kierunku pokoju, skąd mrugały świat-  
ła choinki, czyżby jej synowa znów zwariowała, jak po

porodzie? A może gorzej, pić zaczęła? Jadzia, skąd ta  
krew? Przewróciłaś się? Niech się mamusia nie martwi,  
z Leokadią Wawrzyniak się pobila pod Babelem. Jak to  
się pobilaś? Podskakiwała. Dominice ubliżała, to ją je-  
błaś. Ja to nic, ją by mamusia zobaczyła, cipę na kaczych  
łapach, zaśmiała się Jadzia, aż zadrżały kryształ na me-  
lościance. A czym ją jebłaś, Jadzia? A torebką! Zwario-  
wała jak nie! zdecydowała Halina i korzystając z okazji,  
zapaliła sobie następnego papierosa w stołowym. Ale to  
nie był koniec niespodzianek, jakie Jadzia miała w zana-  
drzu na wigilijne popołudnie.

Weszła do łazienki, wymyła twarz, przyłożyła sobie  
na chwilę mokry ręcznik do nosa, pociągnęła usta per-  
łową szminką, przeczesała ondulację świeżo nakręconą  
z powodu świąt i przyjazdu córki. Ukucnęła przy wannie,  
gdzie pływał karp. Co się go nawybierała w Realu, naprze-  
bierała, ten za chudy, ten za tłusty, ten jakiś niewyraźny,  
pan mi tamtego, co się tak rzuca, pokaże, nie, nie tego  
zdechłaka, co mi pan tu wciska, o, tamtego, ale bysior,  
biore. Na Babel leciała, mało nóg nie pogubiła, żeby nie  
zdechł jej po drodze. Karp podpłynął i spojrzał na Jadzię,  
do powierzchni wody pysk przybliżył, jakby chciał jej  
coś powiedzieć. I co, durny, pożyłbyś jeszcze? spytała Ja-  
dzia. Nie odpowiedział, ale wyglądał na zainteresowane-  
go dalszym rozwojem wypadków. Co miałbyś nie chcieć,  
odpowiedziała za karpia Jadzia, wszyscy chcemy. Podnio-  
sła się i wzięła wiadro plastikowe, w którym stał mop,  
zdaniem Jadzi jedna z największych zmian, jakie wniosły  
w jej życie demokracja i kapitalizm. Gdy coś się Jadzi po-  
dobało, mówiła, wiadomo, demokracja, albo, wiadomo,  
kapitalizm, z odpowiednio afirmatywną intonacją. Bo



też nie umywa się szmata do mopa, jeśli chodzi o mycie podłogi; nuciła sobie piosenkę z reklamy, gdy mopowała, wołę mopa, wołę mopa, nie chcę pętać po podłogach, mopa, mopa, mopa wołę. Różnorodność środków do czyszczenia, wybielania, szorowania, odplamiania, dezynfekcji i nabłyszczania nadała higienicznej pasji Jadzi nowy wymiar, bo teraz dopiero Jadzia-eksterminatorka miała pole do popisu w swojej walce z bakteriami i wirusami. Domestos, ace, gdzie tam do nich zwyktemu octowi! Przeplukała wiadro i wyłowiła nim karpia, ciężkie było. Dziwne, pomyślała Jadzia Chmura, karp to karp, ale że woda, przezroczysta jak powietrze, tyle waży. Mamusia sobie popali, potem ma tu colę, soczek wiśniowy, se wypije, ja zaraz wracam, rzuciła w drzwiach. Jadzia? Halina była już poważnie zaniepokojona, gdzie cię niesie? Zaraz Dominika może przyjechać, a ty gdzieś cieknieś, wycharczała. Z karpem w wiadrze? Jadzia? Się mamusia nie martwi, zaraz wracam, tylko karpia wypuszczę, i już jej nie było.

Jak nic, znów zwariowała, myślała Halina, odpalając papierosa od papierosa, i uśmiechnęła się do siebie. Zwariowała jej synowa, ale jakoś lepiej niż wtedy, dwadzieścia sześć lat temu, gdy albo leżała i gnęła, albo sprzątała i prała. A Jadzia biegła w dół przez Krzaki, które w ostatnich latach trochę uporządkowano, porobiono ścieżki, stawiano ławki, biegła w kierunku jeziora topielicy-pajęczycy. Już nie pompowano tam wody z kopalni, bo nie było kopalni; oczyszczono zbiornik i zrobiono dookoła skwer, posadzono wierzbę, forsycję, iglaki. Były tam łabędzie i kaczki, karpie, które karmiło się z mostku, raz widziała nawet żółwia z czerwonymi pasieczkami na

łebku, ale nie była pewna, czy jej się nie przywidziało, bo żeby żółw w Walbrzychu? O tej porze nikogo, pustka, tafla wody zlewała się z ciemniejącym powietrzem, pierwszy śnieg tej ciepłej zimy zmiękczał kontury, łabędź przepłynął w ciemności jak ulepiony z waty. Jadzia zatrzymała się na brzegu wody, popatrzyła na karpia, karp na nią, postawiła wiadro, podniosła twarz ku niebu, jak zawsze zimą było seledynowe. Ten kolor przypominał jej robaczki świętojańskie, które jako dziecko obserwowała w zaleskim ogrodzie; mamó, pomyślała Jadzia, szkoda, że cię tu nie ma. Otworzyłabym ci sok jeżynowy, malinowy, popiłabyś sobie z herbatą po kolacji, zaraz przyjedzie Dominika, zobaczyłabyś, jak wyrosła, jaka z niej światowa panna. Pochyliła się Jadzia, podniosła wiadro i chlusnęła wodę z karpem do jeziora topielicy-pajęczycy, które właśnie zaczynało pokrywać się cienką skórą lodu. W tym roku zamiast karpia będą kostki z mintaja, zaśmiała się, patrząc na rozchodzące się w gęstniejącej ciemności kręgi. Pewnie się przesłyszała, ale przez chwilę spod powierzchni wody dobiegał śpiew w jakimś nieznanym języku. Zdążyła Jadzia wrócić z pustym wiadrem na Babel, wywietrzyć, nakryć do stołu, a nawet poprawić krzywo narysowane brwi teściowej, gdy zadzwonił dzwonek i w drzwiach stanęła jej córka, Dominika.

do 338



atlantyk... Góra; w ok-  
nach m... torów, ale to ży-  
cie wewnątrz... wymiarze. To co  
z tą Sarą? pyta M... mi wszystko, opo-  
wiedz mi coś szalonego, Dominiko Chmuro.

Sara jest potomkinią Hotentockiej Wenus, zaczy-  
na Dominika, a nawet jeśli nie jest, to mogłaby być.  
Słyszałaś o Hotentockiej Wenus? Słyszałam, odpowia-  
da Małgosia i myśli, że tylko Dominika Chmura mogła  
przywieźć taką historię na Piaskową Górę, zamiast nie-  
ślubnego dziecka, zagranicznego narzeczonego, które-  
go tak pragnie starsza pani Chmura, czy choćby starego  
samochodu z Niemiec. A więc wiesz, jak Wenus wyglą-  
dała, ciągnie Dominika, i możesz sobie trochę wyobrazić  
Sarę, ale uważaj, żadna z niej niema muza Baudelaire'a,  
Sara Jackson mówi biegle w trzech językach, pachnie pa-  
czuli, ma żółte oczy i bardzo silne dłonie, gdy po wy-  
padku byłam słaba jak mucha, podnosiła mnie w górę  
i mówiła, idziemy, dziecko, idziemy. Gdyby Baudelaire  
przesadził z recytowaniem poezji, Sara ziewnęłaby i po-  
wiedziała, że woli prozę i jak ma jej coś ciekawego do  
opowiedzenia, to proszę bardzo, jeśli nie, to ona ma go  
w nosie i idzie na piwo. Poza tym mężczyźni, poeci czy  
nie, nie interesują jej, bo Sara, opowiada Dominika, nade  
wszystko lubi opowieści. Jej prababka Destinee ciągle  
opowiadała o Czarnej Wenus. To była nie byle jaka histo-  
ria, bo Wenus, aktorka prowadząca światowe życie, nie  
tylko posiadała kolekcję garderoby, jakiej nie widywano  
na Brooklynie, ale latała na żyrandolu, na kryształowym,  
wyobraź sobie. Gdy się znudziła, zmęczyła, hop, chwy-  
tała się żyrandola i leciała do Paryża, do Londynu, do

Afryki, tak jak my na dachu Babela do Chmurdalii. Sara  
uwielbiała tę historię, żyła w tej historii o wiele bardziej  
niż w codzienności. Sara opowiadała, opowiada Domini-  
ka, że weszła raz na krzesło, miała wtedy może z siedem  
lat, wspięła się na palcach, złapała się klosza i wyrwała  
całą lampę z sufitu, kable poszły w diabły i przez czte-  
ry dni nie było w domu światła. Babka La-Teesha mało  
się nie wściekła, bo za elektryka musiała zapłacić. Sara  
opowiadała, opowiada Dominika, że potem szukała tego  
uczucia, jakie może dać bujanie się na żyrandolu ponad  
głowami, ponad miastami i morzami, ponad kontynen-  
tami, i odnalazła je na karuzeli łańcuchowej, na której  
potrafiła przelecieć się sześć razy z rzędu, do tej pory  
uwielbia wesołe miasteczka. Po prababce Destinee Sara  
odziedziczyła Biblię, a w niej znalazła starą zniszczoną  
kartkę z wizerunkiem Wenus, wyglądającą trochę inaczej  
niż w opowieści, bo o wiele bardziej podobną do ko-  
biet, wśród których Sara dorastała na Brooklynie, niż do  
jakichś aktorek z Paryża. Kobieta o pełnych kształtach,  
w kolorze dobrze wypieczonego chleba, złożona z okrą-  
głych, jędrnych części, o wystających pośladkach i solid-  
nych udach. Na obrazku, który tak oczarował Sarę, była  
karykatura Saartjie Baartman, kobiety z plemienia Khoi-  
Khoi, pokazywanej w XIX wieku w miastach Europy jako  
egzotyczna osobliwość i brakujące ogniwo między mał-  
pą a człowiekiem; personifikacja czarnej i dzikiej Afryki  
wystawiona na spojrzenie białej i cywilizowanej Europy.  
Mała Sara tego oczywiście nie wiedziała i dzięki opowie-  
ści Destinee nadała wizerunkowi zupełnie inne znacze-  
nie, dla niej to po prostu była Wenus, aktorka z Paryża,  
latająca na kryształowym żyrandolu, silna, wolna i pięk-



na. Kobieta na wizerunku, potężna niczym królowa, obnażona, z papierosem w ustach, wydawała jej się niesamowita, emanowała mocą i czułością jednocześnie. Sara wyobraziła sobie, że taka mogłaby być jej matka Shaunka, gdyby nie umarła, ona sama może taka stać się i wyruszyć w świat, to była kusząca perspektywa. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że z małej i chuderławej dziewczynki o klatce piersiowej jak klatka dla papugi szybko stała się bardzo kobietą nastolatką, rzeczywiście coraz bardziej podobną do postaci ze starego obrazka. Na ilustracji, którą Sara odziedziczyła po prababce, napisy są zatarte, rysunek ledwo widoczny, i gdy nauczyła się czytać, zgadywała, co jest napisane w dymku nad głową Wenus i pod jej stopami. Love and Beauty. Saartjee the Hottentot Venus, to dało się odcyfrować, ale już niewiele więcej; Take care of... tyle było widoczne w obłoczku, który przechodził w jakąś tłustą plamę, i Sara opowiadała, opowiada Dominika, iż była pewna, że Wenus przekazuje jej w ten sposób wiadomość, której sens powinna odkryć. Dbaj o... o co? Na wszelki wypadek Sara otaczała odtąd troską wszystko, co jej zdaniem potrzebowało opieki, i raz jakaś staruszka, którą chciała przeprowadzić przez ulicę na Brooklynie, walnęła ją łaską i złamała nos, bo myślała, że mała Murzynka próbuje zwędzić jej torebkę. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej dziadek, Johnny Torba Pełna Niespodzianek, podczas jednej z krótkich wizyt przyniósł papugę, wielką jak kura i osowiałą, zachowywała się, jakby była naćpana, co zważywszy na kręgi, w jakich się obracał pan Johnny, było zresztą wysoce prawdopodobne. Papuga była jaskrawoczerwona jak wnętrze papai i miała trochę wyleniały łeb,

którym z uporem tarła o pręty klatki. Johnny znikł, doprowadzając im nowe żelazko, i babka La-Teesha, wściekła i rozgoryczona, miała ochotę w ślad za nim wysłać tego wielkiego ptaka, i to najlepiej kopniakiem w dupę. Jednak Sara uparła się, że zaopiekuje się papugą, mówiła do niej, głaskała, karmiła jakimiś papkami, aż zwierzę wydobrzało, rozpostarło skrzydła i rozdarło się: *vie de merde!* Praszysko płci nieznanej i takiegoż pochodzenia mówiło po francusku, czego nikt na Bed-Stuy nie potrafił sobie wytłumaczyć, ale Sara uznała to za znak. Zaopiekowała się papugą, a ta mówi po francusku, Wenus była aktorką w Paryżu, opowiadała Sara, opowiada Dominika, to układało się w jakąś całość, której sens domagał się zrozumienia. To wtedy Sara wymyśliła sobie, że zostanie pielęgniarką albo rehabilitantką, będzie troszczyć się o pacjentów po wypadkach, operacjach tak jak o papugę i dzięki jej umiejętnościom wróć do zdrowia. Jediną istotą oprócz papugi, która chciała słuchać opowieści Sary o Wenus, był właściciel sklepu American Values, polski Żyd Icek Kac. Babka Sary, La-Teesha, mówiła, że jak na Żyda, to porządny z niego człowiek, pewnie w poprzednim życiu był czarny, i grzebała w koszach z przecenionymi towarami, wymieniając z Ickiem uwagi o polityce i pogodzie, dwóch rzeczach, na które nie miała żadnego wpływu. Sara odnosiła wrażenie, że babkę i Icka coś łączy, nie, nie romans, coś o wiele głębszego i bardziej pokrętnego, ale była za mała, by to zrozumieć. Zaczęło się od tego, że kiedyś, gdy poszła tam z babką na zakupy, Icek chciał jej dać lalkę, taką, jak to lalki, plastikową różową blondynę, a ona zapytała, czy ma inne, bo chciałyby lalkę przypominającą Czarną We-



nus. Czarna Wenus? zamyślił się Icek Kac, może znajdziemy, ale musisz mi o niej więcej opowiedzieć. Pierwszy raz ktoś pragnął jej opowieści! Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że zaczęła przychodzić do Amerykańskich Wartości i pomagać przy układaniu towarów, segregowaniu poplątanych biustonoszy i skarpetek, nalepianiu cen wypisanych na jadowicie różowych karteczkach, a Icek Kac nie dziwił się najbardziej nawet nieprawdopodobnej historii o Wenus, jaka przychodziła jej do głowy. Kryształowy żyrandol? dlaczego nie, a czy wie, z czego robi się kryształki? czy wie, że to specjalnie spreparowane szkło? Afryka, niech będzie Afryka, a czy chciałaby zobaczyć wielką mapę świata? znajdą na niej Afrykę, a w Afryce białą plażę, gdzie Wenus mogła przyjść na świat i urządzać przyjęcia. Jeśli ktoś rozumiał potrzebę opowieści nękającą Sarę, to był to właśnie Icek Kac, podrzucił jej delikatnie i niepostrzeżenie nowe fakty, z których Sara tkła opowieść o Wenus i jednocześnie swoją przyszłość; do dziś nie jest pewna, opowiadała Sara, opowiada Dominika, ile Icek wiedział, czy znał historię Hotentockiej Wenus, zanim go o nią zapytała. Od niego dowiedziała się, że słowo Hotentot jest obraźliwe, i nauczyła się oryginalnej nazwy plemienia, z którego Wenus pochodziła, Khoi-Khoi. Hotentot, jąkała, tak holenderscy kolonizatorzy nazywali Khoi-Khoi, bo nie mogli ani zrozumieć, ani nauczyć się języka, który wydawał im się barbarzyński i brzydki. Znasz najdłuższe słowo po niemiecku, pyta Dominika Małgosię. Nie? Hottentottenstottiertrottelmutterheutelrattenlattengitterkofferattentäter, czyli zabójca hotentockiej matki głupka i jąkały umieszczony w kufrze z plecionki przezna-

czonym do przechowywania schwytych kangurów. To nasz Tuwim wymyślił, a Icek Kac je znał i nauczył Sarę, która ma wielki talent do języków. Sara pokazała Ickowi wizerunek Hotentockiej Wenus jeszcze bardziej zatarty i zniszczony od ciągłego oglądania, a właściciel American Values nie powiedział, słuchaj, głupiątko, ten obrazek to karykatura, twoja Wenus była niewolnicą, a nie aktorką, pokazywano ją w klatce jak zwierzę. Nie, zamiast tego, dbaj o nią, powiedział, jest bardzo piękna; i dał Sarze teksturę teczki w truskawki, gdzie karykatura Hotentockiej Wenus spoczywa do tej pory. Icek Kac, opowiadała Sara, opowiada Dominika, pokazywał jej obrazki z brytyjskich gabinetów osobliwości, były tam karty, albinosi, kobieta z piękną falistą brodą, wielkolud o smutnej twarzy, ciała nietypowe, zniekształcone, dzikie, jakby chciał ją przygotować na coś, co dopiero miało nadejść.

Gdy Sara dorosła, zaczęła szukać innych śladów Wenus, inkrustowała szaloną opowieść babki Destinee faktami z życia Saartjie Baartman. Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że Saartjie Sarah Baartman urodziła się w roku 1789 na południowym wybrzeżu Afryki w plemieniu Khoi-Khoi; jej prawdziwe imię nie jest jednak znane, a to, pod którym przeszła do historii, zostało jej nadane przez białych. Portugalczycy odkryli te ziemie już na początku XVII wieku i od tego momentu zaczęła się tam cywilizacja, która dla Khoi-Khoi oznaczała głównie syfilis, niewolnictwo i inne białe choroby, łącznie z białą religią, która okazała się dla tubylców najbardziej śmiertelna. Saartjie wychowywała się na Wschodnim Przylądku, nad rzeką Gatmoos, jej Khoi-Khoi byli pasterzami bydła i owiec, wędrownym ludem,



przemieszczali się wzdłuż wybrzeża ze swoimi stadami. Saartjie straciła rodziców, gdy jej plemię zostało zaatakowane przez białych osadników. Nie wiadomo, gdzie przebywała i co robiła potem osierocona dziewczynka, ale to wtedy nadano jej białe imię Sarah i białe nazwisko Baartman. Saartjie to afrykanerska wersja Sary, oznacza małą Sarę i wyraża raczej podporządkowanie nazywającemu niż jego czułość, bo w tej historii w ogóle niewiele jest troski i czułości. Kolejna pewna rzecz na temat Saartjie to jej służba u holenderskiego farmera nazwiskiem Caesar. Jest prawdopodobne, że zanim tam trafiła, została przyuczona do prac domowych w jakiejś szkole misyjnej, i wtedy odebrano jej pierwsze imię, którego nigdy nie miała odzyskać, bo wydawało się tak nic niewarte, że nikt go nie przechował. Nie wiemy, czy była dobrze traktowana przez Caesara i jego rodzinę i jak wyglądało jej życie. Ja, mówi Dominika, gdy Sara opowiadała mi tę historię, wyobraziłam sobie dom otoczony werandą, jest samo południe, okna zasłonięte, cisza, a wokół drga powietrze tak gorące, że wszystko, co żywe, ucieka w poszukiwaniu cienia pod rozpalonym do białości niebem. Wewnątrz żona Caesara, ponura kobieta o sinawej cerze i wielkich dłoniach, przeklina Afrykę i los, który każe jej mieszkać na tej bezbożnej ziemi, tak gorącej, że można w niej gotować jajka. Z tego martwego domu na pustkowiu wychodzi młoda Murzynka, ma białe stopy, niesie na głowie kosz z upraną bielizną, zatrzymuje się nagle i patrzy tak, jakby wiedziała, że ten biały żar zapowiada coś innego, paryski śnieg, londyńską mgłę. Kolejna pewna data to rok 1810, gdy Saartjie zostaje sprzedana bratu farmera, Hendrickowi, który ma ziemię w pobliżu.

Może sam wpadł na ten pomysł, może ktoś mu to powiedział, ale wkrótce potem postanawia on opuścić Afrykę razem z Saartjie. Lord Caledon wydaje awanturnikowi pozwolenie na wywiezienie dziewczyny z Afryki; podobno nie wiedział, biedny, w jakim celu Hendrick zabiera młodą Murzynkę do Londynu, i było mu potem wstyd. Ale stało się. Na statku, którym płynęła z Kapsztadu dwudziestoletnia Saartjie, były prawdopodobnie inne egzotyczne zdobycze martwe i żywe, możemy je sobie wyobrazić, szalejący w klatce lew, skóra zebry, kły słonia. Jak mogła wyglądać morska podróż Holendra Hendricka i Saartjie, która miała wkrótce zostać Hotentocką Wenus? Wyobrażam sobie, mówi Dominika, że ubrana po europejsku stała i patrzyła na ocean, znikające na horyzoncie brzegi Afryki i zaczynała rozumieć, że nigdy tam nie wróci, ale nie może utracić nadziei na ten powrót, bo wtedy nie będzie miała już nic. Co pomyślała, gdy zobaczyła Wielką Brytanię? Kraj, który nie miał nawet nazwy w języku khoi-khoi? Jaki zapach miała dla niej ziemia tak inna od wszystkiego, co знаła? Czy podczas podróży Hendrick rozmawiał z nią, a jeśli tak, to o czym? Obiecywał jej wspaniałe życie w Europie? Traktował ją pogardliwie? Z niechęcią? Pożądaniem? Sypiał z nią? Sypiał, mówi Małgosia, nie oparłby się, musiał na własne oczy zobaczyć, co ona tam ma, przekonać się, jaka jest w dotyku, jak smakuje, a im mniej ją rozumiał, tym bardziej jej nienawidził. Mogli rozmawiać, podpowiada Dominika, bo Saartjie mówiła biegle po holendersku, i to kolejny znak, że pewnie była w szkole misyjnej; ale mogli też milczeć. Może Hendrick, zadowolony, że udało mu się wywieźć Saartjie z Afryki, prawie się do niej nie



odzywał, może rozmowę z czarną dziewczyną uważał za coś poniżej godności, a wstyd z powodu tego, co zrobił, szedł w zawody z zadowoleniem na myśl o przyszłych zyskach. Być może już liczył pieniądze, jakie zarobi na Saartjie, i patrzył na jej wypukłe pośladki, które wyrastały poniżej kręgosłupa jak wielki mięsisty kwiat. Im bardziej otluszczone były pośladki kobiety Khoi-Khoi, im bardziej wystające, tym uważana była za piękniejszą przez współplemieńców. Steatopygia, mówi Małgosia, tak w języku medycyny nazywa się zwiększony przyrost tkanki tłuszczowej na pośladkach, który cechuje między innymi kobiety Khoi-Khoi i Pigmejki. Za klasyczną steatopygię uważa się przyrost pod kątem 90 stopni, wyobraź sobie, i z tego punktu widzenia neolityczne figurki kobiece, na przykład Venus z Willendorfu, nie mają klasycznej steatopygii, bo im przyrasta pod kątem 120 stopni. Wszystko potrafimy zmierzyć, nawet normalny i nadmierny przyrost tyłka, a jako punkt odniesienia służy nam nasza biała dupa. Nadmierny tyłek Sary, opowiada dalej Dominika, miał stać się atrakcją stolicy ówczesnego świata, pięknego Londynu, ale nie tylko tym szczegółem urody Saartjie zamierzano przyciągnąć gawiedź spragnioną egzotyki i dzikości. Prawdziwy skarb Hotentockiej Venus krył się między jej nogami; Sara-Saartjie była prawdziwą kopalnią cudów i gdyby nie konieczność zachowania pozorów, Hendrick Caesar pewnie już na statku zdarłby z niej ubranie, by inkasować zapłatę za wystawienie na pokaz jej hotentockiego fartuszka, jak to ładnie nazwano. Starsze kobiety Khoi-Khoi obciążały kamykami wargi sromowe dziewczynek, by były jak najdłuższe; takie uważano za piękne. Sinus pudoris, mówi Małgosia, na to

też mamy nazwę, i to nie jedną, nie myśl sobie, reprezentując starą profesję lekarzy, a jednym z naszych głównych zajęć jest od wieków dzielenie ciał na normalne i nienormalne, co zresztą niektórym medykom zawsze wydawało się bardziej interesujące niż leczenie. Sinus pudoris to nadmiernie, bo jakże inaczej, wydłużone wargi sromowe kobiet Khoi-Khoi. Zasłona wstydu, tablier, czyli fartuch po francusku, Hottentot apron w języku Szekspira. Jakże myśl o tym musiała rozgrzewać Londyńczyków w ponure listopadowe wieczory. Dzika Afryka, jej dzika cipka, ach, zobaczyć to na własne oczy! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że po przyjeździe do Londynu Hotentocką Venus pokazywano w klatce; miała być dzika, czarna, miała potrząsać swoimi wielkimi pośladkami, które tu nie były piękne i godne pożądania, a jeśli nawet, to nie takiego, które wolno byłoby okazywać przez miłość i troskę. W roli dziwadeł występowały też inne stworzenia: syjamskie bliźniaki połączone biodrami i pięknie tańczące przy dźwiękach pianina, dziewczynka o czterech nogach, chłopiec albinos o tak cienkiej skórze, że światło prześwietlało go na wskroś i można było zobaczyć wnętrze jego ciała, rzeki i dorzecza krwiobiegu, ukwiały jelit, bijące serce. Kto jeszcze? pyta Małgosia. Człowiek-słoń o twarzy pokrytej naroślami jak stary kamień, dziecko całe obrośnięte futrem i najbrzydsza kobieta świata, która mimo tego miała wielu adoratorów, człowiek-guma, wielkolud o głowie jak jajko i umyśle radosnego trzylatka. To była nowa rodzina przodkini Sary Jackson, mojej przyjaciółki, opowiada Dominika. Hotentocka Venus miała odgrywać w tym towarzystwie dziką kobietę, brakujące ogniwo między małpą a nami, proszę



państwa, oto małpa, która miesiączkuje. Hotentocka Venus była w klatce półnaga, z odkrytymi piersiami, ale z cipką zasłoniętą dla przyzwoitości jakimiś spódniczkami niby-afrykańskimi, paciorkami, skórą dzikich zwierząt, które podsuwały widowni domysł, że je za pomocą własnych pazurów rozszarpała i pożarła, jak na dzikusę przystało. Wystawiona na pokaz, odarta z człowieczeństwa, a jednak tam zakryta, jakby goła cipka była bardziej nieprzyzwoita niż wystawianie w klatce czarnej kobiety. Opowiadano o niej żarty, śpiewano piosenki, gawiedź zastanawiała się, z czego zrobione są jej pośladki. Mięśnie? tłuszcz? kość? Co czuła, patrząc na twarze gapiów? Co oni czuli? To dlatego Sara pozowała nago studentom akademii sztuk pięknych we Frankfurcie, chciała doświadczyć takich spojrzeń na własnej skórze i jeszcze lepiej zrozumieć Venus; studenci skarżyli się jednak, że ich trochę deprymuje swoim spojrzeniem. Miała jeszcze jeden powód, by podjąć ten eksperyment, moja przyjaciółka Sara, która ma ciało budzące pragnienie tak wielu mężczyzn i, tak, również wielu kobiet, sama nigdy nie czuła pragnienia i nie zna jego smaku. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że dlatego musi dotrzeć do samego początku swojej opowieści, która jest jednocześnie opowieścią Hotentockiej Venus. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej przodkinię oglądały w Londynie praczki i robotnicy portowi, profesorowie i pisarki, damy z towarzystwa i damy z ulicy, Jane Austen i znany abolicjonista, dzieci i staruszkowie. Wtedy powstała jej karykatura, która nie wiadomo, w jaki sposób znalazła się w posiadaniu Destinec, prababki Sary, niepiśmiennej służącej z Południa Stanów. Hendrick Caesar miał rację,

jego Saartjie stała się sławna, wkrótce zabrał ją na tournée po miastach i miasteczkach, bo na prowincji też chciano zobaczyć Hotentocką Venus. W Wielkiej Brytanii od 1807 roku obowiązywał zakaz handlu niewolnikami, ale niewolnictwo zostało zniesione dużo później, teoretycznie nie można było więc Venus sprzedać, ale można było ją wykorzystywać. Grupa abolicjonistów próbowała pomóc Hotentockiej Venus, napisano petycję, namówiono ją, by zeznawała przed sądem. Saartjie powiedziała, że wszystko dzieje się za jej zgodą i że ma świadomość swojej sytuacji, nie czuje się ani wykorzystywana, ani poszkodowana finansowo. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że zastanawia się nadal, dlaczego Venus to zrobiła. Miała jakiś własny cel? Nie chciała, by znów ktoś sobie ją przywłaszczył i używał jako przykładu? Z przekory? W poczuciu, że to, co jej zrobiono, jest nieodwracalne i nie ma powrotu do dawnego życia? Z Wielkiej Brytanii popłynęła do Paryża, jak cyrkowe zwierzę odstąpiona innemu właścicielowi. Jak ją do tego przekonano? Podobno wtedy już dużo piła, alkohol musiał być dla niej odkryciem, bo po nim nie czuła zimna aż tak dotkliwie. Rok 1814 w Paryżu, centrum nowoczesnej nauki, Hotentocką Venus zainteresował się profesor Georges Leopold Cuvier, zwany Napoleonem nauki, a także inni przedstawiciele naturalizmu i rodzącej się teorii ras. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że organizowano osobne pokazy tego żywego eksponatu w Muzeum Historii Naturalnej specjalnie dla szacownego świata nauki. Wyobrażam sobie, mówi Dominika, postument, na którym jak na scenie stoi Hotentocka Venus, pozuje, tak jak Sara pozowała studentom malarstwa, ale



nie odwzajemnia spojrzenia widowni: jej twarz jest jak zamknięta pięść, wokół krzesła i panowie o poważnych minach, wskazuje na nią mistrz ceremonii, szanowni koledzy, drodzy zebrani, oto przedstawicielka rasy znajdującej się na niższym szczeblu ewolucji, brakujące ogniwo. Patrzcie! drodzy koledzy, wytyczcie wzrok, oto dowód na poparcie mojej teorii. Nadmierne pośladki! Przyjrzyjcie się, podejdźcie bliżej, jeszcze bliżej. Zwróćcie uwagę na kąt, równe 90 stopni! Skrzypi węgiel po papierze, rysownicy uwieczniają Wenus, starając się nie przegapić żadnego szczegółu i właściwie oddać kąt. Czy można być jednocześnie bardziej widocznym i niewidocznym? Chyba trochę potrafię wczuć się w jej sytuację, mówi Małgosia. Sara opowiadała, opowiada dalej Dominika, że jeśli jest cień prawdy w historii prababki Destinee, to właśnie wtedy Wenus mogła poznać Napoleona. Powrócił z Elby na swoje ostatnie sto dni wątpliwej chwały, kurdupeł o schorowanym żołądku i ciągłym apetycie na kobiety, na podbijanie krajów, na wojenki. Interesował się koncepcjami Cuviera i można przypuszczać, że teoria ras była mu bliska, bo nie mogło być inaczej w przypadku kogoś, kto chciał przecież panować nad światem. Nie wykluczone, że tam był, stał w cieniu i patrzył, gładził się po żołądku i bekał, może poczuł niezaspokojone pragnienie podboju Afryki i jego wzrok zatrzymał się na cieple Wenus. Afryka! Gdyby tak należała do niego, tylko do niego! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że wyobrażała sobie ich spotkanie. Jak? pyta Małgosia. Właściwie mamy tylko to, wyobrażenia, więc wymyśl swoją wersję spotkania Wenus i Napoleona Bonaparte, odpowiada Dominika i wydmuchuje chimurkę dymu w wałbrzyskie

niebo, z którego na dach Babela coraz gęściej prószny śnieg. Proszę bardzo, mówi Małgosia. Myślę, że Napoleon chciał jej dotknąć, obejrzeć spokojnie w samotności. Nie potrzebował świadków, nie dla tego podboju. Może nie wiedział, czy skończy się na oglądaniu, a może od początku wiedział. Przyprowadzili mu ją, przywieźli zakrytą dorożką, w takich historiach zawsze są zakryte dorożki, prawda? Potem schody, kręte i ciemne schody dla służby, szpiegów i kochanek; taka historia nie może obyć się bez bocznych schodów. Ktoś prowadził Wenus pod ramię i tłumaczył jej nerwowym szeptem, że zaszczyt, sam Napoleon, że oczekują po niej godnego zachowania, ktoś inny usłużnie podawał jej butelkę z alkoholem, co mogła pić, może rum? A może absynt seledynowy jak wałbrzyskie niebo? Piła więc z butelki wielkimi łykami absynt lub rum i dzięki temu, że nikt nigdy nie patrzył jej w oczy, nie zauważono, że jest pijana, że uśmiecha się tak, jakby planowała lot na kryształowym żyrandolu. Potem były drzwi, ukłony, półmrok pokoju o zasłoniętych ciężkich storach. Powinny być aksamitne, prawda? Prawda, aksamitne, w kolorze wina, zgadza się Dominika, do tego złote chwasty, w takich historiach z dorożkami i bocznymi schodami nie wolno zmieniać zasłon. Drobną męczyzna z resztką włosów zaczesanych na pożyczkę stał oparty o... O co? O kominek, podpowiada Dominika, oprzyjmy Napoleona o kominek. Tak, mówi Małgosia, stał oparty o kominek, a płonący z tyłu ogień sprawiał, że na ścianie odbijał się jego wielki cień. Wenus widziała to już nie pierwszy raz, jakiś pokój, czekający męczyzna, aksamitne zasłony, zaczęła się rozbiierać. Naga i pachnąca rumem, a może absyntem, chciała mieć to już za sobą,



myślała o tym, by wrócić do swojego pokoju, zanurzyć się w kąpeli i wypić nową butelkę rumu, którą po drodze kupi, rumu albo absyntu. Napoleon podszedł do Wenus i stanął w tej swojej pozie z obrazów Davida, taki śmieszny, wystrojony przy jej nagości, z zadartą brodą, by wydawać się wyższym. Wenus nie była wysoka, ale bogactwo jej ciała sprawiało, że zmniejszył się jeszcze bardziej, jakby już przeczuwał swoje Waterloo. Ach, gdyby tak miał konia, mógłby konno ją objechać, tę krągłą kobietę o żółtych oczach. Postal i podumał, obszedł ją dookoła, bo konia nie było, niestety; patrzył. Płonął ogień, ale od kamiennej posadzki ciągnął chłód, Wenus odpowiedziała na spojrzenie bladego mężczyzny, który nie różnił się od innych białych mężczyzn, jakich spotykała w kolejnych zimnych pokojach Paryża. Mówili jej, że to najpiękniejsze miasto świata, idioci, którzy o pięknie nie mają pojęcia i nie potrafili nawet nauczyć się jej języka. Dobrze wiedziała, co znaczy gest mężczyzny, chciał się przyjrzeć, wszyscy zawsze chcieli zobaczyć, co za cud ma między nogami. Już napasł oczy jej pośladkami, pora na deser. Ta poważna mina, ściągnięte brwi, gdyby mogła opowiedzieć to innym kobietom ze swojego plemienia, tarzałyby się ze śmiechu po piasku, i Wenus też nagle zachciało się śmiać. Mały cesarz nie przywykł do sprzeciwu, zwłaszcza teraz był nieco drażliwy, gdy zwiął z Elby i ważyły się jego losy. Powtórzył, by rozsunała nogi, ale Wenus nie przestawała się śmiać. Od lat tak się nie śmiała! Nagle rzuciła się na niego, a może tylko zrobiła krok do przodu, krok w gniewie, i zamoczona alkoholem upadła, przygniatając sobą cesarza. Cesarski nos między pierśmi Wenus, ciężar jej bioder i pośladków na cesarskim

torsie, nie mógł, biedaczek, złapać tchu. Lubił swoją ukochaną Józefinę troszkę niedomytą. Józefino, nie myj się, nadchodzę, taką wieść przysyłał przez posłańca, gdy wracał z wojen, a tu nagle zapach rumem zaprawiony, rumem, a może absyntem, Napoleon chciał się wyrwać, ale gdzie tam; gdy spróbował unieść głowę, Wenus złapała go za grdykę zwinną ciemną ręką. Spojrzała na niego z góry. Jej oczy były żółte, płonął w nich ogień, w jej żyłach płonął rum, absynt seledynowy; chcieliście, bym była dzika, proszę bardzo. Poddusiła cesarza z wprawą, aż mu oczy wyszły z orbit i przestał się bronić, jeszcze tylko nogami w butach skórzanych przebierał, a ona nie przestawała się śmiać. Na nic Napoleonka podrygi rozpaczliwe, Wenus ścisnęła udami jego boki, aż zaskrzy-piało, przecież o to chodziło temu cherlakowi w białych spodniach, co wystroił się jak do cyrku, chciał ją zerznąć, więc skąd nagle to, ach, puść mnie, puść, ratunku. Rozeszmiana szaleńczo Wenus rozpięła pierwszy guzik jego spodni. Oczy wytrzeszczył, czoło mu się spociło, sapnął. Titi, zagulgotała do niego, poszła reszta guzików, znalazła, dosiadła, aaaach, jęknął, co za tempo, co za gorąc, to jakby znów pod piramidami, ach, czterdzieści wieków patrzy na was, to jakby Austerlitz, a nawet lepiej, achachachaaa. Acha, śmieje się Dominika, to wtedy Wenus zaszła w ciążę, bo niestety jednak dała się przechytryć małemu cesarzowi. Wtedy, zgadza się Małgosia, jakby sama za tę ciążę Wenus była odpowiedzialna. Co dalej? Teraz twoja kolej, Dominiko Chmuro, ja jestem lekarką, nie pozwoliłabym Wenus umrzeć, a obawiam się, że musi. Wenus była już chora, kasłała i pluła krwią, podejmuje wątek Dominika, prawie nie jadła, żyła rumem, ab-



syntem i kandyzowanymi owocami. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że szybko wpadła na pomysł romansu Wenus z cesarzem Francuzów. Gdy była bardzo młoda, szła śladem opowieści prababki i rola sobie, że Napoleon kochał Wenus do szaleństwa, że była jego prawdziwą miłością ukrywaną przed okrutnym światem. Ach, wzdycha Małgosia. Właśnie, mówi Dominika, z tego się wyrasta. Sara szybko doszła do wniosku, że jeśli w ogóle się spotkali, musiało to wyglądać inaczej, a miłości nie było w planie. A więc zaszła w ciążę i dziecko było naprawdę twojej Sary z Nowego Jorku, mówi Małgosia, dziecko Wenus i Napoleona. Dziewczynka? Chłopiec? Dziewczynka, śmieje się Dominika, pasuje mi tu dziewczynka, ale może niech będzie dla odmiany chłopiec? Dobrze, opowiada Małgosia, nie dyskryminujemy chłopców, chociaż z drugiej strony, Napoleon miał już dwóch synów. I to nieudanych, dodaje Dominika, dziewczynka? Dziewczynka. A więc Wenus urodziła w Paryżu dziewczynkę, córkę Napoleona, był rok 1816. Napoleon rozniesiony tymczasem w pył pod Waterloo został zesłany na Wyspę Świętej Heleny u wybrzeży Afryki, gdzie dokonał żywota podtruwany cyjankiem. Dzieckiem zaopiekowała się po śmierci Wenus jej pokojówka i jedyna przyjaciółka. To ona towarzyszyła jej do końca. Kim była? Jak to kim, mówi Dominika, albinoską o różowych oczach i włosach delikatnych jak kaczki puch, długich do kolan, zaplecionych w warkocz, drobną i chudą, z paznokciami jak muszelki. Wenus uprosiła swojego właściciela, by wykupił ją z jakiegoś nędznego teatrzyku, gdzie albinoskę pokazywano dla pieniędzy w akwarium, z doczepionym syrenim ogonem. Pochodziła z Ukrainy, miała na imię Olena.

dodaje Małgosia; Olena, oczywiście, zgadza się Dominika, syrena Olena. Wysokie kości policzkowe, wąskie oczy, złoty ząb. Najpierw była pokojówką i dozorczynią Wenus, potem przyjaciółką. Spały razem przytulone na łyżeczki, bo w pokoju Wenus było tak zimno, że szron osiadał na rzęsach; zima 1815 roku należała do najzimniejszych w historii. Śpiewała jej ukraińskie dumki ta Olena i grała na bandurze, parzyła herbatę w starym samowarze, a Wenus dolewała do filiżanki rumu i opowiadała o Afryce. Olena podawała jej lekarstwa, które nie pomagały, brała w sklepie na rogu masło i jajka na kredyt, bo kazał nimi karmić Wenus francuski lekarz. Człowiek, który kupił Wenus od Hendricka Caesara, od dawna się nie pokazywał, bo chora Wenus nie przynosiła zysków, tylko kłopoty, upijała się i kłęła, plula krwią i co rusz dostawała ataków wariackiego śmiechu, a do tego przytyła. Przez ostatnie miesiące Wenus i Olena żyły w Paryżu pozostawione same sobie i klepały biedę. W końcu albinoska zastawiła w lombardzie bandurę, bo już nic innego nie miały do sprzedania. Marzyły, że pojadą razem do Afryki, kupią dom, będą hodować zwierzęta, koło tarasu posadzą bugenwille tak jaskrawoczerwone, że trzeba będzie je codziennie podlewać, by nie wzniciły pożaru. Usiądą sobie na fotelach bujanych, pokolyszą się, pośpiewają, tylko bandurę trzeba będzie przedtem wykupić z lombardu. Nikt prócz Oleny nie wiedział, że Wenus jest w ciąży, i tylko ona była przy porodzie, ona w końcu widziała śmierć Hotentockiej Wenus, Saartjie Baartman, pierwszego stycznia 1816 roku. Wenus miała dwadzieścia siedem lat i umarła o wiele dalej od Afryki niż Napoleon, co za paradoks. Olena umyła martwą We-



nus, ubrała w najładniejszą sukienkę ze szmaragdowego aksamitu i ulubione koronkowe rękawiczki, zaśpiewała jej po raz ostatni, opatulila noworodka, włożyła do kosza, wymknęła się w noc. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że każda jej historia dochodziła do tego momentu, gdy ktoś wymykał się w noc z dzieckiem Wenus i Napoleona. My już wiemy, że dziecko było dziewczynką, i myślę, że Olena dała jej ukraińskie imię, bo takie uważała za najpiękniejsze. Oksana, decyduje Małgosia, znałam kiedyś bliżej jedną Oksanę, kiedyś ci o niej opowiem. A więc Oksana, córka Napoleona i Hotentockiej Wenus.

Następny wątek zaczyna się już w Stanach, w Alabamie, gdzie, opowiadała Sara, opowiada Dominika, prababka Sary, Destinee, pracowała w domu plantatora bawełny. Mogła być wnuczką Oksany. Tak! potwierdza Małgosia, nikim innym. Destinee nie była niewolnicą, ale nie była też wolna, bo nie umiała ani czytać, ani pisać, więc skupiła się na prasowaniu, w którym osiągnęła ponoć mistrzostwo, i na opowiadaniu, w którym też nie miała sobie równych; szalona opowieść o Czarnej Wenus to wszystko, co przekazała Sarze. Sara opowiadała, opowiada Dominika Małgosi, że Destinee nie pamiętała swoich rodziców, nic oprócz walizki jej nie zostawili, a i ona przepadła gdzieś po drodze. Walizka oklejona nalepkami, tyle zostało w pamięci Destinee, i może te nalepki z podróży, których nie umiała przeczytać, kryły odpowiedź na pytanie, skąd wzięła się w Alabamie.

Ciało Wenus poddano sekcji w Muzeum Historii Naturalnej; mistrzem ceremonii był baron Cuvier. Szkielet Wenus wypreparowano i opatrzone podpisem, do słoja

z formaldehydem trafiły genitalia Saartjie, dziwny różowawy kwiat. W dokumentach z sekcji zwłok nie ma słowa o porodzie. Może ukryto ten fakt, skoro nie znaleziono dziecka? Może komuś zależało na ukryciu? Szkielet, mózg i genitalia zostały w Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, gdzie zwiedzający mogli nareszcie napatrzeć się do woli na to, czego za życia Wenus nie chciała pokazać. Sara opowiadała, opowiada Małgosi Dominika, że dowiedziała się o tym od Icka, gdy miała kilkanaście lat i była w liceum. Może w ten sposób chciał utwierdzić ją w pragnieniu wydostania się z Bed-Stuy? Skoro został jakiś ślad po Wenus, Sara powinna przecież pojechać do Paryża i zobaczyć go na własne oczy, jakkolwiek dziwne i niebezpieczne takie przedsięwzięcie wydawałoby się jej babce La-Teeshy. Icek Kac popełnił samobójstwo, gdy Sara była w ostatniej klasie, a zrobił to tak, jak robił wszystko, cicho i nie kłopotząc nikogo. Znaleziono go martwego w pokoju wylepionym od podłogi po suficie zdjęciami; takie wieści przekazywano sobie na Bed-Stuy z ust do ust. Po śmierci Icka Kaca Sara zdecydowała, że będzie dalej się uczyć, babka La-Teesha załamywała ręce, że spotka ją los taki jak matkę, ale Sara uparła się i jako jedna z nielicznych dziewczyn opuściła Bed-Stuy, by studiować w college'u na Manhattanie. W wolnym czasie chodziła na seminaria na Uniwersytecie Nowojorskim i w New School, grzebała w bibliotekach i archiwach w poszukiwaniu śladów Wenus. Babka La-Teesha myślała, że Sara wpadła w złe towarzystwo, a ona siedziała w bibliotece, łąziła po wydziałach studiów afrykaniście i szukała kogoś, kto ją naprowadzi na drogę pewniejszą niż jej urwane ścieżki. Przekonała się, że jest



więcej zainteresowanych historią Hotentockiej Wenus, i że głównie są to kobiety, profesorki, kelnerki, poetki, pielęgniarki, w Nowym Jorku, Paryżu, Monachium i licho wie, gdzie jeszcze. Po ukończeniu college'u Sara zaczęła podróżować; raz pracowała w wyuczonym zawodzie rehabilitantki, raz robiła coś zupełnie innego, nigdzie nie zagrzała miejsca. To dlatego trafiła do tej wiochy pod Monachium, gdzie leżałam po wypadku i dzięki temu się poznałyśmy. Sara cierpiała, zostawiając babkę La-Teesha umierającą z niepokoju, ale zew Hotentockiej Wenus okazał się silniejszy, i do tej pory jest w drodze. A rodzice Sary? pyta Małgosia, co z jej ojcem, matką? Jej ojciec jest nieznany, a matki Sara nie miała, odpowiada Dominika, ale zanim uściśli tę dziwną informację, Małgosia zaprotestuje, że nie można nie mieć matki. Nawet ona ma! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej matka, Shaunika, została zamordowana, zanim ją urodziła; przyjście na świat Sary i morderstwo popełnione na jej matce zbiegły się w czasie tak, że nie da się stwierdzić, co zdarzyło się przedtem, co potem. Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że w tę noc były zamieszki na Brooklynie, a jej matka, Shaunika, poleciała gdzieś po zmroku; babcia La-Teesha nic więcej nie chciała jej opowiedzieć, bo nie jest tak gadatliwa jak Destinee. Shaunika miała narzeczonego, Demarco, który dawno temu zniknął z Bed-Stuy, może to on jest ojcem Sary, może nie, w każdym razie szukał Shauniki tamtej nocy razem z La-Teesha, ale bez skutku. Żyd Icek Kac, właściciel sklepu z tanimi towarami, pozwolił im się schować w magazynie, gdy gonili ich policja. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że babka La-Teesha o tej nocy spędzonej

z Ickiem mówiła tylko, ach, co ten Żyd naopowiadał, nic więcej nie dało się z niej wyciągnąć, jakby jego historia osiadła w niej w innej postaci niż słowa. Matkę Sary, Shaunikę, znaleźli rano w parku z rozprutym brzuchem, pustym jak wyjedzony arbuz; w krzakach nożyczki, zakrwawione szmaty. Twarz miała nienaruszona, ale ranę na głowie, jakby ktoś uderzył ją z tyłu, mocno, ale za słabo, by zabić. Rana na głowie i rozpruty brzuch, żadnych innych obrażeń, nie licząc połamanych paznokci, bo bronila się przed przemocą. Musiała upaść i wtedy jej to zrobili. A może raczej zrobiły. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że policjanci nie szukali sprawców zbyt gorliwie, bo co kogo wtedy obchodziła martwa czarna dziewczyna.

Dziecko znaleźli na stacji kolejowej Pensylwania; ktoś w końcu zauważył porzucony wiklinowy kosz i usłyszał płaczące niemowlę, jakiś mężczyzna, który znikł, nie podając swojego nazwiska, bo pewnie nie chciał robić sobie kłopotu, a młody dyżurny na posterunku nie zapamiętał jego wyglądu, tyle że był w kapeluszu. Podobno, ale co do tego też pewności nie było, ktoś widział dwie czarne dziewczyny z tym koszem, ale może tylko podobnym. Skąd więc wiadomo, że to ona, że Sara to Sara, dziecko z brzucha Shauniki? pyta Małgosia. Do końca nie było wiadomo, opowiadała Sara, opowiada Dominika. W koszu znaleźli tylko jakiś zielony szal, noworodek miał źle zawiązaną pępowinę, infekcję ucha i umierał z pragnienia. Lekarz ocenił, że dziecko przyszło na świat w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. La-Teesha, którą wezwano na policję, przysięgła, że tę zieloną szmatę rozpoznaje, oczywiście, szal należał do



jej córki, sama go dla niej kupiła na przecenie w sklepie lcka Kaca American Values, mogą jechać na Bed-Stuy, zapytać, i jest pewna, na Biblię przysięgnie, że tamtej nocy Shaunika miała go ze sobą. To ten sam szal, dziecko z kosza to jej wnuczka, córka Shauniki. Niewykluczone, że dano jej dziecko, nawet jeśli cała sprawa budziła wątpliwość, być może ktoś rozsądny pomyślał, że lepiej ominąć parę przepisów i dać czarnego noworodka kobiecie, która go chce, bo prędko druga okazja może się dzieciakowi nie trafić. Podejrzane, dwie dziewczyny z gangu, z którymi Shaunika miała na pieńku, znikły z dzielnicy, przesłuchania ich rodzin nie naprowadziły na żaden ślad, kamień w wodę; sprawę umorzono.

La-Teesha wróciła do domu z wnuczką, która po kilku dniach w szpitalu nabrała sił i nie było wątpliwości, że przeżyje; imię wybrała dla niej prababka, Destinee. Mała Sara darła się jak opętana i przez pierwsze tygodnie tylko prababka umiała ją uciszyć, a skoro dzieciaka bardziej uspokajały słowa niż butelka z mlekiem, to pewnie już wtedy zaczęła jej opowiadać o Wenus i naszpikowała ją tymi historiami jak goździkami cebule. Gdy Sara dorosła, postanowiła, że odwiedzi wszystkie te miejsca, w których Wenus była lub mogła być, i ruszyła w podróż szlakiem niesprawdzonych domysłów i podejrzeń. Niekiedy zatrzymywała się gdzieś na dłużej, by zarobić na dalszą podróż. Gdy ją poznałam w szpitalu w Monachium, mówi Dominika, trwała walka o to, by szczątki Wenus, ukryte w magazynach Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, pochować w jej ojczyźnie. Sara chciałaby, opowiada Dominika, by grób jej praprababki z plemienia Khoi-Khoi, znanej jako Hottentocka Wenus, był w pobliżu rzeki

Gatmous, pod afrykańskim słońcem. Marzy o chwili, gdy tak się stanie, a ona amerykańska praprawnuczka, pojedzie tam, by złożyć hołd swojej przodkini. Czy Sara nie chciała znaleźć tych, którzy zamordowali jej matkę? pyta Małgosia. Nie, Sara mówi, mówi Dominika, że dzięki tej historii chce się nauczyć kochać, a nie mścić.

## IX

Halina → do 373 wszystko się kończy, i jako... myślających na... że ma ono... mu brak, wzdych... dając się, jakby... dym. Gdyby... dowód zbliżający... strużki dymu; zdrowa pot... nąć, że dymna rzeka, prze... nie, porywała ze sobą ogłupiałe muchy, skrawki... i drobne przedmioty, których potem trzeba było szukać po kątach. Zdarzyło jej się trafić dymną strugą w Jadzię, a wtedy ta darła się, fuj, ale mamusia smrodzi tymi papierochami! i wymachiwała rękoma, jakby tonęła; czy mamusia musi mnie tak wkurzać? Teraz dym papierosów wylewał się z sinych ust Haliny jak wilgotna ektoplazma; staruszka co chwilę zanosiła się kaszlem, a po ataku łapała powietrze z wybaluszonymi oczami i Jadzia zamierała w przerażeniu. Teściowa jednak w końcu wra-



choć ze starym, cienkim, żółtym naczyniem i przypomni mi o pokoju Eulalii Barron, rosła z tych młode listki zwinięte były spiralnie i niekiedy wplątywały się Dominice we włosy. Opakowanie naczynia był list.

Droga Dominiko, pisała Eulalia Barron, a litery przypominały Dominice głos staruszki, cienki i drżący. Droga Dominiko, przedmiot, który dostałaś, jest dokładnie tym, na co wygląda. To stary nocnik, nocnik Napoleona Bonaparte. Widzisz, ja nie mam już nikogo i sporo w tym mojej winy. Postanowiłam opowiedzieć swoją historię Tobie, bo myślę, że należysz do osób, które potrafią zachować opowieść przy życiu. Opowieści wymagają ludzkiej dbałości jak paprocie, trzeba je karmić, zapewnić im światło. Czy mówiłam ci, że przypominasz mi trochę Władzię Dziurską, dziewczynę, która czytała mi książki, gdy byłam małą dziewczynką w Krakowie? Na pewno Ci mówiłam. Starzy ludzie lubią jednak powtarzać wszystko wiele razy, nie dlatego, że zapominają, ale ze strachu, że młodzi zapomną o nich. A jesteśmy tym, co pamiętamy, Dominiko. Podobieństwo, o którym piszę, to nie sprawa wyglądu, bo nasza Władzia Dziurska była niską, pulchną blondynką o zbyt długich ramionach i zielonkawych oczach. Łączy Was co innego, dostrzegłam to już wtedy, gdy po raz pierwszy czytałaś mi fragment *Odysei* o syrenach. Tak jakbyś pojawiła się u mnie w Nowym Jorku, by przypomnieć mi Władzię i w jednej opowieści połączyć moją przeszłość z Twoją przyszłością. Dzięki Tobie moja historia pozostanie żywa. Nocnik Napoleona, który Ci zostawiam, dostałam od mojego przyjaciela, bo chyba mogę tak go nazywać, Icka Kaca, polskiego Żyda, który

miał sklepik na Brooklynie. Na pewno mówiłam Ci o nim, choć sama wiele nie wiedziałam. Nasza przyjaźń z Ickiem nie polegała na wymienianiu imion, faktów i dat, ale na wspólnocie doświadczenia – oboje żyliśmy w przeszłości. Ocaleni nie są panami pamięci, bo nie mogą odgonić wspomnień, i to nas łączyło, mnie z Ickiem Kacem. Poza tym byliśmy małomówni, nie potrzebowaliśmy ważnych słów, a nieważne nie wydawały nam się warte wysiłku. Wiem tylko, że Icek dostał nocnik Napoleona w Polsce od kobiety, którą kochał, utracił i której szukał przez całe życie; nie wiem, jak miała na imię. Tylko jedną znam nazwę z jego opowieści, Kamieńsk. To małe miasteczko w centralnej Polsce między Piotrkowem Trybunalskim a Częstochową, może kiedyś zawiedzie Cię tam los, Dominiko. Ja nigdy w Kamieńsku nie byłam. Poznaliśmy się z Ickiem Kacem w Metropolitan Museum, gdzie, jak wiesz, przez lata pilnowałam ekspozycji w dziale starożytności. Naszej przyjaźni z Ickiem wystarczało wspólne przyglądanie się mumiom egipskim i tylko raz, właśnie przy mumiach, Icek powiedział mi o przechowywanej przez siebie pamiątce z przeszłości, o nocniku Napoleona. Po śmierci Icka Kaca dostałam tę śmieszna rzecz w spadku, wyobraź sobie. I nic więcej, słowa wyjaśnienia, co mam z tym fantem zrobić. Zrozumiałam, że Icek w ten sposób prosił mnie, bym przechowała jego historię, a mogłam to zrobić, tylko włączając ją we własną. Co za paradoks, że pamiątka po Napoleonie, który był antysemitą, trafiła do mieszkania Żydówki. Zauważyłaś? Robi się nas więcej w tej opowieści, na którą teraz składa się moja historia, historia Icka Kaca, Twoja i nocnika Napoleona. Kto wie, co będzie dalej! Ja użyłam nocnika



jako doniczki i dopiero gdy się pojawiłaś, pomyślałam, że być może Icek miał jeszcze jakiś plan czy przeczucie. Nigdy nie należy lekceważyć przeczuć, Dominiko. Poprosiłam dawnych znajomych z muzeum, by sprawdzili wiek nocnika, i okazało się, że jak najbardziej mógł być w posiadaniu cesarza Francuzów. Tego typu eleganckie nocniki produkowano na początku dziewiętnastego wieku w Łodzi, w manufakturze Dionizego Kołka, i ponoć były przez pewien czas bardzo modne, bo paniom podobały się sceny malowane na pokrytej złotem powierzchni. Nie sposób już powiedzieć, co przedstawiały, choć wydaje mi się, że widać tu zarys jakichś zwierząt i kwiatów. Robię dziś to, co, jak sądzę, powinnam zrobić, zapisuję Ci tę pamiątkę w poczuciu zbliżającej się śmierci, którą zapewne poprzedzi utrata jasności umysłu. Możesz zrobić, co chcesz, a ja mam dziwną pewność, że zrobisz dokładnie to, co powinnas. Odnoszę wrażenie, że podobnie jak ja w młodości, nie masz potrzeby celu, ale posiadasz zdolność odróżniania podróży od dryfowania, Dominiko wędrownia. Starzy ludzie wiedzą, że życie nie biegnie po linii prostej, choć może się wydawać, że akurat oni mają przed sobą tylko jeden kierunek, i to prostą drogą. Nic bardziej mylnego. Życie dzieje się zwykle w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jednocześnie, a mój problem polegał na tym, że podobnie jak Icek umiałam poruszać się tylko w tej pierwszej. Historia, którą dla Ciebie piszę, jest próbą wyjścia z przeszłości – zostawiam ją Tobie, bo masz całą przyszłość przed sobą. Możesz tę opowieść przeczytać kiedyś komuś na głos, tak jak mnie czytałaś książki. Możesz ją po prostu tylko pamiętać. Wybacz, że nie zachowam chronologii i za-

cznę od tego, od czego ma ochotę zacząć każdy wygnaniec, od momentu, w którym wszystko jednocześnie zaczęło się i skończyło. A więc posłuchaj, Dominiko, posłuchaj jeszcze raz opowieści starej kobiety. Uciekłam z Polski, z Krakowa, z moją mamą, Aliną, pianistką i tatą, Feliksem Meiselsem, prawnikiem, okrężną drogą przez Litwę, Rosję i Japonię; pani Eulalia Barron zaczęła opowieść od nowego akapitu, a Dominika przerwała czytanie listu, by zawołać Jadzię.

Chodź, mamó, przeczytam ci opowieść pani Eulalii Barron! Jadzia, która od kilku minut krążyła wokół Dominiki pochylonej nad listem, ciekawa do granic możliwości, co z tego wszystkiego wyniknie, usiadła i splotła dłonie na pokaźnym brzuchu, który nazywała oponą. Ponad nocnikiem Napoleona spojrzała na swoje dziwne dziecko; jak jej ładnie włoski podrosły, pomyślała. Przez okno wpadły promienie styczniowego słońca i resztki pożyty zalaśniły tak, że w Jadzi odżyła nadzieja na spieniężenie dziwnego spadku. Nie jest to wprawdzie srebro rodowe, ale może wypolerować i w antykwariacie w wrocławskim rynku by wzięli? Nie przerywała córce i reagowała po swojemu, przewracając oczami ze zgrozą na ucieczkę żydowskiej rodziny z Krakowa, szeptała, Matko Boska, na śmierć matki Eulalii Barron, Aliny Meisels, i samobójstwo jej ojca, Feliksa, w mętnych wodach japońskiego portu. Japonia? Matko Boska, taki świat drogi od domu! Kręciła głową na wieść o tym, że małżeństwo Eulalii i Leo Barrona nie przetrwało, bo przecież wydawał się takim miłym mężczyzną i tyle razem przeszli, a gdy padło imię Władzi Dziurskiej, w oczach Jadzi pojawił się niepewny błysk rozpoznania. Nigdy nie była mocna w rodzinnych genea-



logiach ani nie lubiła grzebać się w przeszłości, jak to nazywała, ale pamiętała, że jej babka Jadwiga z Zalesia, zabita podczas wojny żona młynarza, była z domu Dziurska i pochodziła z Częstochowy. Czy ta Władzia mogła być z nią spokrewniona? Jadzia próbowała policzyć lata na potwierdzenie lub odrzucenie tego podejrzenia, ale zniechęciła się, bo jak zwykle przy liczeniu, nie wychodziło jej nic pewnego. Znajome nazwisko przybliżyło jej jednak samą Eulalię Barron; poprzez Władzię Dziurską, tę albo i nie tę, Jadzia poczuła, że staruszka z Nowego Jorku jest jej jakoś bliska. Przetrawi to uczucie bliskości, dodając do swojego wyobrażenia Eulalii Barron parę mocniejszych akcentów, tak że stanie się podobna do jej matki, Zofii, takiej jaka by była, gdyby kochała Jadzię bardziej. Wkrótce Jadzia będzie nazywała nigdy niewidzianą Eulalię Barron ciocią i opowie Krysi Śledź spotkanej na bazarku Manhattan kolejną podkoloryzowaną historię o spadku, jaki ciocia Eulalia z Ameryki zostawiła Dominice, że i na życie jej starcza bez problemu, i na książeczce ma trochę odłożone. Opowieść cioci Żydówki, Eulalii Barron, trochę do niej podobnej w braku wielkich zdolności i talentów, zbliżyła też Jadzię do Ignacego Goldbauma, jej prawdziwego ojca. Eulalia Barron stała się ogniwem łączącym z tym onieśmielającym Jadzię człowiekiem, amerykańskim profesorem, którego jej matka podczas wojny przechowała na strychu w zaleskim domu i z którym przed siedmiu laty w tym domu spłonęła. To ich wszystkich tak wybili, popalili, z własnych domów wypędzili do jakichś Japonii, Kura-kaów, pomyślała w przypływie współczucia, w którym było coś jeszcze, bo Jadzia Chimura nagle zrozumiała, dla-

czego taki gniew ją ogarnął, gdy Leokadia Wawrzyniak nazywała Dominikę Żydowicą. To uczucie porównywalne do dreszczu doznawanego przy dźwiękach *Czarnej Madonny* było poczuciem więzi. Coś w niej obraziła Leokadia Wawrzyniak, nie tylko jej dziecko, lecz coś, do czego Jadzia, mieszaniec z Piaskowej Góry, córka Zofii Maślak i Ignacego Goldbauma, nagle poczuła przynależność. Wkrótce zacznie się zastanawiać, co i jak ma odpisać na przysyłane jej przez dzieci Ignacego kartki i fotografie. Czy wypada zdjęcie swoje wysłać? W domu czy na dworze? Ubrać ma się raczej odświętnie czy na kole domu? Żeby nie wyszło na ten przykład, że się specjalnie wysztafirowała i wyfiokowała! Upłynie jednak trochę czasu, zanim Jadzia zdobędzie się na to, by starannie wybrane i wypisane pocztówki rzeczywiście wysłać do Ameryki, a teraz, gdy tak siedzi przy stole z córką i patrzy na lśniący w styczniowym słońcu nocnik Napoleona, jej głowę zaprzątają inne ważne sprawy. Jadzia wzdycha, aż mi się zimno, córcia, zrobiło od tych historii, i postanawia zabrać się do obiadu, który niezależnie od dziejowych zamętów i nagłych spadków z Ameryki, musi składać się z dwóch dań z deserem i nastąpić o tej samej porze. Już ma założyć fartuch i zakręłować w swojej kuchni, ale coś jeszcze nie daje jej spokoju. A może ja bym, mówi do Dominiki, ten nocnik Napoleona wydezynfekowała jednak domestosem?



Rozłożyli folię na mokrym jeszcze piasku, na to kocyki, usiedli; świeciło słońce i dzień wydawał się prawie tak piękny jak tamten, który Jadzia pamiętała sprzed lat, było kurczę pieczone, ogóreczki małosolne, kanapki i placek z wiśniami, po piwku, dla kierowcy pół. Jadzia wdała się z Modestą Ćwiek, krawcową, w pogawędkę o modzie; tylko na wierzchu, pani Modesto, żadnego wstydu, subtelności; racja, pani Jadziu, pani powiem, za komuny to dziewczyny z byle czego umiały się ubrać, pieluszki pofarbowwały, męskie podkoszulki na lewo wywróciły, tu, mówiły, pani Modziu, pani mi falbanę przyszyje, tu gumkę wciągnie, przymarszczy, i wyglądały, pani Jadziu, wyglądały. Lepiej niż z katalogu mody „Otto”! Panowie poruszyli kwestię inżynierii mostu wiszącego, którego byle nie rozhuśtywać, niejedno przetrzyma, psy zaprzyjaźniły się i powąchały, a bibliotekarka czytała książkę Olgi Tokarczuki wzdychała, bo zaczynał jej się podobać inżynier Jerzy; ach, z takim panem w domu górskim życie wieść sobie ciekawe, raz dzienne, raz nocne. Szum lasu, miła rozmowa, pluski skaczących ryb, jak miło, pomyślała Jadzia. I Jeremiaszowi placek najwyraźniej smakuje; jak się w niedzielę w Szczawnie spotkają, musi mu opowiedzieć, że Dominika tego Greka walbrzyskiego, Dimitriego, co się z nim w szkole przyjaźniła, znów spotkała, co za niezwykły przypadek, i na jakąś wyspę z nim wyjeżdża. Wie pan, panie Jeremiaszu, ten Grek potem listy do niej pisał, pan sobie wyobrazi, opowie mu Jadzia, i co za historia, panie Jeremiaszu, co za historia, wszystkie ze skrzynki Józek Sztygar zwędził. Znaczką odklejał i sprzedawał, pod światło patrzył, czy w środku nie ma pieniędzy, i chował do szuflady nieotwarte. Jak umarł

w zeszłym miesiącu, jego żona mi przyniosła, mówi, bardzo przepraszam, pani patrzy, pani Chmuro, jak to pijanica zachomikował. Nie mówiłam Dominice, nie spodziankę jej tymi listami zrobię, rozmyślała Jadzia i wachlowała się gazetą; ale o czym ja, aha, jak ta wyspa się nazywa, co na nią jadą, Matko Boska, tak pamiętałam, tak pamiętałam, żeby móc powtórzyć, i znów mi się pokićkało, coś od ciasta karpátka, uch, duchota. Duchota, na głos powiedziała Modesta Ćwiek; Jadzia zdjęła apaszkę, pan inżynier powachlował się gazetą; duchota, zgodził się i dodał, że wzrasta wilgotność powietrza.

A co te ryby tak skaczą i skaczą, zapytał nagle pan Ćwiek, weterynarz. A nie powinny? zaniepokoiła się Jadzia; ano nie bardzo, odparł pan Ćwiek, żeby tak skakać, to nie bardzo. Popatrzyli na jezioro, nad którego powierzchnię co chwilę pojawiał się srebrzysty błysk, drobne fale coraz szybciej uderzały o brzeg, szum lasu zamilkł i w powietrzu coś zawisło. Coś wisi w powietrzu, cichutko powiedziała Jadzia, jakby bała się, że jak głośniejszy powie, co wisi, spadnie. Zawył Aresik, zapiszczała cienko Perelka; coś wisi w powietrzu, pani Jadwigo, Jeremiasz Mucha rzekł i wtedy rąbnęło! Jak rąbnęło, Matko Boska, przeżegnała się Modesta Ćwiek, inżynier zaczął coś o wyładowaniach elektrycznych, ale zagłuszył go następny piorun, błyskawica wyskoczyła skądś i wbiła się nieopodal, aż zadrżała ziemia. Niebo stało się czarne, jakby ktoś nalał w nie atramentu, woda szerniała, bo niebo nakłute następną błyskawicą pękło i wylało się do niej smolistym potokiem ulewy. Do samochodu! dowództwo objął inżynier Jerzy, i przebiegli grzbietem zapory, w którą waliły fale wody, w dół ścieżką, gdzie z drugiej strony tamy



zaparkowali skodę. To nie był deszcz, to jakby świat odwrócił się do góry nogami i strząsał morza i oceany, już po kolana brodzili, pieskiem płynęły psy, nie umiem pływać, jęknęła Jadzia. A kto umi? Modesta Ćwiek zasapała, bibliotekarkę Olę ścięła z nóg fala wody, która nie wiadomo, czy spadła z nieba, czy spłynęła z gór; inżynier Jerzy ustawił ją do pionu męsko. Jacyś inni ludzie biegli, potykając się i wrzeszcząc, że potop, że tama puści, uciekajmy, zahuczało, jakby coś wielkiego chciało ruszyć z miejsca; ratuj się, kto może! Dopadli samochodu, stał do połowy kół w wodzie, inżynier odpalił, ruszyli; ruszyliśmy, ucieszyła się Jadzia, po stu metrach parsknęło, zgasło; stoimy, zauważyła Modesta Ćwiek. Za nimi tama w gęstniejącej ciemności jak czarna fala tsunami, rąbnęło, zadrżała, przebrała się miarka; Matko Boska, żeby nie pękła, przeżegnała się Jadzia. Nie pęknie, uspokoił ją inżynier, to solidna niemiecka robota, taka tama, pani Jadziu, to postoi do końca świata; wtedy woda ze szczeliny wytrysnęła z sykiem, poszło. I nie poszło bokiem, samochód zatrząsł się jak na wybojach, płyniemy! krzyknęła żona Ćwiek z mężem Ćwiekiem unisono, powoli skoda inżyniera zaczęła unosić się na falach jak arka. Zakręciło ich w koło, co wrzasku było, potopimy się! Matko Boska! odkręciło, płyną, ludzie z dachów do nich machają, zabierzcie nas, zabierzcie, ale wszyscy się nie pomieszczą, lajf is brutal, mówi inżynier po angielsku, and full of zasadzka. Płyną przez wioski i lasy, ponad polami, miasteczka mijają podwodne, tylko szyby górnicze wystają nad powierzchnię jak szkielety przedpotopowych zwierząt; potop, prawdziwy potop, wzdycha Jadzia i sama sobie się dziwi, że nie czuje strachu. A to

mamy przygodę, pani Jadwigo, rejs mamy najprawdziwszy, będzie pani mogła córce opowiadać a opowiadać, Jeremiasz Mucha też nadrabia miną, chociaż ziemi nie widać na zalanym deszczem horyzoncie. Ja, poważną nutę bierze inżynier Jerzy, chciałbym wiedzieć, kto za to zapłaci; ach, panie inżynierze, rozmarza się bibliotekarka, pieniądze szczęścia nie dają.

Nagle jakichś troje, młodych, chudych, do drzwi skody podpływa, państwo samochodem, w okna stukają, zabierzcie nas, proszą, jesteśmy studentami. Inżynier okno odkręcił, widzi, że chudziny, płotki, drobiazg taki, dużo miejsca nie zajmą, ano wchodźcie; jedno Jeremiasz wciągnął za kołnierz, drugie inżynier za włosy, trzecie wgramoliło się samo. Patrzą, pierwsze i drugie to dziewczyny i każda zza pazuchy po kocie mokrym wyjmuje, dachowce najzwyklejsze, przegowane i ryży, parskają, kichają. Na wycieczkę się wybrali, w jakiejś chalupie w Zagórzu kocięta zobaczyli, takie chude, głodne, do wzięcia były, zlitowały się dziewczyny i wzięły parkę, powiedziało trzecie, i okazało się chłopakiem. Podziać gdzie się to trzecie nie miało, i wylądowało na kolanach u Jeremiasza Muchy; też kotka wziąć chciałem, powiedziało, ale stancji dopiero szukam, bo w Wałbrzychu na filii Politechniki Wrocławskiej inżynierię studiować będę od października. Stancji? z wiktem i opierunkiem? zainteresował się stary aktor, nie zważając na to, że skoda, ponad miarę obciążona, coraz bardziej nabiera wody, i dyskretnie poprawił fryzurę. A stancja w Szczawnie Zdroju szanownego pana by interesowała, bo myślałem właśnie, by podnając pokoik od ogrodu z osobnym wejściem? Arka Noego, zaśmiała się



bibliotekarka i coś by może więcej powiedziała, bo była odcytana, ale skodę pchnęła z tyłu kolejna fala i kobieta wyrzuciła głowę w okno. Inżynier ramieniem ją otoczył i jedną ręką jak rajdowiec skodę przez fale prowadzi. Jak rajdowiec pan prowadzi, panie inżynierze, no naprawdę, bibliotekarka Ola zyskała w tej podróży guza i nadzieję. Niestety woda podchodziła im już pod kolana.

Jak ginąć, to z fantazją! Zaśpiewajmy, zaproponował pan Ćwiek, weterynarz. Jak ginąć, to z pieśnią na ustach, pan nutę poda, bo pan artysta, zwrócił się do Jeremiasza, i zaśpiewali, hej, sokoły, niech żyje nam górniczy stan, szła dziewczeczka do laseczka, deszcze niespokojne, co było wyjątkowo na miejscu, i na koniec, jeszcze Polska nie zginęła, bo im się wyczerpały pomysły, a to każdy znał, przynajmniej pierwszą zwrotkę. Dał nam przykład Bonaparte, darli się na dziewięć gardeł, nie licząc zwierząt, jak zwyciężać mamy, aż tu nagle zachrząściło, zaszurało, szarpnęło i osiedli na jakimś łądzie. Ziemia! Łąd nie łąd, ziemia nie ziemia, w każdym razie nie toną i kawałek gruntu widać, a właściwie asfaltu, pierwszym odważnym okazał się Aresik, wyszedł, powąchał, siknął, za nim Peretka wyszła, siknęła, potem nastroszone koty i reszta. Gdzie my jesteśmy? Nic nie widać, poczekajmy, aż się przetrze! Usiedli na kawałku ziemi, skupili się i przytulili, żeby było ciepło. Względem tej stacji, to najlepiej przyjść i obejrzeć na własne oczy, kontynuował Jeremiasz Mucha, a student chuchał w zmarzniete dłonie; pokój osobny, ale łazieneczka, kuchnia wspólne. Ulewa słabła i z jednej strony nieba ukazała się nagle smuga seledynowego światła jak pęknięcie w materiale; światło, panie Jeremiaszu, światło! przytomnie zauważy-

ła Jadzia. Więcej światła! krzyknął inżynier, bo mu się to z czymś książkowo kojarzyło, a chciał zaimponować bibliotekarce: ach, panie inżynierze. Jak pięknie! wzruszył się student i stary aktor popatrzył na niego nie mniej wzruszony; pięknie, a zobaczylby pan, jakie w Szczawnie są słońca wschody i zachody, uczta duchowa dla takiego jak pan estety. W półmroku gęstej mgły zaczęły pojawiać się jakieś kształty na horyzoncie, domy nie domy, góry nie góry; przez seledynową szczelinę przedarł się blask słońca, jakby wylała się lawa, ludzie i zwierzęta patrzyli. Matko Boska, Piaskowa Góra! Jadzi w końcu udało się dostrzec coś konkretnego. Piaskowa Góra jak w pysk, potwierdził pan Ćwiek, ojczyzna nasza, ziemia! Piaskowa Góra! Piaskowa Góra! Powódź zaniósła ich na Wzgórze Gedymina i osiedli tam, gdzie długo przed upadkiem komunizmu zaczęto budować drogę i nie ukończono za demokracji. Asfalt, na którym utknęła skoda, urywał się na szczycie wzgórza jak pas startowy. Ze Wzgórza Gedymina Piaskową Górę widać było jak na dłoni i jeśli skądś wyglądała ładnie, jak na makiecie osiedla sprzed trzydziestu lat, to stąd. Miasto na wzgórzu, dumnie wieżami w niebo strzelające, jak w jakiejś Toskanii; nagle słońce, wyszorowane do czysta, osypało się na nie. Pięknie, westchnęła Jadzia.

Woda cofała się z Piaskowej Góry i zabierała ze sobą tony śmieci z piwnic, niosła stare zabawki, zbudowane wersalki, wystane kiedyś w nocnych kolejkach do meblowego, zepsute narty, niezjedzone przetwory, urządzenia do pędzenia bimbru, szklane banie pełne wina z porzeczek i wiśni, zniszczone buty kupione jeszcze na talony, nieprzeczytane książki, niepotrzebne roczniki



gazet, znaczki z napisem przodownik pracy, nieużywane sprzęty kuchenne, stare zlewy schowane na zaś, niedziałające grzejniki, popękane doniczki, spleśniałe ziemniaki i cebule; oczyszczała place zabaw i kwietniki, zapychała komory zsykowe, zaplute chodniki. Pływały też żywe stworzenia, cudem uratowane jak oni, kundle, dachowce, mieszańce, jakaś wielka czerwona papuga w klatce wstawionej do miski wrzeszcząca merdel, tchórz-fretka, dwie kury, cała ławica karp, babinka w chustce z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej przy piersi jak z tarczą i obok młódka z magnetowidem w objęciach. Na drzwiach kościoła wyrwanych przez powódź dryfowała grupa rozbitków, w których Jadzia rozpoznała znajomych z pielgrzymki do Częstochowy, ahoj! krzyknął do nich pan z wąsem, przeżegnał się, zaintonował, nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, i wraz ze swoimi klęczącymi towarzyszkami zniknął w oddali. Głębiej spod ziemi, na której zbudowano Piaskową Górę, na fali czarnej jak węgiel wypływały książki pisane gotykiem, wyblakłe landszafty, płonący znicz Walhalli, całe serwisy z napisem Bavaria, zdjęcia Hertya, Jürgena i Gertrud, skrzynie pełne niemieckiej amunicji, niemieckie czołgi i myśliwce. Kościotrupy w mundurach SS płynęły kraulem za nimi w szyku bojowym, jeden zabulgotał, heil Hitler, nim porwała go woda; w toczącym się po falach czarnym samochodzie z tamtych czasów, lśniącym jak nowy, siedział jakiś mężczyzna z wąsikami. Może mi się to wszystko śni, pomyślała Jadzia i nagle ją olśniło.

Wie pan, panie Jeremiaszu, to może nie najlepsza chwila, ale mnie z tego szoku tak jakoś olśniło i przypomniałam sobie o tym Icku Kacu, co pan mówił, że szukał

Grażynki po wojnie. Moja Dominika w Nowym Jorku pracowała u takiej jednej żydowskiej ciotki naszej, Eulalii Barron, co już nie żyje, mówiłam panu, książki jej czytała, co ona jej się naczytała. Mądra kobieta była, panie Jeremiaszu, a ile ona przeżyła, ta ciotka Eulalia. I teraz, panie Jeremiaszu, żeby tylko nie pokićkała, ta Eulalia, co z Krakowa, pan sobie wyobrazi, przez Japonię przed hitlerowcami w wojnę uciekała, знаła jednego Icka Kaca. Pewna jestem teraz, że przysiąc się mogę, Icek Kac mu było, nie inaczej. W jakimś muzeum się spotykali w Nowym Jorku, wspominali, bo oboje lubili w przeszłości się grzebać, jak moja Dominika, i jak to było, aha, ten Icek Kac ciotce Eulalii zostawił w spadku nocnik Napoleona, zanim się zabił. Bo zabił się, panie Jeremiaszu, ze smutku podobno i beznadziei. A Eulalia Barron ten nocnik od Icka zostawiła Dominice i szczerze mówiąc, myślałam, że coś więcej wart będzie, panie Jeremiaszu. Mówiłam Dominice, daj, odszoruję, wypoleruję, do antykwiariatu zaniemiemy, ale nie, do Ameryki ze sobą go wywiozła. Ale o czym ja, aha, już wiem, Icek Kac. Panie Jeremiaszu, myśli pan, że ten Icek Kac od nocnika Napoleona to ten sam Icek Kac, co wtedy pana o Grażynkę pytał?

## XII

W Diafani na wyspie Karpathos jest taka pora dnia, za którą przez trzydzieści lat tęskniła Maria Angelopoulos; słońce zatrzymuje się wówczas tuż nad szczytami gór, jakby się o nie zaczepiło, pęka i rozlewa się płynnym



złotem. Kaskady światła spływają z nagich wierzchołków tonących w chmurach, przez sosnowe lasy, pachnące tak, że kręci się w głowie, przez kolczaste zarośla, wiosną zakwitające na żółto i fioletowo; pod nogami znieruchomiałych kóz, dalej w dół, ścieżkami, które od wieków wydeptywały zwierzęta i ludzie, przez ogródki, w których arbuzy dojrzewają tak wielkie, że w skorupce ukryłoby się dziecko, docierają do małego portu. Miękka fala uderza w ściany starych białych domów, wlewa się przez otwierane właśnie okiennice do wnętrza tonących w mroku, spływa po białych schodach, białych jak kości, jak stopy Matki Boskiej w niedzielę, jak prześcieradła suszące się na wietrze; dalej złote światło słońca schodzi ku wodzie, po jej powierzchni miękko rozplywa się i nie tonie.

To pora, gdy w Diafani kąpią się stare kobiety; powoli wchodzi do wody i zanurzają się do wysokości piersi, tylko niektóre mają kostiumy kąpielowe, inne wchodzi w morze w koszulach i długich bawełnianych pantalonach, tak jak robiły to ich matki i babki. Stają blisko siebie i rozmawiają, plotkują i swatają, ich dłonie poruszają się tuż pod powierzchnią wody jak ryby, śmiech niesie się daleko, odbija od wybrzeży bezludnej wysepki Sarii, gdzie żyją tylko pszczoły i foki, i czasem odpoczywają syreny, jak opowiada stary kapitan Manolis, gdy wypije za dużo wina. Kobiety w morzu mówią o córkach, bo tu, w dwóch wioskach odciętych od świata, portowym Diafani i Olymbos zawieszonym na górskiej przełęczy, panuje matriarchat i córki dziedziczą po matkach. Piękny dom, wzdychają nieraz mężczyźni w kafenionie, taki piękny dom tuż przy morzu odziedziczyła moja starsza siostra. Karpatki są niewysokie i ciemnowłose, mocno

zbudowane, mają zrośnięte gęste brwi i wąsik jak Frida Kahlo; potrafią nosić na głowie ciężary jak kobiety z Afryki, do której stąd jest bliżej niż do Europy, mężczyźni nie wyręczają ich przy cięższych pracach. W języku starym jak świat, którym mówią kobiety zanurzone w morzu, językoznawcy z Aten i Salonik rozpoznają dorycki dialekt, przechowany świetnie jak najśladzszy miód w glinianym dzbanie z wysepki Sarii, gdzie w czasach bizantyjskich produkowano słynną w całym Śródziemnomorzu ceramikę. Kto by się tu przejmował językoznawcami; Foula opowiada właśnie, że jej wnuczka Popi lubi sikać na stojąco jak chłopak, a inne kobiety śmieją się, śmiech rozlewa się po ozłoconej słońcem wodzie, odbijają się w niej chmury, horyzont jest błękitny i czysty; nie ona pierwsza, ta twoja Popi. Nie takie rzeczy potrafiłyśmy, jak byłyśmy młode!

Za parę dni odbędzie się święto Jana Chrzciciela, jedno z najważniejszych panigiri w roku, cała wioska z objuczonymi osiołkami pójdzie wtedy przez góry do wykutej w skale świątyni na cyplu Vrokunda. Kobiety ubiorą się w tradycyjne stroje, kwieciste ozdobne chusty z dzwoneczkami, haftowane gorsety, szerokie spódnice, buty czerwone na dole, z cholewką w kolorze przypieczonej skórki; pop poświęci chleby wielkie jak młyńskie koła, upieką parę kozłat i jagniąt, muzycy nastroją instrumenty, po północy zaczną się tańce i będą trwały do połowy następnego dnia. Starsze kobiety pomogą wystroić się i uczesać wypachnionym młodzieńcom, którzy latem przyjeżdżają na Karpathos z różnych stron świata, by spotkać swatane im na odległość dziewczyny. Niektórzy zabiorą stąd do Londynu, Nowego Jorku, na Florydę, do



Kanady żony; dzieci tych kobiet nieskorych do uśmiechania się bez powodu, surowych i silnych, z mlekiem wypijają tęsknotę za słońcem, które nigdzie nie świeci tak jak tu, i morzem, jakiego nigdzie indziej nie ma. To piękno budzi jednocześnie radość i melancholię, i gdy nad cyplem Vrokunda wstanie świt, śpiewający mężczyźni jeden po drugim zaczną płakać, rozszlochają się tańczące wokół stołu Karpatki. Będzie o czym mówić w wietrzne zimowe miesiące, zwłaszcza jeśli swatany córce kuzynki Fouli syn kuzyna Wasilisa, Adonis, zamiast z nią, wyjedzie z turystą, cudzoziemskim cukiernikiem podobnym do Michaela Jacksona. Na obchody święta trafi kilkoro turystów, zostaną zaproszeni do stołu, nakarmieni i napojeni, poza tym nikt nie będzie na nich zwracał uwagi, bo sam pomyśl, że można by tańczyć i śpiewać dla turystów, wydaje się na cyplu Vrokunda nieprzyzwoity i śmieszny.

Kobiety w morzu mówią o obcych przybyłych w tym roku do Diafani, obgadują garstkę dziwaków, którzy ze wszystkich miejsc na ziemi wybrali właśnie tę wioskę zupełnie pozbawioną turystycznych rozrywek i odludną; niektórzy przyjeżdżają tutaj nawet od dwudziestu lat, uparciuchy, chociaż tu jak świat światem nikomu obcemu nie sprzedano jeszcze domu i nikt nie zamierza tego robić, co to, to nie. Jedna pisarka z Polski pyta o to co roku! Ale oprócz przybywających każdego lata obcych obcych, są też obcy swoi, nowy gatunek w Diafani; jeszcze nie wiadomo, jak postępować z całą tą zgrają, która ściągnęła tu w ślad za rodziną Angelopoulos. Nie tylko stara Foula, spokrewniona z ciociababcią Foulą, zna drzewo genealogiczne Dimitriego Angelopoulosa i jego rodziny, bo tu wszyscy są spokrewnieni, a wiele kobiet

nosi imię Foula. Tego lata jest tu Dimitri ze swoim Tedem, do których w Diafani już się przyzwyczajono; jest z nim też jego nowa towarzyszką, Dominika, która ciągle robi zdjęcia; dziś na przykład przez godzinę fotografowała pieczenie chleba we wspólnym piecu przy porcie, aż jej, mówi stara Eugenia, dałam bochenek, bo myślałam, że głodna, a zdjęciem się nie naje. Maria opowiada, jak nauczyla Dominikę łowić ośmiornice, miastowa dziewczyna, trochę za chuda, ale, trzeba przyznać, że pływa jak ryba i rozumie morze. Dwa tygodnie temu do Angelopoulosów przyплыnęła promem z Rodos doktor-ka, tak, o niej przyjemnie się plotkuje. Wygląda i zachowuje się jak chłopak, ale trzeba przyznać, umiała nastawić złamaną rękę Wasilisa i grosza nie chciała, a przy okazji wyleczyła kota Fouli. Jakby się przyjrzeć, to nawet trochę wygląda na Karpatkę, mocna baba i nie szczyrzy zębów bez powodu. Przydałaby im się taka doktorka, bo to chuchro na blond farbowane, co je z Aten przysła-li, uciekło po trzech miesiącach. Kina nie ma, wszędzie daleko, naśladuje miastową lekar-kę Eugenia, nikt tu za nią płakać nie będzie. Równie przyjemnie się plotkuje o czarnej kobiecie z żółtymi włosami, za której tyłkiem oglądają się wszyscy mężczyźni w kafenionie i doktor-ka z Londynu; kobiety stojące w morzu chichoczą. Tak, ta Sara to jest przynajmniej kawał baby. Dziś, mówi Foula, która wszystko widzi ze swojego domu w centrum wioski, o świcie razem poszły w góry w stronę zatoki Tristomo, czarna z doktorką, z plecakami. Kobiety stojące w morzu zastanawiają się, czy wrócą tą samą drogą, czy zrobią kółko przez Avlonę, i czy dadzą sobie radę, czy trzeba będzie ich szukać po nieoznakowanych



ścieżkach wśród ostów jak tych pięciu przemądrzałych Francuzów w zeszłym roku. Poza tym już od miesiąca siedzi u Dimitriego i Dominiki młody mężczyzna o bladej cerze i czarnych włosach, który wieczorami chodzi po głównej ulicy, a dodajmy, że jest tylko jedna ulica, i częstuje wszystkich słodyczami własnej roboty. Torebki z poczęstunkiem rozdaje się tu, by pamiętać zmarłego, i na początku nikt nie wiedział, o co temu obcemu chodzi, umarł mu kto, czy co. Foula śmieje się, że widziała, jak gadał z Adonidem, synem kuzyna Wasilisa, który przyjechał na wakacje z San Francisco: jeden wart drugiego! W nowym domu Dimitriego tego lata mieszka jeszcze matka Dominiki, Jadzia, którą stare kobiety z Diafani są skłonne zaakceptować najszybciej, bo po pierwsze jest matką, do tego matką córki, po drugie ma w sobie coś, co sprawia, że czują pokrewieństwo tak bliskie, że wstyd byłoby się go wyprzeć, mimo iż nie rozumieją jej języka. Jadzia pewnie zaraz do nich dołączy w morzu, zawsze przychodzi później i na początku tak wstydziła się rozebrać, że wchodziła do wody owinięta ręcznikiem, a potem rzucała go na brzeg. A przecież całkiem, całkiem z niej baba, mówi Eugenia; nie tylko ty tak sądzisz, śmieje się Foula, kapitan Manolis chyba znalazł swoją syrenę.

Stary Manolis, zwany kapitanem Manolisem, dziadek bez rodziny, który mieszka w rozpadającym się domu koło kościoła, żyje z łowienia ryb i krewetek, coraz częściej rozmawia z Jadzią i nieraz widziano ich rano na przystani. Rozmawia to może nie najlepsze określenie; stary Manolis opowiada coś po grecku, czyszcząc sieci na swojej małej czerwonej łódce, i czasem tłumaczy Ja-

dzi w mieszaninie greckiego, niemieckiego i angielskiego, taka łódka to varka; a Jadzia na brzegu powtarza, varka, varka, i odpowiada po polsku, o, Matko Boska, żeby taką łupinką, taką varką w morze wypływać, to trzeba mieć odwagę, panie Manolis. Jeszcze ryby łowić, panie Manolis, to ja rozumiem, ale te małe różowe robaczki, fuj, tego do ust bym nie wzięła. Matko Boska, ni to złać, ni to nabić na widelec. Pan by lepiej o dom zadbał, że dwa pokoiki odpicował, podnajął turystom, radzi Manolisowi praktyczna Jadzia, ogród panu wysechł, aż żal patrzeć. Ja, panie Manolis, kiedyś miałam piękny ogród, co to był za ogród, takiego nawet tu pan nie zobaczy. Manolis patrzy wtedy na szczupłe kostki Jadzi w skórzanym sandałach i kiwa głową. Jadzia zeszczupiała, a Dominika obciąła jej zniszczone tlenione kosmyki; okazało się, że mysie włosy, skazane przez tyle lat na życie podziemne, ściemniały i niewidoczne dotąd podobieństwo matki i córki zaczyna wychodzić na jaw. Gdy kapitan Manolis mówi, że nie ma już nikogo na świecie, umarli rodzice, syn, umarła żona, Jadzia, używając kilku słów niemieckich, angielskich i wielu dramatycznych gestów, odpowiada, że też nie ma już rodziców ani męża, ale jest w posiadaniu kilku sztuk krewnych w Ameryce; Manolis rozumie, że Jadzia pisze do nich listy i że może przyjadą w odwiedziny do Diafani, Ruth, David, Joshua, powtarza; tak, tak, cieszy się Jadzia, Ruth, David, Joshua. Gdy Manolis pyta, czy Jadzia przyjdzie rano na przystań, matka Dominiki kiwa głową, né, odpowiada po grecku, a kapitan Manolis powtarza uśmiechając się, né, né.

Jadzia Chmura odwija się z ręcznika, poprawia ramiączka kostiumu i zanurza się w morze; staje w wo-



dzie niedaleko starych Greczynek i gdy Foula kiwa do niej głową, mówi kalispera! jak nauczyli ją Dominika i Dimitri, a stare kobiety z Diafani śmieją się i odpowiadają, kalispera! kalispera! kalispera! Słońce tańczy wokół kobiet zanurzonych w morzu, tańczą chmury odbite w wodzie, po falach niesie się kobiecy śmiech i z daleka można by pomyśleć, że to syreny, syreny o głosie słodkopłynnym, o których marzył Wacław Pająk z Kamieńska i tylu innych przed nim i po nim, bo one nie śpiewały ani o miłości, ani o władzy, tylko kusily opowieściami i wprawiały w obłęd, pokazując, że wystarczy morze, chmura, dal i już się toczy, już płynie.

Dominika długo namawiała matkę, by w końcu przyjechała na Karpathos, może zostać, ile chce, a jeśli nie będzie jej się podobało, trudno, odtransportuje się ją z powrotem na Piaskową Górę. Dopiero wielka powódź sprawiła, że Jadzia nabrała odwagi, bo uratowana z potopu, zdała sobie sprawę, że już nie jest taka sama; jakoś nie ta sama jestem, wzdychała i były dni, gdy wylanianie się czegoś nowego odczuwała jak przyjemność, ale były też takie, gdy pickła ją zgaga, buchał na nią gorąc i kręciło jej się w głowie. Któregoś razu skołowana Jadzia przewróciła się na drodze do łazienki i złamała nogę, co na parę tygodni unieruchomiło ją na zniechęcającym bocianim gnieździe, wtedy jedyny jej kontakt ze światem polegał na codziennych rozmowach telefonicznych z córką, sącząc jej w ucho kuszące opowieści o podróży, w którą muszą się udać, gdy zdejmą Jadzi gips. Gdy znów stała się mobilna, Jadzia chodziła o wiele wolniej, by oszczędzać wciąż bolącą nogę, i ze zdziwieniem patrzyła na zmiany, jakie zachodziły na Piaskowej Górze, którą

w czasie jej unieruchomienia zaczęto przemałowować na wesole kolory; na rusztowaniach, którymi obudowano bloki, uwijali się robotnicy i tak chlapali farbami w papuzich kolorach, że przy okazji wielu przechodniów nabrało jaśniejszych barw. Ale to nie wszystko. Krysia Śledź ściągnęła do siebie do Niemiec starego Śledzia i Iwonę z Pati, bo udało jej się założyć firmę sprzątającą Polnische Putzhilfe i zatrudniała teraz dwadzieścia osób; ach, dostać tak zaproszenie od Śledziowej, dorobić się trochę, wzdychają kobiety. Lepka dowiedziała się o śmierci syna Zbyszka, ale w nią nie uwierzyła i nadal stała na balkonie, patrzyła na południe, a Lepki, to dopiero niespodzianka, podczas handlowych podróży samochodem poznał kobietę, właścicielkę kiosku z galanterią z Kamieńska, i porzucił ślubną małżonkę, którą by to załamało, gdyby nie była złamana większym nieszczęściem. Jeremiasz Mucha wynajął pokój studentowi wałbrzyskiej filii Politechniki, wyłowionemu z wody w Zagórze, Oskarowi Ziębie, i okazało się, że chłopak jest muzykalny i może przygrywać swojemu gospodarzowi na keyboardzie do starych przebojów. Założyli zespół Zięba&Mucha, ludzie z podwałbrzyskich wiosek wynajmują ich na wesela, a dziennikarka z Warszawy przyjechała zrobić z nimi wywiad, w gazecie byli ze zdjęciami. Na Piaskowej Górze już nie mówią na nich homoniewiadomo, tylko gajowi, przyszły nowe czasy. Matko Boska, dziwiła się Jadzia, bo chodniki podmyte przez powódź zastąpiono elegancką kostką; plotka poszła, że ponoć Japończycy jakieś zakłady mają niedaleko pobudować, gdzie pracy będzie a pracy, i pograżone w rozpacz miasto odżyje. Dziwna tęsknota za czymś innym, za czymś hen, daleko, która obudziła się



w Jadzi i rosła, przybrała w końcu konkretną postać; raz kozie śmierć, pojedzie na tę wyspę, której nazwę ciągle kićkała. Skoro Piaskowa Góra się zmienia, to co, ona, Jadzia Chmura, nie może?

Uparła się jednak, że nie polecą samolotem, co to, to nie, wszystko ma swoje granice, i Dominika powiedziała, w porządku, mam, nie polecimy. Spakowały rzeczy potrzebne i całą masę niepotrzebnych, które za konieczne uważała Jadzia, bo przecież nie mogły zostawić na przykład tych dwóch kryształowych pater, idealnych na prezenty; polskie kryształy wszędzie docenia, a z pustą łapą jechać nie wypada, tego Jadzia była pewna i owinięte ręcznikami wpakowała do wielkiej walizki na kółkach. Poczekaj, poprosiła Dominika, zanim zatrasną drzwi mieszkania na Piaskowej Górze i ruszyły w świat, i zrobiła Jadzi portret na tle meblościanki. Jadzia po raz pierwszy na zdjęciu zrobionym przez córkę była cała, i całkiem do siebie nowej, podróżnej i światowej, podobna. W drogę! To zupełnie fiksum-dyrdum tak się na stare lata w świat wyrwać, wzdychała co rusz z udawaną zgrozą starsza pani Chmura, ale wyglądała na dość zadowoloną z siebie, jej agrestowe oczy świeciły młodzieńczym blaskiem, choć z przejęcia ciągle miała kłopoty żołądkowe. Dominika kupiła jej sportową kurtkę i Jadzia z uwagą przeczytała powoli, no-rth-face, język sobie można połamać, ale miła kurteczka, leciutka. Jechały samochodem, pociągami i autokarem, płynęły promem, który Jadzię przeraził rozwartą gardzielią polykającą z hukiem ciężarówkę, jak toto po wodzie pływa takie wielkie i ciężkie? Podczas rejsu z Pireusu na Karpathos, po jakichś dwudziestu godzinach kołysania w wielkim

blękicie między morzem i niebem. Jadzia Chmura przestała się bać, że utoną, zgubią się i zostaną okradzione przez podejrzanie, jej zdaniem, wyglądającą grupę greckich Romów. Wciągnęła w płuca powietrze przesycone zapachem słońca i wody, poluzowała uścisk na torebce wtulonej w brzuch, przetarła zasolone okulary i spojrzała za burtę w kierunku horyzontu, na którym majaczył szary zarys brzegu; ty wiesz, córcia, powiedziała matka Chmura, to całkiem nieźle wygląda i chyba tu mają dobry klimat.

I nadal tak myśli, gdy stoi po piersi w wodzie i patrzy, jak jej córka z nożem przypiętym do łydki nurkuje i znika pod powierzchnią morza, płetwy mignęły srebrzyście jak rybi ogon, i już jej nie było; Dominika uparła się, że może zjeść morskie stworzenie tylko wtedy, gdy je sama upoluje. Kiedyś Jadzia umierałaby z niepokoju, teraz poczuła tylko lekkie szarpnięcie w okolicy pępka. Miesiące lata spędzone w tym dziwnym domu, wbrew obawom, że będzie inaczej, uspokoiły Jadzię, wyciszył się nawet jej impet matkowania i karmienia, tym bardziej że w tej kuchni królowali mężczyźni, Dimitri i Ivo, a kobiety zaglądały tam tylko po to, by coś przekąsić. Pierwsze trudne tygodnie strawiła Jadzia Chmura na próbach zrozumienia, jakie relacje łączą mieszkańców domu na skarpie, było to tak wyczerpujące, że na nic więcej nie miała energii. Dominika i Dimitri, to w miarę oczywiste, ale czy on ma poważne zamiary wobec Jadziny córki? zadeklarował się już czy, nie daj Boże, będą tak zawsze na kocią łapę? A mały Ted, czy Dominika nie mogłaby go traktować bardziej po maczynie zamiast tarzać się z nim po plaży jak pomyłona starsza siostra? Jedyne



Sara w tym towarzystwie wie, jak postępować z dzieckiem, i widać, że jednak porządna z niej dziewczyna, za mężczyznami oczami nie świeci; albo się z małym bawi, albo znika gdzieś na całe dni z Małgosią. Ach, gdyby tak ten chudzielec Ivo się przemógł i spiknął z Małgosią, to wtedy jeszcze tylko Sarze trzeba by kogoś znaleźć odpowiedniego, kombinowała Jadzia i wzdychała, bo po szklaneczce ouzo przychodziły jej do głowy kombinacje tak niebywale, że wszystko jej się kićkało; nalewa sobie wtedy jeszcze odrobinę i greckim zwyczajem rozcieńcza wodą.

Gdzie to moje dziecko? Jadzia rozejrzała się po ciemniejącym morzu, wiatr przynosił znad Avlony coraz więcej chmur. Jest! Dominika, parszając, wynurza się z wody, zdejmując maskę do nurkowania i staje koło matki; upolowała ośmiornicę, mówi, chłopcy robią dziś z niej kolację, ośmiornicę w occie. Faj, Jadzia nie jest przekonana, w occie to można grzybki, a nie jakieś morskie paskudztwa. Córką uśmiecha się i przysuwa do niej, nie martw się, mam, dla ciebie Dimitri robi sałatkę. Jeszcze nie dziś, ale już niedługo będzie musiała powiedzieć Jadzi i Dimitriemu, że jesienią wyrusza w podróż i nie wie, kiedy znów odwiedzi Diafani na wyspie Karpathos. Czasem pragnienie podróży słabnie, ale potem przychodzi noc, gdy Dominika nie może zasnąć i by nie przeszkadzać śpiącym, wychodzi z domu; siada na skarpie i patrzy na morze, czuje wtedy, że tego pragnienia nie da się oszukać. Uderza ją nagle odór spalonego mięsa, widzi popioły zaleskiego domu swojej babki Zofii, puste wypalone miejsce, na którym będzie musiała coś zbudować. Gdy słyszy cotygodniowe buczenie promu, który

zawija do portu Diafani, Dominika wie, że jest gotowa do dalszej drogi; ginący na horyzoncie statek, który odpływa bez niej, napelnia ją tęsknotą. Powie to wszystkemu swojej rodzinie, ale jeszcze nie teraz, niech ta chwila trwa. Matka Chmura i córka Chmura patrzą, jak na wieczorny połów wypływają z portu łódki, te małe nazywają się varka, mówi Jadzia, racja, varka, uśmiecha się Dominika; słońce znika za górami, wydłużają się cienie. Dominika oddycha głęboko i w powietrzu przesyconym morzem czuje obok Jadzię zasoloną i ciepłą; oto jedna z chwil, których wspomnienie zabierze ze sobą w drogę. A wiesz, córcia, ta ośmiornica mnie chyba tak oświeciła czy co, wzdycha Jadzia, co ja mam za głowę dziurawą. Przed wyjazdem dzwonił do mnie wuj Kazimierz, zapomniałam ci powiedzieć; z Japonii wrócił, wysłali go tam w sprawach jakichś politycznych, bo teraz jest konsultantem do spraw specjalnych przy prezydencie w Włbrzychu czy coś podobnego, i mówił, że wyobraź sobie, tylko żebym nie pokićkała, Grażynkę naszą widział w Tokio, z jakimś Japończykiem, za gejszę przebraną. Ta Grażynka, śmieje się Dominika, gejsza Grażynka, można się było tego po niej spodziewać.

Słoneczne złoto ciemnieje, po wodzie niesie się szept, może to wracają na falach głosy kobiet, może syreni śpiew, już tylko brzeżek złotej tarczy wystaje ponad szczyty gór, które otaczają to małe miejsce na Ziemi, gdzie Dominika Chmura z Piaskowej Góry bierze swoją matkę pod wodą za rękę i mówi, chodź, zachodzi słońce. Jest tak spokojnie, tak spokojnie.